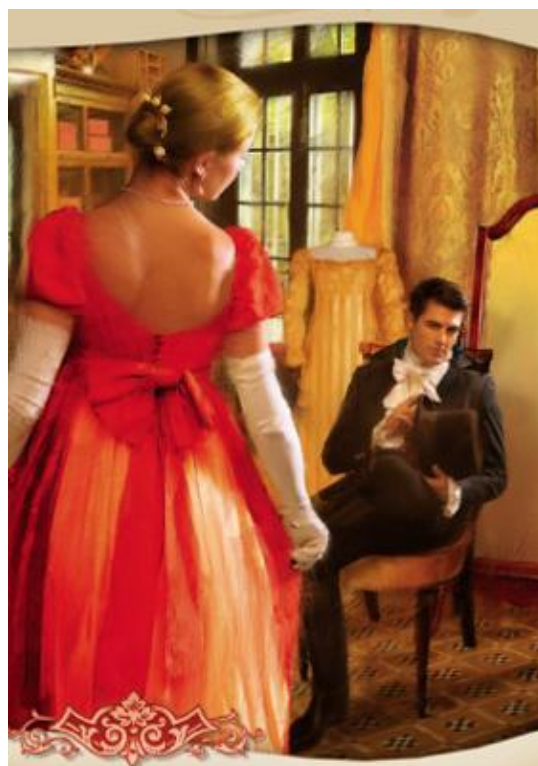




Helen Dickson



Zakochany łajdak

Rozdział pierwszy

1813

William Lampard galopował o świcie po alejach opustoszałego Green Parku. Wietrzyk rozganiał kłęby mgły, a park malował się przed jego oczami w niezliczonych odcieniach zieleni, brązu i szarości. Chmury zaczynały różowieć i w zaroślach budziły się ze śpiewem ptaki. Przez ostatnie kilka minut William miał wrażenie, że istnieje tylko on i koń. Nie wiązało go żadne obowiązki i nikt niczego od niego nie oczekuje.

Wreszcie zwolniwszy do statecznego kłusa, zjechał z alei i skręcił między drzewa. Cieszyło go, że jest w Londynie po trzech latach spędzonych na wojaczce w Hiszpanii. Nagle sielską atmosferę poranka zakłócił wystrzał. Poczł silne uderzenie w ramię i runął z siodła w zroszoną trawę. Otoczyła go ciemność.

Cassandra jechała do pracy później niż zwykle, wybrała więc skrót przez park. Niespodziewanie usłyszała huk wystrzału. Widząc jeźdźca wypadającego spomiędzy drzew i gnającego przed siebie na złamanie karku, poleciła Clemowi wjechać pomiędzy drzewa i zatrzymać powóz. Chciała sprawdzić, co się stało. Na widok ранego natychmiast wysiadła, sądząc, że ma przed sobą ofiarę pojedynku, które często toczono w Green Parku właśnie o tej porze. Cłem pochylił się obok niej i przekręcił bezwładne ciało na plecy. Skinieniem głowy wskazał wątki ruchu klatki piersiowej.

- Dzięki Bogu, żyje.

Gdy William odzyskał świadomość, klęczała nad nim młoda kobieta w ciemnoszarym płaszczu, a obok niski, krępy mężczyzna trzymał wodze jego konia. Dokuczał mu tępy, pulsujący ból głowy i znacznie bardziej dotkliwe rwanie w ramieniu.

Cassandra spojrzała w oczy nieznanego.

- Cieszę się, że wciąż jest pan z nami - odezwała się z dbałością o wymowę. Kapelusz nieco przesłaniał jej twarz, która pozostawała przez to w cieniu. - Postrzelono pana. Miejmy nadzieję, że rana nie jest poważna.

William spróbował usiąść, wspierając się na pniu drzewa. Bez powodzenia. Tymczasem Cassandra bez mrugnięcia okiem rozpięła mu zakrwawiony surdut, zdjęła niedawno jeszcze śnieżnobiały fular i rozchyliła koszulę, a następnie obejrzała miejsce wlotu kuli. William zatrzymał wzrok na jej smukłych palcach, którymi przyciskała mu do ramienia zrobiony naprędce tampon, by powstrzymać upływ krwi.

- Widzę, że już to pani robiła - powiedział.

- Owszem, ale przeważnie moi pacjenci są mniejsi od pana i nie miewają ran od postrzału.

Zajmując się nieznanym, Cassandra zauważyła, że jego kosztowne ubranie może pochodzić jedynie z pracowni któregoś z wysoko cenionych krawców elity. Zgubił kapelusz, więc ciemne włosy rozsypały się w nieładzie. Miał około trzydziestu lat i pociągłą twarz o zdecydowanie męskich rysach. Zakończywszy prowizoryczny opatrunek, Cassandra usiadła na piętach i znów spojrzała mu w oczy.

- Myślę, że pan przeżyje. Wygląda na to, że największy uszczerbek poniosła pańska duma. Kiedy wy, dżentelmeni, nauczycie się rozstrzygać spory w bardziej cywilizowany sposób? Pojedynki z pewnością nie są właściwym rozwiązaniem.

- Nie dając Williamowi szansy na odpowiedź, wstała. - Proszę spróbować się podnieść. Pańskie ramię powinien obejrzeć lekarz.

- Nie ma potrzeby. Jeśli pani służący przyprowadzi mi konia, pojedę swoją drogą.

- Kula wciąż tkwi w ciele. Trzeba ją wyjąć i założyć prawdziwy opatrunek.

William chciał zaprotestować, ale wypadło to blado, a kiedy usiłował się poruszyć, okazało się, że nogi odmawiają mu posłuszeństwa. Cassandra rzuciła ostro:

- Proszę się nie sprzeciwiać! Pańska sytuacja temu nie sprzyja. - Zwróciła się do Clema. - Pomóż panu...

- Kapitanowi. Jestem kapitan William Lampard.

- Ojej!

- Czy pani mnie zna?

- Nie, natomiast spotkałam się z pańskim nazwiskiem, chociaż jest pan znany raczej jako lord Lampard, hrabia Carlow.

Cassandra słyszała niejedno o aroganckim lordzie Lampardzie, który nie zważał na nikogo i na nic. Przez lata plotki łączyły go ze wszystkimi najpiękniejszymi damami w Londynie, a wywoływane przezeń skandale odbijały się głośnym echem. Ilekroć przyjeżdżał z wojska na urlop, natychmiast londyńskie towarzystwo czyniło jego postęпки głównym tematem rozmów. Dlatego rozsądne młode damy trzymały się od niego z dala. Dotyczyło to także młodszego kuzyna hrabiego, Edwarda Lamparda. To właśnie on dążył do skompromitowania jej siostry Emmy, która niechybnie pozwoliłaby mu na to, gdyby mogła postawić na swoim.

- O ile wiem, niedawno wrócił pan z zagranicy.

- Z Hiszpanii.

- Sądziłabym raczej, że wystarczająco się pan nawojował - stwierdziła wyniośle.

William omal się nie uśmiechnął, słysząc tę reprimendę.

- I słusznie. Mogę nawet mówić o przesycie. Podejrzewam, że mocno szkodzi mi powszechna opinia na mój temat, mimo że jest ona w dużej mierze skutkiem plotek i niespełnionych marzeń.

- Nie musi pan przede mną się tłumaczyć, kapitanie. To nie moja sprawa.

- Czy nie uzna pani tego za dowód braku wychowania, jeśli spytam, kim pani jest?

- Nazywam się Cassandra Greenwood.

- Panno Greenwood, niezwykle się cieszę, że mogę panią poznać. Bardzo jestem wdzięczny losowi, który postawił panią na mojej drodze akurat teraz.

- Nie dziwię się. Teraz pojedzie pan ze mną, a ja sprowadzę doktora Brookesa, żeby pana obejrzał.

- Doktora Brookesa?

- Pracuje w szpitalu Świętego Bartłomieja. Dziś oczekuję go z samego rana i tylko dlatego znalazłam się w parku o tak wczesnej porze. Proszę się nie martwić, mam pełne zaufanie do wiedzy i doświadczenia doktora. Wkrótce postawi pana na nogi - oznajmiła Cassandra, wysuwając nieco do przodu podbródek. W jej oczach pojawił się błysk zdecydowania.

- Widzę, że nie zamierza pani ustąpić - powiedział nieco rozbawiony William.

- Nie myli się pan. Gdy doktor Brookes skończy pana opatrywać, Ciem odwiezie pana powozem na Grosvenor Square.

- Wie pani, gdzie mieszkam? - zdziwił się.

- Tak, kapitanie Lampart - potwierdziła Cassandra. - Zresztą wiem o panu nie tylko to - dodała, wywołując na jego twarzy wyraz zaskoczenia. - Tymczasem jednak nie będziemy zgłębiać tej kwestii. Nie powinien pan jeździć wierzchem zaraz po zranieniu. Mógłby pan ponownie spaść z konia i wyrządzić sobie znacznie poważniejszą krzywdę.

- Proszę tylko nie zapeszyć - stwierdził William.

- Damy tak długo czekały na pański powrót z Hiszpanii, że bez wątpienia pograżyłyby się w głębokiej żałobie, gdyby coś panu się stało. Sprawdźmy lepiej, czy jest pan w stanie ustać o własnych siłach.

Najchętniej pomogłaby mu wsiąść na konia i niech by pojechał, dokąd by zachciał, ale byłoby to z jej strony tchórzostwo. Nie należało tak czynić wyłącznie z powodu złej reputacji tego człowieka.

Zachwycony energią i zdecydowaniem panny Greenwood, William zmobilizował się na tyle, że wstał, ale zakręciło mu się w głowie i znów bezwładnie opadł na ziemię. Bez dalszych ceremonii Ciem przerzucił go sobie przez ramię i niezbyt delikatnie, ale za to skutecznie usadził w powozie. Następnie przywiązał konia kapitana do tyłu pojazdu i ruszył w stronę Soho.

Zatrzymali się przed ponurym budynkiem w otoczeniu sprawiającym wrażenie królestwa biedy i chorób, zaraz też pojawiło się kilkoro nędznie wyglądających, obszarpanych dzieci, które z żywym zainteresowaniem przyglądały się, jak Ciem pomaga kapitanowi wsiąść z powozu, a następnie podtrzymuje go ramieniem. W ten sposób weszli

za Cassandrą do środka, gdzie służący ułożył rannego na wąskiej pryczy, niewątpliwie wykonanej dla kogoś znacznie niższego.

William oddychał głęboko w obawie, że ponownie zemdleje. Gdy nieznacznie odwrócił głowę, dostrzegł dziecko leżące na sąsiedniej pryczy. Chłopiec, nie więcej niż siedmioletni, pojękiwał przez sen, a spod koca wystawały jego chude jak patyki nogi z obandażowanymi stopami. Twarz miała niezdrowy odcień szarości, skóra zarosła brudem, a kolana były podrapane do krwi.

Omiatając wzrokiem resztę pomieszczenia, William przekonał się, że znajdowało się w nim pięć pryczy. Przez okienka wpadało trochę światła, kamienna podłoga była starannie wmyta. Młoda kobieta zmywała w kamiennym zlewie, na kominku palił się ogień, a w powietrzu unosił się apetyczny zapach przygotowywanego posiłku. William podejrzewał, że będzie to potrawka barania. Nagle przytknięto mu do ust kubek.

- Proszę się napić - poleciła panna Greenwood.

Posłusznie przełknął trochę wody i znów opuścił głowę na poduszkę.

- Gdzie ja jestem, u diabła? - spytał.

- Proszę nie przeklinać - skarciła go Cassandra, która zdążyła zdjąć wierzchnie odzienie i obwiązać smukłą talię fartuchem. - Nie jest pan u diabła, tylko w pokoju szpitalnym ochronki dla sierot.

- Wyrażam skruchę - powiedział z przekąsem. - Nie chciałem zachować się niegrzecznie.

- W każdym razie powinien pan powściągnąć język, kiedy trzeba, kapitanie Lampard. Tu są dookoła dzieci, aczkolwiek ze smutkiem muszę dodać, że jeśli chodzi o brzydkie słowa, to niektóre z nich mogłyby pana niejednego nauczyć. O, jest doktor Brookes.

Cassandra odsunęła się, by zrobić miejsce mężczyźnie mniej więcej czterdziestopięcioletniemu, a po chwili przyniosła tacę z miksturami i przyrządami.

- Dzień dobry, kapitanie Lampard - odezwał się doktor. - Nie co dzień zdarza mi się mieć tak wybitnych pacjentów, zwłaszcza po postrzale. - Przyjrzał się ranie i orzekł: - Wydaje mi się, że kula nie weszła głęboko i nie powinno być kłopotów z jej wyciągnięciem. Chwilę to jednak potrwa i trzeba będzie pogrzebać w ranie. Wytrzyma pan?

- Kapitan Lampard wrócił z wojny na Półwyspie Iberyjskim - wtrąciła Cassandra. - Jestem pewna, że miewał tam gorsze doświadczenia.

- Hiszpania, co? - stwierdził doktor Brookes, wyraźnie pod wrażeniem. - Sam bym tam pojechał, gdybym był młodszy.

- Widziałem tam i przeżyłem niejedno, ale pierwszy raz zdarzyło się, że ktoś mnie postrzelił. Naturalnie proszę robić, co do pana należy, doktorze. Czy potrzymano mnie pani za rękę, panno Greenwood?

- Nie. Muszę pomóc doktorowi Brookesowi.

- W takim razie stracę resztki godności. Miłych wrażeń, panno Greenwood, ale radzę się nieco odsunąć - powiedział, spoglądając z wyraźną obawą na trzymane przez doktora narzędzie. - Zaraz na pewno zepsuje mi się humor.

Cassandra nie zareagowała. Spokojnie stała obok medyka, który wziął się do pracy. Na szczęście stosunkowo szybko udało się zlokalizować i usunąć kulę.

- Gotowe - stwierdził z uśmiechem satysfakcji doktor Brookes i pokazał Williamowi okrągły kawałek metalu. - Rana jest czysta, więc powinna się dobrze goić, ale przez dłuższy czas radzę panu unikać wysiłku.

- Bardzo dziękuję. Dopilnuję, aby wyraz mojej wdzięczności był zauważalny.

Doktor Brookes skinął głową, a potem zerknął na pannę Greenwood.

- Mały datek na ochronkę z pewnością nie zaszkodzi, prawda? Niech pański lekarz osobisty sprawdza, jak goi się rana, i w razie bólu zaordynuje panu laudanum. Przepraszam bardzo, ale zostawię pana w zręcznych rękach panny Greenwood, bo czekają na mnie pacjenci. Czy pani matka zajrzy tu jutro?

- Sądzę, że około południa.

Doktor Brookes skinął głową i wyszedł.

Cassandra zwróciła się ponownie do kapitana, by opatrzyć mu ranę. Zdziwiła się, że zdołał znieść w milczeniu całą operację wyjmowania kuli.

- Co się stało temu chłopcu? - spytał William. - Dlaczego jest w takim stanie?

- To jest Archie - odparła, a gdy zatrzymała wzrok na twarzy malca, jej twarz złagodniała. - Matka sprzedała go za parę szylingów kominiarzowi.

- Ile ma lat?

- Sześć. Ci chłopcy są bez szans. Większość umiera z wycieńczenia. Nikt nie zwraca uwagi na okrucieństwa, jakim są poddawani. Pracodawcy ich lżą i biją, a oni w kominach ranią sobie kolana i łokcie. Niby w skórę wciera im się roztwór soli, żeby była jak najtwardsza, ale to często nie działa. Wielu z nich ginie w wypadkach albo umiera.

- A co z jego stopami?

- Poparzone. Ogień na kominku nie był do końca wygaszony.

William dostrzegł łzy w oczach panny Greenwood.

- Archie się nie skarży, ale wiem, że bardzo cierpi - ciągnęła. - Chcę znaleźć mu jakieś znośne miejsce. Miną tygodnie, zanim dojdzie do zdrowia. Jedno jest pewne: pożegna się z kominiarzem. - Cassandra wzięła do ręki surdut kapitana i powiesiła go w nogach pryczy, razem z podartą koszulą.

- Pańskie odzienie jest całkiem zniszczone.

- Przebiorę się.

- Nie pozostaje panu nic innego - przyznała, zmuszając się do oderwania wzroku od opalonego, umięśnionego torsu.

William uznał, że nawet w tej zapiętej pod szyję, szarej sukni jest wyjątkowo uroczą istotą. Lekka woń pachnidła i lśnienie gładkiej skóry podziały na jego wyobraźnię, podobnie jak miękkie, koralowe usta i złociste włosy w odcieniu miodu, związane w koczek, lecz uciekające z niego tu i ówdzie niesfornymi kosmykami.

- Czy pracuje pani codziennie?

- Nie, mam też swoje życie.

- Cieszę się. To byłaby zbrodnia, gdyby musiała pani przebywać cały czas w tak przygnębiającym miejscu. Sądziłbym raczej, że dla młodej damy inne sposoby spędzania wolnych chwil powinny być atrakcyjne.

Uśmiech, jaki posłał Cassandrze William Lampard, podkreślił zmysłowość jego ust. Świadoma, jakie wrażenie wywiera na niej ten przystojny mężczyzna, poczuła nagłą irytację.

- Bez wątpienia ma pan rację, lecz sposoby, o których pan myśli, nie dają tyle zadowolenia i nie są warte wielkiego zachodu. To, co robię tutaj, jest dla mnie czymś więcej niż spędzaniem wolnego czasu. Tę placówkę powołał do życia mój ojciec z zamiarem wspomżenia sierot. Krótko mówiąc, miało to być miejsce chrześcijańskiego miłosierdzia. Ojciec, podobnie jak doktor Brookes, był lekarzem w szpitalu Świętego Bartłomieja.

Niestety, przed trzema laty zmarł. Matka postanowiła kontynuować jego pracę, mamy też ochotników, którzy przychodzą wesprzeć nas, kiedy tylko mogą. Bez nich nie dalibyśmy sobie rady, podobnie jak bez dobroczyńców pomagających nam finansowo. Karmimy dzieci, staramy się dla nich o odzież, a jeśli zachorują albo doznają wypadku, próbujemy je leczyć.

- Nawet jeśli niektóre z nich to mali przestępcy, dzicy, zarobaczeni i będący źródłem wszelkich możliwych chorób? - spytał William, unosząc się, by Cassandra mogła owinąć mu ramię bandażem.

- Tak. Ponieważ właśnie takie dzieci tutaj przychodzą, jest to dodatkowy powód, aby uczynić ich życie znośniejszym. Wprawdzie nasza placówka nie wygląda najlepiej, ale mamy trudne czasy. Mimo to snujemy plany i zbieramy pieniądze, które pozwoliłyby nam znaleźć większą nieruchomość i otworzyć sierociniec z prawdziwego zdarzenia.

- Jak pani idzie zbieranie pieniędzy?

- Czasami całkiem dobrze. W moim interesie jest znać nazwiska zamożnych osób, do których mogę się zwrócić z prośbą o datki. - Uśmiechnęła się, widząc zaskoczenie malujące się na twarzy kapitana. - Musiał pan uznać mnie za osobę ze wszech miar interesowną, skoro wyciągam pieniądze od ludzi, zapewniam jednak, że robię to wyłącznie dla dobra dzieci.

- Tak bardzo zależy pani na pieniądzach bogaczy?

- Zależy mi, i nie wstydzę się tego głośno powiedzieć.

- Proszę pamiętać, że chciwość jest okropną wadą. Cassandrę zdziwiły te słowa.

- Niech pan tak na mnie nie patrzy, kapitanie Lampard. Nie jestem chciwa, w każdym razie nie wtedy, gdy chodzi o moje potrzeby. Osobiście nie przywiązuję wagi do pieniędzy,

ale musi pan się ze mną zgodzić, że mają one swój walor praktyczny, a dla głodnego dziecka kilka pensów może stanowić kwestię życia lub śmierci.

- Możliwe, ale wyciąganie pieniędzy od ludzi przez młodą damę wydaje mi się wyjątkowo niestosowne.

- Dla wielu ludzi sama myśl o opartej na takich zasadach znajomości z kobietą jest nie do przyjęcia. Niektórzy okazują niesmak, gdy przekonują się, że nie żartuję.

- Nie sądzi pani, że powinna brać to, co Bóg jej daje, i okazywać mu za to wdzięczność?

Zabrzmiało to tak obcesowo, że Cassandra spojrzała ze smutkiem na kapitana.

- Proszę powiedzieć to dzieciom. Pan wydaje się zaskoczony tym, co robię.

- Zaskoczony niewątpliwie, do pewnego stopnia również zgorszony. Jest pani atrakcyjną młodą kobietą, nie pojmuję więc, dlaczego rodzina pozwoliła pani się zaangażować w takie niespotykane i dość niebezpieczne przedsięwzięcie.

- Moja praca jest często uciążliwa, zdarza się, że długo nie bywam przez nią w domu, ale jestem dumna z tego, że kontynuuję dzieło ojca... Dzieci, które tu trafiają, wychodzą najedzone, a jeśli mają szczęście, to również obute. Naturalnie wiem, że według wszelkiego prawdopodobieństwa sprzedadzą buty za parę pensów, gdy tylko znajdą się z powrotem na ulicy. Wiele z nich to sieroty, innych nie chcą rodzice, bo nie są w stanie nakarmić wszystkich domowników, jeszcze inne sprzedano za parę szylingów kominiarzom. Żadne z tych dzieci nie ma niczego, nawet nadziei. Ktoś musi się nimi zająć.

- I pani sądzi, że może ułatwić im życie?

- Niektórym tak.

- Przecież funkcjonują warsztaty i szkoły organizacji dobroczynnych, a ranni mogą skorzystać ze szpitala.

- Warsztaty są przerażające, ale przyznaję, że i tak lepsze niż ulica. Nie ma w nich jednak miejsca dla wszystkich potrzebujących, a szpitale nie przyjmują pacjentów poniżej siódmego roku życia, chyba że trzeba dokonać amputacji. Smutne, prawda? Czy zdaje pan sobie sprawę z tego, że w Londynie prawie połowa umierających to dzieci?

- Tego nie wiedziałem - odparł sztywno William, który pierwszy raz zetknął się z bezdomnymi dziećmi.

Przybrał posępny minę. Panna Greenwood miała irytującą umiejętność budzenia u niego wyrzutów sumienia. Było to wyjątkowo nieprzyjemne. Skończywszy opatrunek, Cassandra spojrzała mu prosto w oczy.

- Nie ma w tym nic dziwnego ani niestosownego, że kontynuuję pracę społeczną rozpoczętą przez ojca, a jeśli widzi pan w tym coś złego, to bardzo mi pana żal.

- Dzielnie pani przemawia. Takie poglądy są doprawdy godne podziwu.

William ostrożnie opuścił stopy na ziemię i z zadowoleniem stwierdził, że zamroczenie ustąpiło. Cassandra przeżyła chwilę zaskoczenia, gdy ranny wstał i okazało się, że jest o głowę od niej wyższy. Pomogła mu włożyć zniszczony surdut, a potem zajęła się zbieraniem zakrwawionej gazy i narzędzi, których używał doktor Brookes.

Tymczasem William z uznaniem zmierzył wzrokiem jej drobną, lecz kształtną figurę. Zatrzymał spojrzenie na wyraźnie rysujących się pod szarą suknią piersiach, by po chwili przenieść je na złociste włosy w odcieniu miodu. Nie miał doświadczeń z kobietami tego pokroju, bo zawsze starał się ich unikać, ta jednak wzbudziła jego zainteresowanie. Zdumiało go, że zapragnął dowiedzieć się czegoś więcej o pannie Greenwood, bo chlubił się tym, że nie ulega uczuciom ani tym bardziej niezrozumiałym kaprysom. Chwilę potem uświadomił sobie, co się dzieje. Lord William Lampard, hrabia Carlow, pan włości w Hertfordshire, mający za sobą piękną karierę wojskową, który wzniecał plotki, gdy tylko pojawiał się w Londynie, lękał się wrażenia, jakie wywarła na nim panna Greenwood.

- Proszę mi powiedzieć, czy ta placówka nie ma zarządu, przed którym pani odpowiada?

Cassandra przerwała krzątanie, a w jej niebieskich oczach z pięknym zielonkawym odcieniem odmalowało się szczere zdziwienie.

- Owszem, ma. Są w nim cztery osoby: doktor Brookes i jego kolega ze szpitala, moja matka i ja.

- Rozumiem. Zdaje się, że pani jest bardzo samodzielna, panno Greenwood.

- To prawda.

- Nie zamierza pani wyjść za mąż?

- Nie. Cenię sobie wolność i niezależność, o którą trudno u boku męża.

- Bez wątpienia z czasem sytuacja się zmieni.

- Nie zmieni się, jeśli będzie to zależeć ode mnie. A ja zawsze stawiam na swoim.

- To zauważyłem. Nie jestem tu jednak dlatego, że chcę się przekonać o korzyściach ze wspierania dobroczynności na rzecz sierot. Trafiłem tu jako ofiara postrzału i nawet nie byłem w stanie stawić oporu, choć naturalnie jestem wdzięczny pani i doktorowi Brookesowi za pomoc.

- Czy nie lubi pan dzieci, kapitanie Lampard? - spytała nagle.

- Nie wiem. Nie miałem z nimi do czynienia - odparł William. Wkładając kapelusz, zatrzymał wzrok na rannym chłopcu i powiedział: - Co do Archiego, to kiedy dojdzie do siebie, proszę przysłać go do mojego domu na Grosvenor Square. Porozmawiam z Thomasem, moim masztalerzem. Jeśli chłopak lubi konie, to znajdzie się dla niego miejsce w stajniach. Dopilnuję także, aby została pani wynagrodzona za okazaną mi życzliwość.

- Dziękuję - powiedziała zaskoczona Cassandra. - To bardzo szlachetny gest.

Wyglądało na to, że kapitan Lampard jej nie usłyszał. Nie oglądając się, znikł bowiem za drzwiami. Stała przez chwilę oszołomiona, trudno jej było uwierzyć w to, co się stało. Czy to możliwe, żeby słynny utracjusz powrócił do Anglii całkiem odmieniony?

Gdy William siedział w powozie panny Greenwood, wiozącym go na Grosvenor Square, próbował uzmysłwić sobie, co tak go w niej pociąga. Z pewnością nie miała tuzinkowej urody, a co więcej, otaczała ją aura zmysłowości. I ten uśmiech, niewinny, lecz mimowolnie zalotny... Doszedł do wniosku, że czas zająć myśli ważniejszymi sprawami. Ktoś do niego strzelił, a to znaczyło, że należy znaleźć sprawcę.

Cassandra mieszkała z matką i osiemnastoletnią siostrą Emmą w domu w Kensington, skromnym w porównaniu z rezydencją ciotki Elizabeth w Mayfair. Rodzice Cassandry znakomicie dobrali się charakterami, chociaż pochodzili z bardzo różnych środowisk. Rodzina Greenwoodów należała do klasy przedsiębiorców i ludzi wolnych zawodów, matka Cassandry pochodziła z ziemiaństwa mającego arystokratyczne koligacje.

Oboje łączyło natomiast to, że wywodzili się z względnie ubogich gałęzi swoich rodzin. Żadne z nich nie posiadało dużego osobistego majątku.

James Greenwood, głęboko zatroskany losem porzuconych londyńskich dzieci, otworzył niedużą placówkę opiekuńczą w Soho. Przez trzy lata, które minęły od śmierci założyciela, Cassandra z matką dokładały wysiłku, aby utrzymać ochronkę. Nieustannie brakowało im funduszy. Doktor Brookes, najlepszy przyjaciel i wspólnik Greenwooda, poświęcał czas i wiedzę, aby leczyć najciężej chore i poranione dzieci, zajmował się też zbiórką pieniędzy.

Po śmierci męża Harriet Greenwood nie chciała prowadzić cichego życia na uboczu i zaangażowała się w pomoc dzieciom ulicy. Pozwalała też pracować na ich rzecz najstarszej córce, dwudziestojednoletniej Cassandrze, chociaż takie łamanie konwenansów raziło całe otoczenie. Cassandra jednak, podobnie jak Harriet, wiedziała, czego chce, a na małoszkolnych, źle życzących jej ludzi nie zwracała uwagi.

Kuzynka Harriet, lady Elizabeth Monkton, bezdzietna wdowa bardzo popularna w kręgach londyńskiej socjety, wzięła obie panny Greenwood pod swoje skrzydła i chciała poprowadzić je drogą, którą uważała za stosowną. Przeżyła jednak poważne rozczarowanie, gdy Cassandra, która miała swoje plany i nieszczególnie interesowała się życiem towarzyskim, odmówiła udziału w balach sezonu w roli debutantki. Sprytna panna umiała jednak spożytkować pozycję krewnej i wykorzystywała wszystkie zgromadzenia towarzyskie, na których dzięki niej mogła się znaleźć, by kwestować wśród zamożnych ludzi na rzecz swoich podopiecznych.

Tego wieczoru ciotka - bo tak lady Elizabeth kazała się nazywać pannom Greenwood - wydawała bal z okazji swoich pięćdziesiątych urodzin. Cassandra była zaproszona, a na zasadzie wyjątku pozwolono na udział również Emmie, mimo że nie przedstawiono jej jeszcze

w towarzystwie. Obie siostry przygotowywały się do balu w Monkton House. Emma była wyjątkowo nadąsana, między innymi dlatego, że wcześniej została surowo skarcona przez matkę, gdy wróciła z konnej przejażdżki przemoczona do suchej nitki.

- To niesprawiedliwe - poskarżyła się, zawiedziona, że nie zobaczy Edwarda Lamparda, młodego człowieka, którym była zauroczona. Odkąd wyjechał z Londynu przed trzema tygodniami, wciąż stroiła fochy. Również teraz nie kryła niezadowolenia, siadając na krześle i przyglądając się, jak Cassandra kończy przygotowania do wieczoru.

- Emmo, przestań, proszę. Nic dobrego nie wyjdzie z twoich spotkań z tym dżentelmenem, a ja nie mam siły o tym z tobą rozmawiać. Tłumaczyłam ci już, że to łajdak, który nie spocznie, póki nie skompromituje cię raz na zawsze. Wtedy nikt przyzwoity cię nie zechce.

Emma popatrzyła zboląłym wzrokiem na starszą siostrę, którą kochała i podziwiała jak nikogo na świecie, między innymi za siłę charakteru.

- Łajdak?! - oburzyła się. - Skąd możesz to wiedzieć?

- Tak się złożyło, że jest kuzynem znanego hulaki i utracjusza kapitana Williama Lamparda, który złamał już niejedno serce i zrujnował przyszłość tylu pannom, że każda, która ma choć trochę rozsądku, trzyma się od niego z daleka.

- Nawet jeśli Edward jest kuzynem znanego libertyna, nie oznacza to, że pójdzie w jego ślady. On jest prawdziwym dżentelmenem, uczciwym i honorowym. - Emma nie przyjmowała do wiadomości obiekcji Cassandry. - On mnie kocha, ceni i wyraźnie daje mi to odczuć. Jestem dla niego ważna, ważniejsza niż wszystko inne.

- Cóż, skoro tak, to musi naprawdę być wyjątkowy - stwierdziła oschle Cassandra, zupełnie nieprzekonana siostrzaną przemową w obronie Edwarda Lamparda.

- W każdym razie nie powinien ci mówić takich rzeczy, a jeśli o ciebie chodzi, to wiedz, że przyjmowanie zalotów dżentelmena, zanim ten wyraźnie się zdeklaruje, naraża pannę na śmieszność. Wolałabym, abyś zachowywała się bardziej powściągliwie, Emmo.

- Zdaje się, Cassy, że nie masz doświadczenia, więc nie potrzebuję od ciebie instrukcji, jak należy zachowywać się w towarzystwie.

- Świetnie wiesz, że wcale nie chodzi mi o to, co pomyślą ludzie. Martwi mnie, że twoje zainteresowanie Edwardem Lampardem odstraszy innych kawalerów. I to jeszcze zanim będziesz miała debiut, do którego ciotka Elizabeth wydaje się niezłomnie dążyć. Nie pojmuję zresztą, dlaczego ciotka pozwala ci tak często wychodzić do miasta z kawalerami, skoro nie byłaś przedstawiona w towarzystwie.

- Daj spokój. Kto może być lepszym kandydatem na męża niż Edward?

- Ja tylko ostrzegam cię przed niebezpieczeństwami, jakie wiążą się z okazywaniem względów mężczyźnie. Zresztą stanowczo nie powinnaś sobie pozwolić na pozostawanie z nim sam na sam.

- Zachowaj takie ostrzeżenia na swój użytek. Potrafię zadbać o siebie.

- Skąd wiesz, Emmo, że on nie bawi się twoim kosztem?

- Bo darzy mnie uczuciem. Można by pomyśleć, że jesteś zazdrosna, skoro nie udało ci się dotąd rozbudzić namiętności żadnego mężczyzny.

- Namiętności? Moja droga siostrzo, mam nadzieję, że Edward Lampard panuje nad swoją namiętnością, kiedy przebywa w twojej obecności.

- Czy ty nie słyszysz, co ja mówię? Kocham go.

- Tylko tak ci się zdaje. Bez względu na to, jakie uczucia rozbudził w tobie ten młody człowiek, nie mam wątpliwości, że jego prawdziwy charakter wkrótce się ujawni. A teraz idź się przygotować na wieczór, żebyś była gotowa, zanim przyjdzie po nas ciotka.

- Sama idź na ten bal, mnie się odechciało - burknęła Emma.

Cassandra westchnęła. Siostra rzadko uczestniczyła w wydarzeniach towarzyskich, z reguły na każde wyczekiwała więc z wypiekami na twarzy, a zanim pojawiła się wśród gości, spędzała немало czasu przed lustrem. Wyglądało jednak na to, że tym razem będzie inaczej.

Emma знаła Edwarda Lamparda od kilku tygodni. Spotkała go na jakimś wieczorku, a potem widywali się w teatrze oraz u różnych znajomych ciotki, a także podczas spacerów po parku. Cassandra była naturalnie świadoma, że między młodymi zadziergnęło się coś na kształt przyjaźni. Najpierw traktowała to jak młodzieńcze zauroczenie. Jednak Lampard szukał towarzystwa Emmy z determinacją, a ponieważ Cassandra wątpiła w szczerść jego intencji; było to dla niej duże zmartwienie. Edward był przecież blisko spokrewniony z kapitanem Williamem Lampardem, człowiekiem, który obiecał jej datek, ale najwidoczniej nie zamierzał dotrzymać słowa. To jeszcze bardziej zraziło Cassandrę do Lampardów jako rodziny.

- Nie wiem, skąd u ciebie tyle złej woli - powiedziała z goryczą Emma. - Zawsze mówisz źle o Edwardzie. Chyba jesteś zazdrosna.

- Nie. Po prostu trzeźwo patrzę na świat.

Emma jeszcze przez chwilę stroiła miny, zorientowała się jednak, że na siostrze nie robi to wrażenia, w końcu więc zmieniła taktykę.

- Pójdę się przebrać - oznajmiła. - Może dowiem się o datę powrotu Edwarda od jego kuzyna Williama.

Cassandra odwróciła się gwałtownie.

- Kapitan Lampard ma przyjść dziś wieczorem?

- Tak mi się zdaje. Wiem, że ciotka Elizabeth go zaprosiła. - Emma wstała i zamiatając spódnicami, podeszła do drzwi. Tam zatrzymała się i ignorując osłupiałą minę siostry, dodała: - To jest nie tylko wytrawny i nieustraszony oficer, mający za sobą dwie wielkie kampanie, o których opowiadał mi Edward, lecz podobno również wyjątkowo przystojny

mężczyzna. Wprawdzie dotąd go nie widziałam, ale wszystkie panny prawie mdleją, gdy o nim opowiadają. - Zachichotała i pchnęła drzwi.

- Emmo, poczekaj. - Cassandra zerwała się z krzesła. - Jutro chcę być rano w ochronce, więc wolałabym nie kłaść się bardzo późno. Myślę, że i ty nie powinnaś zbyt długo zabawić na balu.

- Nie bój się, nie zabawię. Wiem, że musisz wypocząć, zanim pójdziesz do tych dzikich dzieciaków i zaczniesz szorować podłogi.

- Nie złość się, Emmo. Przepraszam, jeśli wydałam ci się zanadto surowa. Edward jest przystojny i rozumiem, dlaczego ci się podoba. Takie młodzieńcze zadurzenie to coś zupełnie normalnego, ale masz dopiero osiemnaście lat, a on niewiele więcej, chyba dziewiętnaście. Jesteś atrakcyjna i bystra. Czy nie zdajesz sobie sprawy z tego, jak swoim zachowaniem wobec Edwarda Lamparda możesz zepsuć sobie opinię? Mamę bardzo martwi ta sytuacja.

Wspomnienie o mamie wzbudziło skrucę Emmy.

- Nie chcę jej sprawiać przykrości. Wolałaby pewnie, żebym była bardziej podobna do ciebie, ale ja po prostu mam inny charakter.

- Wiem, Emmo, i nie o to chodzi. Lubię swoje zajęcia, bo inaczej nie mogłabym przecież tego robić. Chciałabym jednak, żebyś przynajmniej była gotowa wysłuchać moich rad. A teraz idź się przebrać.

Gdy lady Elizabeth Monkton wprowadziła Cassandrę i Emmę na salę balową, było tam pełno gości, w sumie około dwustu osób z najelegantszego towarzystwa. Trwały tańce, w trakcie których damy wykonywały skomplikowane figury, a w przerwach wymieniały żarty z partnerami. Salę udekorowano pięknymi bukietami kwiatów, a kryształowe kandelabry mieniły się wszystkimi kolorami tęczy, choć i tak daleko im było do kalejdoskopu barw widocznego na parkiecie.

Lady Monkton, jedna z najbardziej wpływowych dam w towarzystwie, owdowiała przed dziesięcioma laty, stanęła za swoimi protegowanymi niczym matka kwoka. Idealnie wyprostowana, z dumą spoglądała na swoje urocze podopieczne.

Cassandra obojętnym wzorkiem omiotła salę w poszukiwaniu znajomych twarzy. Ludzi z pełnymi sakiewkami było tu pod dostatkiem. Naturalnie nie prosiła o pieniądze wprost, to nie dałoby rezultatu. Dostrzegła też kilku sprzymierzeńców swojej sprawy, którzy regularnie składali datki. Przyszli lordostwo Ross, bajecznie bogaci ludzie, a mąż lady Faversham w przeszłości już kilkakrotnie wykazał dużą szczodrość. Z zamyślenia wyrwał ją głos Emmy.

- Popatrz, Cassandro, jest Edward. Nie miałam pojęcia, że wrócił do Londynu. O, idzie w naszą stronę.

Zirytowana tym Cassandra stwierdziła, że młodzieniec istotnie zmierza w ich kierunku. Zwracał uwagę jasną czupryną i czarującym uśmiechem.

- Masz rację, Emmo. Wierzę, że nie będzie ci się narzucał i że nie zapomnisz o przyzwoitym zachowaniu. A poza tym nie wypada stać z otwartymi ustami - dodała na odchodnym.

Zostawiła siostrę pod opieką ciotki, sama zaś wyruszyła na łowy. Poczucie własnej wartości stanowiło duży atut Cassandry. Dzięki temu była nieprzewidywalna. Potrafiła urzekać wdziękiem, lecz również mrozić chłodem. Mężczyzn przyciągała bez szczególnych starań ze swej strony. Ci jednak, którzy pozwolili się zwabić, wkrótce przekonywali się, że fascynująca Cassandra Greenwood przyjmuje wszelkie hołdy jako należne jej prawo, pozostaje zaś całkowicie niedostępna.

Cassandra zdawała sobie sprawę, że jej przyszłość wygląda niepewnie, była jednak zdecydowana rzucić losowi wyzwanie. Nie zamierzała pogodzić się z rolą dojrzałego owocu ze straganu. Wiedziała, że czeka na człowieka, który ją pokocha i przekona o tym siłą męskiego autorytetu. Przyszedł jej w tej chwili na myśl kapitan Lampard i to nią wstrząsnęło.



Rozdział drugi

William nie potrafił wykrzesać z siebie zainteresowania życiem towarzyskim. Przeszkadzała mu świadomość, że ktoś nastaje na jego życie, tym bardziej że przyczyna wciąż pozostawała dla niego niejasna. Gdy otrzymał zaproszenie na bal u lady Monkton, zerknął na nie jednym okiem i już miał polecić sekretarzowi, aby wysłał uprzejmą odmowę, ale do zmiany zdania namówił go Edward, który właśnie odwiedził go po krótkim pobycie na wsi. Williama zaintrygował wyśmienity nastrój krewnego. Czyżby przyczyną była jakaś młoda dama?

W Monkton House wszedł na salę balową z nadzieją, że wieczór szybko minie. Nie chciał mu się toczyć jałowych konwersacji, zwłaszcza z damami zachwyconymi jego powrotem do Londynu. Szybko ukrył się więc z kieliszkiem szampana w słabiej oświetlonym kącie sali.

Oparty o filar, przyglądał się tłumowi gości. Uśmiechnął się pod nosem na widok Edwarda wirującego w walcu z pełną wdzięku panną, ubraną w białą jedwabną suknię z niebieską szarfą, ozdobioną na boku dwiema kokardami. Tańczący wydawali się pochłonięci sobą. William nie był tym zachwycony. Przyszłość młodego kuzyna widział w pułku, co na razie wykluczało związki uczuciowe. Postanowił uważnie obserwować Edwarda i zniechęcić go do nadmiernego zaangażowania.

Wolno powędrował wzrokiem dalej i tym razem zatrzymał go na młodej kobiecie stojącej na skraju parkietu. Coś znajomego w tej postaci przykuło jego uwagę. Nagle uświadomił sobie, skąd ją zna, i twarz mu się rozjaśniła. Sam był zaskoczony wrażeniem, jakie wywarła na nim niespodziewana obecność panny Greenwood. Zapamiętał ją w surowej szarej sukni, tymczasem teraz ujrzał Cassandrę w akcentującym wąską talię i obfite kobiece wdzięki atlasowym stroju, który cieszył oczy złamaną bielą. Nawet z daleka zwracały uwagę jej wielkie i lśniące oczy pod wyraźnie zarysowanymi, lekko skośnymi brwiami.

Jako koneser kobiecej urody William dostrzegł u niej znamiona doskonałości. Pasowała do tego świata eleganckich sukni i klejnotów znacznie lepiej niż do szpitalnego otoczenia. Skąd się jednak wzięła wśród londyńskiej śmietanki? Zafascynowany nie mógł oderwać od niej spojrzenia.

- Mam nadzieję, że oświecisz mnie, jakie myśli przychodzą ci do głowy, gdy przypatrujesz się panie Cassandrze Greenwood z takim zaborczym błyskiem w oku.

William odwrócił się i ujrzał sir Charlesa Grishama wystrojonego niczym paw w jaskrawe atłasy i aksamity. Poza znużenia była wystudiowana z taką perfekcją, że sir Charles sprawiał wrażenie na wpół uśpionego.

- Pozwolę sobie zachować własne myśli dla siebie, mimo że są bardzo pochlebne - odparł.

- Masz ją na celowniku, prawda? - wycedził Charles, unosząc do oka monokl, aby lepiej się przyjrzeć pannie Greenwood. Liczne pierścienie na jego palcach skrzyły się w świetle kandelabrow. - Nie dziwię ci się, ale jeśli zamierzasz dołączyć ją do kolekcji pań, które wygrzewają twoje łożę, to srodze się zawiedziesz. Niejeden już próbował i żadnemu się nie udało. Powinieneś najpierw dowiedzieć się nieco więcej o tej wspaniałej istocie, skoro tak długo nie pokazywałeś się w towarzystwie, zajęty polowaniem na tych przeklętych Francuzów w Hiszpanii.

- Słucham.

William był bardzo ciekaw dalszego ciągu, ale naturalnie za nic by tego nie okazał. Dobrze znał Charlesa Grishama, bystrego, wykształconego i mającego liczne koneksje. Jasnowłosy, atletycznie zbudowany, wystrojony we frak o nieskazitelnym kroju, budził powszechną zazdrość umiejętnością wiązania fularu w najbardziej wymyślne węzły. Miał też jadowite poczucie humoru, więc gdy ktoś mu się naraził, potrafił w kwadrans doszczętnie zepsuć mu opinię. Z jego ostatnich uwag William wywnioskował, że właśnie do panny Greenwood odczuwa anse.

Tymczasem Charles zażył szczyptę tabaki i zaczął przedstawiać Williamowi charakter panny Greenwood:

- Przezywają ją Lodową Damą. To mało przychylne miano, ale niektórzy powiedzieliby, że trafne. Szkoda, bo turkaweczka ma temperament i polowanie na nią mogłoby być bardzo zajmujące. Panna Greenwood to ekscentryczka, która choć bywa na balach i przyjęciach, rzadko tańczy, chyba że akurat przyjdzie jej na to ochota. To czyni ją bardzo atrakcyjną w oczach takich ludzi jak ja. Ona zresztą pewnie w ogóle nie pokazywałaby się w towarzystwie, gdyby nie starała się wyciągnąć pieniędzy na tę przeklętą ochronkę. Słyszałeś o niej?

William skinął głową i wrócił spojrzeniem do panny Greenwood dziękującej promiennym uśmiechem urzeczonemu leciwemu dżentelmenowi, który podał jej kieliszek szampana.

- Jej ciotka lady Monkton wykazuje zadziwiające zrozumienie dla tego dziwactwa, osobiście uważam jednak, że żal patrzeć, jak marnuje się taka piękna kobieta. Matka i ciotka pozwalają jej na wszystko i w rezultacie z panny Greenwood ludzie wręcz się śmieją.

- Twoim zdaniem słusznie.

- Właśnie.

William popatrzył na pannę Greenwood z jeszcze większym zainteresowaniem.

- Jest siostrzenicą lady Monkton?

- Niezupełnie. Jej matka i lady Monkton są tylko kuzynkami, ale lady Monkton przyjęła na siebie rolę ciotki panien Greenwood, kiedy umarł ich ojciec. Chciała patronować im podczas sezonu, ale, o dziwo, starsza odmówiła. To naprawdę niekonwencjonalna panna.

Trudno byłoby mi uwierzyć, że jakiś mężczyzna jej dotykał, a tym bardziej ją całował, chociaż ciało panna Greenwood ma więcej niż zachęcające.

William miał dość wynurzeń Charlesa, wyglądało jednak na to, że w dużej części są one prawdziwe.

- Wszystkich kawalerów, którzy odważą się nią zainteresować, panna Greenwood odsyła z kwitkiem.

- Mam wrażenie, że ciebie też to spotkało, i dlatego tak skwapliwie opisujesz mi jej wady.

- Miałem okazję poczuć dotyk mrozu na własnej skórze - przyznał kpiącym tonem Charles. - Zakładałem naturalnie, że jako znawca kobiet będę mógł ją wprowadzić w tajniki sztuki miłości. Trochę mnie ubodło, że dołączyłem do licznego grona odrzuconych poprzedników. Skoro wróciłeś do Londynu, kolej na ciebie. Z twoimi manierami, prezencją i bogactwem byłeś i jesteś obiektem kobiecych westchnień. Chociaż wywierasz na nich piorunujące wrażenie, to wątpię, czy zdołasz zdobyć serce tej panny.

William słuchał tego wszystkiego z lekko zblazowaną miną, bardzo uważając, aby nie dać się sprowokować do żadnych wynurzeń.

- Ale, ale... - odezwał się znowu Grisham. - Widziałem niedawno w Londynie Marka. Najwidoczniej reprezentował rodzinę w czasie, gdy uganiałeś się za Francuzami po półwyspie. Nie powiem, żeby zmienił się na lepsze. Wciąż jest takim samym nudziarzem jak w Cambridge. Skąd wzięłeś takiego kuzyna? Czy to prawda, że on biegnie na każde skinienie żony?

Surowością i nietolerancją Mark zrażał do siebie wielu ludzi. Nawet William nie najlepiej go znosił, podobnie jak jego zgryźliwą żonę Lidię. Jednak poczucie lojalności wobec rodziny, z której po śmierci jego rodziców i tragicznym wypadku starszego brata pozostali tylko Edward i Mark, nie pozwalało mu źle mówić o kuzynie.

- Nawet jeśli masz rację, jest to wyłącznie jego sprawa. Nie mógłbym lepiej wybrać pełnomocnika do pilnowania swoich interesów. Mark ma niezłomny charakter i jest człowiekiem honoru, byłbym więc wdzięczny, gdybyś pochopnie nie rzucał oszczerstw.

- Doceniam twoją postawę, chociaż moim zdaniem Mark na to nie zasługuje. Lojalność to rzadka cecha w naszych czasach, bez względu na płeć.

- Dodam jeszcze, że Mark jest następnym w kolejce do tytułu, chyba że się ożeni i spłodzi dziedzica.

- Czyżby kroiała się taka możliwość? - spytał wyraźnie zainteresowany Charles, bo ewentualne opuszczenie przez Williama grupy kawalerów znacznie zwiększyłoby pozostałym jej uczestnikom szanse na podboje.

- Tymczasem nie. Jednak kiedy zdecyduję, że chcę postarać się o dziedzica, dowiesz się o tym pierwszy - obiecał.

- Jadę jutro na parę dni do Hertfordshire, do ciotki - powiedział Charles. - Ostatnio zanieczyściłem staruszkę, a bardzo ją lubię.

- I jej pieniądze - dodał William.

- Przyznaję, że i one mają znaczenie - wyznał bezwstydnie Charles. - Będę niedaleko Carlow Parku, więc złożę wizytę Markowi, chociaż z pewnością nie zabawię u niego długo.

- Po co go chcesz odwiedzić, skoro go nie lubisz?

- Z powodu dwóch wspaniałych wierzchowców, które trzyma w stajniach. Jednego widziałem w akcji na polowaniu w styczniu i byłem pod dużym wrażeniem. Ten kasztan podoba mi się wyjątkowo, chociaż siwek też jest niczego sobie. Kiedy usłyszałem, że Mark nosi się z zamiarem sprzedania koni, zgłosiłem chęć nabycia jednego z nich, a Mark zaprosił mnie do Carlow Parku.

- Czy to są konie Marka?

- Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia, ale chyba tak.

- Jak się nazywają?

- Monarch i Franciscan.

William spochmurniał. Dowiedziawszy się w Hiszpanii o śmierci brata, poprosił listownie Marka o przejęcie opieki nad majątkiem do czasu swojego powrotu. Nie dał mu jednak wolnej ręki, toteż zirytowała go wiadomość o sprzedaży. Jednak mogła to być inicjatywa Lidii.

- Te konie nie są na sprzedaż.

Charles zmierzył Williama baczny spojrzeniem.

- Proponuję zakład.

- Ciekawe jaki.

- Uważam, że do końca sezonu nie uda ci się uwieść uroczej panny Greenwood.

Wyzwanie zostało rzucone niemal żartem, a William zadał sobie w duchu pytanie, czy jednak go nie przyjąć. Nie interesowało go uwodzenie niedoświadczonych panien, ale Cassandra Greenwood była wyjątkowa. Miał zaś naturę zdobywcy, człowieka, który musi postawić na swoim nawet w sytuacji pozornie beznadziejnej.

- A jeśli mi się nie uda?

- Wtedy zabieram jednego z tych dwóch koni z twojej stajni.

- Co będę miał z tego, rzecz jasna poza wdziękami panny Greenwood?

- Tysiąc gwinei.

William uśmiechnął się z dużą pewnością siebie.

- Zawsze mi przykro, kiedy mój przeciwnik przegrywa.

- Ze mną jest podobnie. Uwieść kobietę słynącą z niezłomnych zasad moralnych - to dopiero zadanie. To piękna róża, która czeka na kogoś, kto ją zerwie. Trudno o cenniejszą zdobycz.

- Istotnie.

- Wobec tego zakład stoi. Nie ma potrzeby potwierdzać go na piśmie. Porozumienie dżentelmenów jest wiążące.

Zadowolony z siebie Charles Grisham się oddalił, a William znów zaczął wodzić wzrokiem za panną Greenwood. Przez chwilę obserwował, jak dobrze radzi sobie w towarzystwie. Nic dziwnego, musiała mieć w tym dużą wprawę, skoro od wyników takich konwersacji zależała przyszłość jej podopiecznych.

Wyszedłszy z ciemnego kąta, William ruszył w stronę panny Greenwood. Tłum się przed nim rozstępował. Cassandra zastanawiała się właśnie, z kim nawiązać kolejną rozmowę, gdy zobaczyła zbliżającego się wysokiego, roztaczającego aurę władczości kapitana Lamparda.

- Dobry wieczór, panno Greenwood - powiedział uwodzicielskim tonem.

- Kapitan Lampard. Co za niespodzianka.

- Dla mnie jeszcze większa niż dla pani, panno Greenwood - odrzekł z szelmowskim uśmiechem. - Nawiasem mówiąc, pięknie pani wygląda. W bieli jest pani znacznie bardziej do twarzy niż w tym szaroburym habicie, który miała pani na sobie w dniu naszego pierwszego spotkania.

William zatrzymał wzrok na jej piersiach, dając do zrozumienia, że interesują go wdzięki znajdujące się pod suknią. Potem spojrzał jej w oczy i wytrzymał tak dłuższą chwilę, aż w końcu panna Greenwood lekko się zaczerwieniła.

- Co pan tu robi, kapitanie Lampard? - spytała z ostentacyjnym chłodem.

- Zaprosiła mnie pani ciotka.

- Lady Monkton jest w rzeczywistości jedynie kuzynką mojej mamy, ale to nie ma większego znaczenia. Odkąd pan wie o naszym pokrewieństwie?

- Od dziesięciu minut. - Jeśli sądziła, że postarał się o zaproszenie na bal specjalnie z myślą o niej, to w tej chwili przeżyła rozczarowanie, a w każdym razie taką miał nadzieję. - Znudziło mnie wyglądanie z okna mojego londyńskiego domu, więc przyszedłem sprawdzić, czy w Monkton House widoki są ciekawsze. - Celowo mówił bardzo wolno. - Miło mi donieść, że rezultat przeszedł moje najśmielsze oczekiwania.

Cassandra odwróciła się nieco i zmierzyła go z ukosa zimnym spojrzeniem.

- Nie ma pan innych zajęć, niż narzucać się kobietom, kapitanie Lampard? - spytała.

- Przyznaję, że można odnieść takie wrażenie, w tej chwili jednak tylko jedna kobieta absorbuje moją uwagę.

- Wielu dżentelmenów próbuje szczęścia przy stolikach do gry w karty. Czemu pan do nich nie dołączy?

- Ponieważ rozmowa z panią wydaje mi się wyjątkowo przyjemnym sposobem spędzania czasu.

- Ufam, że pańskie ramię goi się dobrze.

- Już prawie mnie nie boli, chyba że się urażę. Doktor Brookes znakomicie się spisał. Jestem waszym dłużnikiem, panno Greenwood.

- To prawda, kapitanie - przyznała oschle. Nie zapomniała mu, że zaniedbał przesłać obiecany datek.

- Mam nadzieję, że otrzymała pani czek - powiedział, jakby czytał w jej myślach.

- Nie przypominam sobie.

William zmarszczył czoło; sekretarzowi niewątpliwie należała się reprimenda.

- Domyślam się, że musiało zajść nieporozumienie. Dałem czek sekretarzowi, aby osobiście go doręczył. Bardzo przepraszam, jeśli nie dotarł do celu. Zapewniam, że jutro z samego rana zajmę się tą sprawą.

- Dziękuję, doceniam pańską troskę. Może po tym niefortunnym doświadczeniu przynajmniej zastanowi się pan, zanim zdecyduje się na pojedynek, wszystko jedno, czy chodzi o różnicę poglądów, dług karciany czy cudzołóstwo. O ile zresztą mi wiadomo, to ostatnie jest najbardziej prawdopodobne w pańskim wypadku.

- Myli się pani. Widzę też, że nie ma pani pojęcia o regułach pojedynków.

- Nie?

- Nie. Przede wszystkim pojedynek odbywa się w obecności świadków pełniących funkcję sekundantów, a także lekarza. Czy widziała pani kogoś takiego w parku?

- Nie.

- Poza tym nie popieram tego zwyczaju. Może ma pani ochotę pospacerować po ogrodzie lady Monkton? Chętnie oświecę panią w kwestii walk honorowych.

- Z panem nigdzie nie pójdę.

Uśmiechnął się pobłaźliwie, choć wciąż mierzył ją spojrzeniem pełnym zdecydowania.

- Rozumiem, panno Greenwood, zależy mi jednak, aby zamienić z panią kilka zdań na osobności. - Ująwszy ją pod ramię, zaprowadził w głąb niszy na obrzeżu sali. - Ma pani całkowicie mylne wyobrażenie o epizodzie w parku. Nie było pojedynku. Wybrałem się na poranną przejażdżkę, a ktoś próbował mnie zabić.

- Dlaczego ktoś chciałby pana zabić?

- Na razie nie wiem, ale na pewno się dowiem. Czy w parku zauważyła pani coś podejrzanego?

- Owszem. Teraz przypominam sobie, że w pobliżu miejsca, gdzie pana znalazłam, pomiędzy drzew wyjechał mężczyzna. Nie dojrzałam jego twarzy schowanej pod rondem kapelusza.

- A koń? Kary, gniady, siwy?

- Gniadosz, ale bardzo ciemny. Usłyszałam strzał, więc bardziej niepokoiło mnie, co zaszło, niż wygląd mężczyzny i konia. Sądzi pan, że ten człowiek spróbuje jeszcze raz?

William skinął głową.

- Często jeżdżę o tej porze po parku. Napastnikowi nie chodziło o rabunek, zakładam więc, że chciał mnie zabić. A skoro spróbował raz, to nie sądzę, żeby łatwo dał się zniechęcić.

- Musi pan uważnie rozglądać się dookoła.

- Zamierzam. Nie należę do tych, którzy uciekają przed niebezpieczeństwem. Jako żołnierz nauczyłem się widzieć, co dzieje się za moimi plecami. Nie przypuszczałem jednak, że będę musiał podtrzymywać ten nawyk w Londynie.

- Wygląda na to, że ma pan śmiertelnego wroga, kapitanie Lampard.

- Istotnie.

- Czyli pan jest niewinny i nie sprowokował walki?

- Nie powiedziałbym o sobie, że jestem niewinny, panno Greenwood, ale nie przyznałbym racji tym, którzy uważają mnie za skończonego łajdaka.

- Nie przyszłoby mi do głowy sądzić, że jest inaczej. Słyszałam jednak historie, które stawiają pana w bardzo złym świetle.

William oparł się w nonszalanckiej pozie o filar.

- Bardzo mnie pani intryguje, panno Greenwood. Proszę mi powiedzieć, czy od dawna potępia pani wielki świat?

- Tak sądzę. W tych wszystkich zgromadzeniach uczestniczę nie dlatego, że sprawia mi to przyjemność. Traktuję je jako środek do celu bliskiego mojemu sercu.

- Kiedy opowiedziała mi pani pierwszy raz o zbieraniu datków, byłem gotów uznać pani metody za naganne, teraz jednak widzę, jak jednym spojrzeniem i kilkoma odpowiednio dobranymi słowami umie pani zachęcić ludzi, aby sięgnęli do kieszeni.

- O to mi chodzi.

- Jest pani niesłychanie bezpośrednią, wręcz zuchwałą kobietą, panno Greenwood.

- Jeśli chce mnie pan lepiej poznać, musi pan się przyzwycząić do moich manier i sposobu, w jaki rozmawiam z ludźmi. Pan nie aprobeuje tego, co robię, prawda, kapitanie Lampard?

- Nie moją rzeczą jest to aprobeować lub nie.

- Mimo to chętnie wyraża pan opinię.

- To kwestia charakteru, a poza tym mam do tego prawo.

Cassandra przybrała znudzoną minę i rozejrzawszy się dookoła, oznajmiła:

- Nie znoszę tych przyjęć i balów. Rozrywki towarzyskie mało mnie obchodzą.

Najchętniej wyszłabym stąd nawet w tej chwili. Proszę tylko popatrzeć, kapitanie, na te mamusie wyciągające szyje, żeby nie stracić z oczu pociech. Wprowadzają je do towarzystwa i zmuszają, żeby paradowały po salonach jak kłaczki na aukcji. Zostaną sprzedane temu, kto da najwięcej, ma najlepszy tytuł i jest najbogatszy.

- Przyznam, że nie zastanawiałem się nad tą sprawą - stwierdził William. Bardziej interesowała go panna Greenwood. Jej turkusowe oczy lśniły w wyjątkowo absorbujący sposób. - To rzeczywiście musi być przykre dla młodych dam.

- Niech pan nie sili się na współczucie. One tylko tego chcą od życia: pięknych sukien i klejnotów. Ich matki mają obsesję na punkcie etykiety, rozprawiają o moralności i interesują się tylko opiniami swoich znajomych i przyjaciółek. Dlatego pilnują, żeby ich córki mówiły jedynie to, co wypada, nie zatańczyły więcej niż dwa razy z dżentelmenem i tak dalej. To jest męczące i nudne.

- Pani jest doprawdy niekonwencjonalną młodą kobietą, panno Greenwood.

- Nienawidzę tych wszystkich ograniczeń, które system społeczny nakłada na kobiety.

- Czy to znaczy, że chciałaby pani przekonać społeczeństwo do odstąpienia od jego błędnych przyzwyczajzeń? Domagać się zerwania z konwenansami, które zniewalają kobiety od stuleci?

- Gardzę konwenansami, co zresztą pan zauważył. Żyję tak, jak mi się podoba, choć naturalnie staram się nie urazić tych, których kocham i którzy mnie kochają.

- Czy zechce pani zrezygnować z narzuconych sobie ograniczeń i wyświadczy mi zaszczyt wspólnego tańca?

Cassandra spłonęła rumieńcem.

- Nie lubię tańczyć.

- Nalegam. Przecież jesteśmy na balu, a po co ludzie tutaj przychodzą? Umie pani tańczyć?

- Naturalnie, tyle że nie chcę.

- Wprawia mnie pani w zakłopotanie. Nie daje mi pani najmniejszych podstaw do nadziei na coś więcej.

- Zupełnie słusznie - odparła wyniośle. - Powiedziałam panu, że nie lubię tych zgromadzeń.

- Zdaje się, że przypominanie mi o tym sprawia pani szczególną przyjemność. Jednak nie jestem przekonany o szczerości tych wynurzeń. Nie ma na świecie kobiety, która nie lubi tańczyć. Nie wierzę, żeby pani różniła się pod tym względem od innych. - William pochylił się ku Cassandrze, widząc, że się zmieszała. - Nie myślę się, prawda?

- Wiem, co mówię - oświadczyła Cassandra.

- Proszę mi powiedzieć, dlaczego pani mnie nie lubi, panno Greenwood? Czy z powodu datku, którego mój sekretarz nie dostarczył? A może w grę wchodzi obiekcje osobistej natury?

Cassandra spąsowiała na twarzy.

- Nie lubię pana, ale nie z powodów, które dotychczas zostały wymienione.

- Proszę więc mnie oświecić.

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Chodzi o moją siostrę.

- O pani siostrę?

- Tak. I pańskiego kuzyna.

- Edwarda?

- Tak. - Odwróciła się ku parkietowi, na który właśnie wkraczała Emma w towarzystwie Edwarda Lamparda. - Może pan tego nie zauważył, kapitanie, ale pański kuzyn tańczył już z moją siostrą dwukrotnie, a teraz zamierza to zrobić po raz trzeci. Emma ma dopiero osiemnaście lat, a jeśli tak dalej pójdzie, jej reputacja zostanie bezpowrotnie splamiona, nim doczeka się debiutu.

Całkowicie nieprzygotowany na taki obrót spraw William zwrócił się ku kuzynowi i jego partnerce.

- Ta młoda dama jest pani siostrą?

- Tak. Niestety, ci dwoje poczuli do siebie upodobanie.

- Upodobanie?

- Właśnie.

- Edward jest rozsądnym i wrażliwym młodym człowiekiem. Jako jego starszy kuzyn mogę jedynie pochwalić gust pani siostry.

- On nie jest ani rozsądny, ani wrażliwy, jeśli nie widzi, że może całkiem ją skompromitować - stwierdziła Cassandra.

- Spędzają razem stanowczo zbyt dużo czasu. Dokądkolwiek się wybieramy, natrafiamy na pańskiego kuzyna: w parku, na wieczorku, w teatrze. Te spotkania na pewno nie są przypadkowe, lecz organizowane wcześniej w sposób znany tylko Emmie i Edwardowi.

- Proszę mi wybaczyć, panno Greenwood, ale popada pani w sprzeczność. O ile pamiętam, sugerowała pani, że zakazy i ograniczenia narzucane przez towarzystwo są nie do przyjęcia. Skoro jest pani tego zdania, to dlaczego obawia się o reputację siostry?

- Mówiłam o sobie, a nie o siostrze, kapitanie Lampard. Z nią sprawy przedstawiają się zgoła inaczej. Opinię o konwenansach wyraziłam całkiem szczerze.

William z trudem powściągnął rozbawienie.

- Czy odczuwa pani niechęć do mojego kuzyna, panno Greenwood? Jeśli tak, to wszelkie powzięte z góry opinie na jego temat, czyniące z niego łajdaka i człowieka niegodnego, uważam za obraźliwe w najwyższym stopniu. Czy traktuje pani Edwarda jako zagrożenie?

- Traktuję go nie tyle jako zagrożenie, co raczej niefortunny wypadek.

- Stoi pani przed problemem spędzającym sen z powiek - oświadczył z błyskiem wesołości w oczach William.

- Czy pan stroi sobie ze mnie żarty, kapitanie Lampard? - zapytała oburzona Cassandra.

- Niech Bóg broni. Chodźmy, panno Greenwood - powiedział William, widząc jej wahanie. - Ludzie zaczynają się nam przyglądać. Pani opór tylko zwiększa moją determinację. Jeśli ten taniec nie będzie mój, mogę zmienić zdanie co do wysokości datku. Pomniejszyć go, rzecz jasna.

Nieoczekiwanie Cassandra uśmiechnęła się i William poczuł się tak, jakby nagle dostał wyjątkowo piękny prezent.

- Grzeczność nakazuje, bym z panem zatańczyła.

- Jest jeszcze kwestia datku - skwapliwie przypomniał.

- Naturalnie, ale to brzmi w moich uszach jak szantaż, kapitanie Lampard.

- Może pani tak to nazwać, wolę mówić o perswazji.

- Zgoda, przekonał mnie pan. Poddaję się. William podał jej ramię.

- Żywiłem nadzieję, że się porozumiemy - powiedział cicho. - Jeśli sprawy dalej będą tak się toczyć, może nawet zostaniemy przyjaciółmi, panno Greenwood.

- Na pańskim miejscu nie stawiałabym na to wielkich sum.

- To mogłoby być kuszące - odrzekł Williama. - Nie jestem wrogiem hazardu.

Na sali zapanowało poruszenie. Wszyscy jak jeden mąż skierowali spojrzenia ku jednej parze. Cóż, lord Lampard umiał oczarować damę, a dowiódł tylko tego, że zasadnicza panna Cassandra Greenwood nie różni się od innych kobiet. Mimo to wszyscy kawalerowie, których propozycje Cassandra ostatnio odrzuciła, zwątpili w swoją atrakcyjność. Bądź co bądź, był to pierwszy taniec lorda Lamparda po powrocie do Londynu. Zważywszy zaś na jego opinię uwodziciela, przyglądali mu się z najwyższą uwagą.

William objął Cassandrę w talii i zaborczo przyciągnął do siebie.

- Mam nadzieję, że pani mnie nie okłamała i umie tańczyć - powiedział. - Inaczej oboje wystawimy się na pośmiewisko.

- To, że nie mam zwyczaju tańczyć, nie znaczy, że nie potrafię. Niech pan prowadzi, kapitanie.

- Cała przyjemność po mojej stronie, panno Greenwood. Proszę zapomnieć o podopiecznych i gromadzeniu datków. Niech pani będzie przez chwilę damą z towarzystwa, która chce dobrze się bawić. Proszę mi wierzyć, że są miłsze sposoby na spędzanie czasu niż wyciąganie pieniędzy od bogatych ludzi.

Z tymi słowami wykonał z nią pierwszy obrót na parkiecie. Nozdrza wypełniła mu miła woń pachnidła, a dotyk ich ciał sprawił nie mniejszą przyjemność. Perspektywa zacieśnienia znajomości z panną Greenwood wydawała się obiecująca. Celowo przyciągnął ją do siebie jeszcze bliżej, a gdy zetknęły się ich biodra, wyczuł dreszczyk przebiegający po jej ciele.

Zaskoczyłoby go i bardzo mu pochlebiło, gdyby wiedział, że myśli Cassandry popłynęły zbliżonym kursem. Kapitan prowadził ją w tańcu z niezwykłą lekkością, mimo to czuła promieniującą od niego siłę. Uniósłszy wzrok, zatrzymała go na twarzy partnera.

- Dobrze pan tańczy, kapitanie Lampard.

- Jest pani znawczynią?

- Umiem odróżnić dobre od złego. Proszę mi powiedzieć, czy zawsze dostaje pan to, czego chce?

- Zazwyczaj - odparł. - Może dlatego, że jestem niepoprawnym egoistą, aroganckim i bezwzględny, a do tego łajdakiem pierwszej wody. Tak przynajmniej twierdzą ci, którzy mnie znają. To kwestia wychowania. W dzieciństwie zaspokajano każdy mój kaprys, nawet najmniejszą zachciankę.

- Mówiąc wprost, był pan rozpieszczonym dzieckiem. Po mężczyźnie trudno się spodziewać czegoś innego - zauważyła Cassandra.

Walc się skończył i kapitan Lampard wypuścił z objęć Cassandrze, ale ciepło dotyku pozostało. Odprowadził ją do miejsca, w którym lady Monkton siedziała z innymi matronami i wymieniała plotki, racząc się do woli łakociami. Wysoka dama o jasnej karnacji spojrzała na nich z wyraźną przyjemnością.

- Cassandro, moja droga, jak to miło widzieć cię w końcu na parkiecie, w dodatku z lordem Lampardem. Już prawie straciłam nadzieję co do mojej kuzynki - stwierdziła całkiem łaskawie, choć wciąż tliła się w niej uraza z powodu niedoszęgu do skutku debiutu. - Proszę jej wybaczyć, milordzie. Ona nie znajduje zainteresowania w rozrywkach towarzyskich, dla niej ważniejsze są kwestie społeczne.

- Należy to podziwiać, lady Monkton.

- Cieszę się, że pan tak sądzi. Muszę jednak zwrócić panu uwagę, że jest stanowczo zbyt przystojny. W każdym razie mam nadzieję, że bawi się pan dobrze.

- Znakomicie, lady Monkton. Dziękuję za zaproszenie. - William skłonił się z wystudiowaną dystynkcją nad dłonią starszej damy. - Czy wolno mi będzie powiedzieć, że wygląda pani jeszcze piękniej niż zwykle?

Lady Monkton się roześmiała, a Cassandra była pewna, że pod warstwą różu policzki ciotki pokryły się rumieńcem.

- Pochlebca. Muszę zresztą powiedzieć, że, podobnie jak wszystkie obecne tu damy, jestem zachwycona pańskim powrotem do towarzystwa. Londyn stanie się znacznie ciekawszym miejscem. Dzięki Bogu, że przyłożył pan rękę do pobicia Bonapartego.

Muzycy znowu zaczęli grać. William postanowił, że nie da się zbyć byle czym i ponownie zwrócił się do Cassandry.

- Panno Greenwood, czy mogę mieć przyjemność zatańczenia z nią jeszcze jednego walca?

- Sądzę, że... - zaczęła Cassandra, zamierzając odmówić.
- Musisz się zgodzić - wpadła jej w słowo lady Monkton.
- Dwa razy z jednym partnerem z pewnością wypada zatańczyć, więc możesz

spokojnie to zrobić. Miłej zabawy.

Cassandra ciężko westchnęła i odwróciła się ku środkowi sali.

- Poprosiłem tylko o drugi taniec, panno Greenwood, o nic więcej - powiedział William, dyskretnie popychając ją ku parkietowi. - To przecież nie nadmierna poufałość.

- Cieszę się, kapitanie Lampard, bo nawet jeśli obieca mi pan bardzo szczodry datek, na większą poufałość niż wspólny taniec z pewnością nie pozwolę. Nie jestem nawet przekonana, czy pana lubię.

- Kto tu mówi o lubieniu? - zapytał ze śmiechem, biorąc ją w ramiona. - Przyjemny jest sam akt.

- Kapitanie Lampard! - skarciła go, poczerwieniawszy. - Pan wprawia mnie w zakłopotanie. Bardzo proszę przestać, bo będę zmuszona opuścić go pośrodku parkietu, a to nie jest potrzebne ani panu, ani mnie. - Z trudem powściągnęła uśmiech. - Mam rozumieć, że pan się ze mną drażni?

- Bez wątpienia.

- Proszę tego nie robić.

- Przyjemnie jest panią drażnić. Wydaje mi się to zabawne, a poza tym jest ciekawym doświadczeniem.

- Gdy skończy się ten taniec, muszę porozmawiać z kilkoma osobami, a także zamienić słowo na osobności z siostrą. O ile dobrze widzę, pański kuzyn prowadzi ją do sali z napitkami.

William zerknął na Edwarda, który sprawiał wrażenie wniebowziętego.

- Pani siostra wygląda uroczo i bardzo młodo - powiedział z pewnym poczuciem winy.

- Niech jej wygląd pana nie zwiedzie. Ona ma bardzo romantyczne usposobienie, a pański kuzyn zdołał zdobyć nad nią władzę. Podobno miłość jest ślepa, a Emma w obecności Edwarda chyba rzeczywiście niczego nie widzi. Nie pozwolę na to, żeby ją wykorzystał i porzucił. Emma zostałaby usunięta poza nawias towarzystwa jeszcze przed debiutem. Wprawdzie mam nadzieję, że moja naiwna siostra będzie zachowywać się stosownie i dyskretnie, ale wiem też, że jest piekielnie uparta i doprawdy trudno jej cokolwiek wytłumaczyć.

- Może wrodziła się w starszą siostrę - zasugerował rozbawiony William.

- Na pewno nie. Nie liczy się z moimi opiniami, a mamy też nie chce słuchać.

- Jeśli to panią uspokoi, powiem, że odnoszę się bardzo nieprzychylnie do jakichkolwiek nazbyt bliskich znajomości Edwarda.

- Naprawdę? Uważam, że jeśli szybko nie zaczniemy przeciwdziałać, to sprawy mogą się skomplikować. Emmy nie sposób powstrzymać, kiedy wbije sobie coś do głowy.

- Co pani proponuje?

- Czy nie mógłby pan nakazać kuzynowi, żeby jej unikał, albo dokądś go wysłał?

- Edward ma wstąpić jako kadet do Akademii Wojskowej i liczy na zdobycie patentu oficerskiego. W obecnej sytuacji międzynarodowej jego pułk bez wątpienia zostanie wysłany za granicę.

- To rozwiązuje problem. Tymczasem mógłby pan z nim porozmawiać i mieć go na oku. Nie podoba mi się wizja spowinowacenia z Lampardami.

- To niezwykle - zakpił William. - Wydaje mi się, że wszystkie młode damy marzą wyłącznie o znalezieniu bogatych mężów, a Edward jest majątny. Bardzo mnie dziwi kwestionowanie przez panią szacowności mojej rodziny, ponieważ jej członkowie mają wzorowe maniery i znacznie lepsze koligacje niż wielu innych ludzi obracających się w towarzystwie.

- Z pewnością ma pan rację - zreflektowała się Cassandra.

- Pozycja społeczna pańskiej rodziny jest poza wszelką dyskusją, ale bogactwo i nazwisko nie dają człowiekowi prawa do samowolnego postępowania i poczucia bezkarności. Przepraszam, że to mówię, ale jeśli Edward okaże się choć w części takim utracjuszem, za jakiego pan uchodzi, to będzie jak najgorszym mężem.

William zmienił się na twarzy i pociągnął Cassandrę poza parkiet.

- Panno Greenwood - rzekł z gniewem. - Jeśli wyobraża sobie pani, że choć przez minutę mógłbym aprobować małżeństwo Edwarda z pani siostrą, to żywi pani złudzenia. Wiem jednak, że dziesiątki matron chcą przekonać mnie do poślubienia ich córek i skłonne są w takiej sytuacji przymknąć oko na moje utracjuszostwo, jak pani to bez ogródek nazwała. Zaczynam rozumieć, że nie ma pani o mnie najwyższego mniemania. Z reguły nie przejmuję się cudzymi opiniami i z pewnością nie pozwolę, żeby wpływały na moje postępowanie. Dotyczy to również pani opinii.

Cassandra, urażona gwałtownym zakończeniem tańca i autorytatywnym wykładem, spojrziała na kapitana wyniośle, jednak wyraz jego twarzy przekonał ją, że przesadziła w krytyce. Oznaczało to, że z własnej i nieprzymuszonej woli postawiła się w fatalnym położeniu.

- Bardzo przepraszam. Obraziłam pana, ale moje słowa wynikały wyłącznie z troski o siostrę.

- Powiedziała pani aż nadto, panno Greenwood. Jeśli szuka pani sposobu, aby mnie upokorzyć, proszę się nie trudzić. Może pani być pewna, że jutro przed południem dotrze do pani mój datek. Na tym koniec. Życzę pani dobrej nocy.

William obrócił się na pięcie i sprężystym krokiem opuścił salę balową. Osłupiała Cassandra przez chwilę za nim patrzyła. Szybko jej upokorzenie zostało wyparte przez złość.

Jak on śmiał tak po prostu wyjść?! Ten człowiek jest całkowicie niewychowany! Pozuje na Bóg wie kogo i zawraca w głowie wszystkim kobietom.

Gdy muzyka ucichła, uświadomiła sobie nagle, że stała się obiektem zainteresowania, a ludzie w grupkach wymieniają szeptane uwagi na temat zajścia. Usiłując wykrzesać resztki godności, wysoko uniosła głowę i wróciła do ciotki Elizabeth. Wkrótce potem opuściła bal i pojechała do domu. Gdy kładła się do łóżka, przypomniał jej się nagle uśmiech kapitana. Nie mogła też zrozumieć, dlaczego pod wpływem dotyku jego dłoni szybciej zabiło jej serce. Zdezorientowana zdmuchnęła świecę.



Rozdział trzeci

W drodze powrotnej na Grosvenor Square William nadal był wściekły. Słyszając takie uwagi, w innych okolicznościach wzruszyłby ramionami i natychmiast o nich zapomniał. Okazało się jednak, że zawsze pewny siebie lord Lampard, który zwykł traktować kobiety z protekcjonalną wyższością, sprowokował awanturę wyłącznie dlatego, że panna Greenwood powiedziała mu prawdę w oczy.

O dziwo, nie dawało mu spokoju sumienie, chociaż sądził, że go nie ma. Jak mógłby dla zabawy uwieść i skompromitować pannę, która miała w sobie tyle dobra i ufności? To był naprawdę szalony pomysł i William przeklinał swoją głupotę i zawarty zakład. Pierwszy raz od bardzo dawna spotkał tak szczerą kobietę. Co gorsza, wiedział, że zależy mu na tym, żeby panna Greenwood wyrobiła sobie o nim dobre zdanie.

Opuściła go złość, zanim powóz podjechał pod dom. Jej miejsce zajął wstyd. Jak mógł w taki niecywilizowany sposób rozstać się z Cassandrą? Postanowił, że nie będzie jej się narzucał. Za nic nie dopuści do tego, aby jej oczy o morskiej barwie, anielska twarz i ciało bogini zmieniły jego decyzję. Do diabła z Grishamem i z zakładem. Charles może sobie wziąć tego konia. Z tą myślą William wysiadł z powozu.

Następnego ranka Cassandra wracała do Kensington, a Emma miała zostać pod opieką ciotki Elizabeth, która podobno obiecała spełnić wielkie pragnienie podopiecznej i wybrać się z nią po zakupy. Jednak lady Monkton jeszcze nie wstała, więc Cassandra musiała się zadowolić zapewnieniem siostry. Nie było w tym zresztą niczego podejrzanego, ponieważ Emma spędzała w Monkton House niemało czasu i była przez ciotkę ponad miarę rozpieszczana.

Żegnając się z siostrą, Cassandra zwróciła uwagę na jej bladość. Również rozbiegane spojrzenie zdawało się wskazywać, że Emma jest myślami w całkiem innym świecie.

Cassandra i Harriet skończyły właśnie kolację, gdy przyjechała lady Monkton. Widać było, że daleko jej do spokoju.

- Słuchajcie, kochane, stało się coś strasznego! Nie wiem, jak wam to powiedzieć.

- Usiądź, droga ciotciu - powiedziała Cassandra. - Jesteś bardzo wzburzona.

Gdy udało się ulokować lady Monkton na krześle z wysokim oparciem, z trzaskiem otworzyła wachlarz i zaczęła energicznie chłodzić sobie twarz. Instynkt podpowiedział Cassandrze, kto mógł ciotkę wyprowadzić z równowagi.

- Chodzi o Emmę, prawda?

- Nie ma jej... znikła... Uciekła... z Edwardem Lampardem.

- Uciekła?! - powtórzyła z niedowierzaniem Harriet.

Cassandra w pierwszej chwili nie była w stanie zebrać myśli. Kiedy jednak spojrzała na pobladłą twarz matki, zrozumiała, że musi wziąć się w garść.

Tymczasem Harriet, ściskając rękę córki, wpatrywała się bez słowa w kuzynkę. Była silną kobietą, uważano, że potrafi zachować spokój nawet w trudnych chwilach, a długie godziny spędzane w ochronce przyzwyczyły ją do niełatwych sytuacji. Po śmierci męża uznała, że najgorsze ma za sobą. Nie mieściło jej się w głowie, że Emma mogła postąpić tak lekkomyślnie.

- Wierzcie mi, nie miałam pojęcia, co ona knuje - powiedziała łamiącym się głosem lady Monkton, manipulując chusteczką przy kącikach oczu. - Jest mi niesłychanie przykro. Cała wina naturalnie spoczywa na mnie. Wiedziałam, że ona lubi tego młodego człowieka, że schlebiają jej te wszystkie względy. Jaka osiemnastoletnia panna zachowywałaby się inaczej? To przystojny najbliższy krewny lorda Williama Lamparda, którego pochodzeniu nie sposób niczego zarzucić. Ich ojcowie pochodzili w prostej linii z jednej z najstarszych angielskich rodzin, podobnie jak matka lorda Lamparda.

- Tak. Idealny kandydat na znajomość po debiucie - przyznała Harriet. - Ale nie teraz. Uważam, że Emma powinna poznać innych kawalerów, zanim zdecyduje się na małżeństwo. Wiedziałam, że wodzi oczami za Edwardem Lampardem, nie sądziłam jednak, że to aż tak poważne. Dlaczego nie mogła poczekać? Inna sprawa, że cierpliwość nigdy nie była jej mocną stroną. To nie twoja wina, Elizabeth.

- Bardzo jesteś miła, Harriet, ale nie wolno mi było do tego dopuścić - odrzekła lady Monkton. - Miałam tyle nadziei, tyle planów... a ona uciekła. - Smutno pokiwała głową. - Nadal nie mogę w to uwierzyć.

- Uczyniłaś Emmie wiele dobra, zawsze można było na tobie polegać. Od śmierci Jamesa szczerze nas wspierasz i dbasz o to, aby nasze życie wyglądało godnie. Będę ci za to zawsze wdzięczna, Elizabeth. Naprawdę nie mam do ciebie żalu. Zawiniła ta głupia, uparta Emma. No i ja. Spędzam tyle czasu w ochronce, że nie zauważyłam, co się kroi.

- Niewdzięcznica - zawyrokowała wściekła na siostrę Cassandra. - Przestrzegałam, że wpakuje się w tarapaty. Próbowałam z nią rozmawiać o znajomości z Edwardem Lampardem, ale w tej sprawie nie było możliwości przedstawienia Emmie rozsądnych argumentów. Mimo to czegoś takiego się nie spodziewałam.

- Myślałam, że ona wróciła z tobą, Cassandro - zapewniła lady Elizabeth; - Służąca sprzątała jej pokój i znalazła liścik na toaletce. Wtedy ucieczka wyszła na jaw. - Wsunąwszy rękę do torebki, wyciągnęła kartkę.

Cassandra wzięła list od ciotki i przebiegła go wzrokiem. Poczula na plecach zimny dreszcz.

- Pisze, że wyjeżdża z Londynu. Kochają się z Edwardem i nie mogą bez siebie żyć. Pobiorą się w Szkocji. - Pod spodem znajdował się zamaszysty podpis.

- W Szkocji, ale gdzie? - spytała Harriet.

- Zapewne w Gretna Green - odrzekła lady Elizabeth. - To pierwsza stacja, gdzie można za granicą zmienić konie. W Anglii nieletni nie mogą zawrzeć małżeństwa bez zgody rodziców, ale w Szkocji nie ma takich ograniczeń. Wśród młodych ludzi ucieczki do Gretna Green są nawet modne.

- Wszystko musiał zaplanować ten młody człowiek - stwierdziła Harriet. - Co robimy, Cassandro?! Trzeba sprowadzić Emmę z powrotem, zanim będzie za późno. Zanim... zanim...

- Możemy zrobić tylko jedno, mamó. Złożę wizytę lordowi Lampardowi. Być może zresztą sam już jest w pół drogi do Szkocji. Przypuszczam jednak, że raczej o niczym nie wie, bo Edward obawiałby się jego pościgu. W razie gdyby lord Lampard chciał ich zatrzymać, pojedę razem z nim.

- Nie możesz złożyć wizyty dżentelmenowi, Cassandro, a już na pewno nie możesz jechać z nim do Szkocji - orzekła Harriet.

- Mamó, to nie pora, żeby przejmować się takimi drobiazgami. W tej sprawie nie mam najmniejszych skrępowań, jeśli chodzi o złamanie etykiety. Na szali jest dobre imię Emmy, musimy utrzymać całą sprawę w tajemnicy. Inaczej drzwi salonów zamkną się przed nią bezpowrotnie. Nie martw się mamó, na pewno przywiozę ją z powrotem.

- Pojadę z tobą, moja droga. - Lady Monkton próbowała unieść się z krzesła, ale na jej twarzy pojawił się zbolący wyraz. Przytknęła dłoń do piersi.

- Nie trudź się, ciociu - powiedziała zdecydowanym tonem Cassandra i wcisnęła liścik Emmy do kieszeni. - Zostań tutaj i zaopiekuj się mamą. Każę ci przysłać szklanek mleka i coś na żołądek.

Harriet podeszła do córki.

- Obiecuj mi, proszę, że kiedy będziesz rozmawiać z lordem Lampardem, zachowasz spokój. Dobrze wiem, co może się stać, kiedy wpadniesz w gniew.

- Nic na to nie poradzę. Wiem, jacy rozwydrzeni są hrabiowscy panicze i nie pozwolę, aby patrzono na mnie z góry.

Nie zwlekając, Cassandra poszła do swojego pokoju, pospiesznie spakowała do sakwojażu kilka strojów na wypadek długiej podróży i kilka minut później powóz wiozł ją na Grosvenor Square.

Znalazszy się przed londyńską rezydencją lorda Lamparda, nawet nie zwróciła uwagi na jej okazałość, poleciła tylko Cieniowi czekać na dalsze instrukcje. Gdy jednak wpuszczono ją do środka, wspaniałość wnętrza zrobiła na niej wrażenie.

William nie był w dobrym nastroju, kiedy Siddons otworzył drzwi wielkiego zielonego salonu i obwieścił przybycie gościa. Właśnie wybiła ósma wieczorem, tymczasem od dziesiątej rano Edward powinien był znajdować się w Akademii Wojskowej, ale jakimś dziwnym trafem od dziewiątej rano nikt go nie widział. Chłopak przepadł jak kamień w wodę.

- Bardzo przepraszam, milordzie. - Siddons, zwykle sztywny i beznamiętny, tym razem wydawał się poruszony. - Ta młoda dama nalega, że musi zostać przyjęta. Kazałem jej poczekać, aż ją zaanonsuję, ale odmówiła.

William zmrużył oczy i spojrział za plecy kamerdynera.

- Dziękuję, Siddons, nic się nie stało. Panna Greenwood jest moją znajomą, więc możesz nas zostawić.

- Wasza lordowska mość wie, dlaczego przyszłam.

- Nie przypominam sobie, że bym panią zaprosił.

- Zawsze byłam porywcza - odparła Cassandra i wyminawszy kamerdynera, weszła do salonu, nie spuszczać wzroku z lorda Lamparda, którego uważała za źródło wszystkich nieszczęść jej rodziny.

- Panno Greenwood - odezwał się, gdy służący opuścił pokój. - Jeśli przyszła pani po obiecany przeze mnie datek, to szkoda czasu. Został dostarczony dziś z samego rana.

Zbita z tropu Cassandra spojrziała na niego z niezbyt mądrą miną.

- Datek? Nie przyszłam w tej sprawie. Czy pan sądzi, że myślę wyłącznie o pieniądzach i nie mam innych zmartwień?

- A jakież to może być zmartwienie? - odparł, pogardliwie wydymając wargi. - Jeśli nie chodzi o pieniądze, to co doprowadziło panią do takiego wzburzenia, że w każdej chwili grozi nam eksplozja?

- Moja siostra.

- Do diabła z pani siostrą.

- Podzielam ten pogląd. Muszę stawić czoło konsekwencjom tego, co zrobiła do spółki z pańskim podstępny i złotoustym kuzynem.

- O czym pani mówi?!

- Przyszłam spytać, dlaczego nie wziął pan poważnie mojego ostrzeżenia. Czy to naprawdę było takie trudne skrócić wodze kuzynowi i dopilnować, aby nie zbliżał się do Emmy?

- Wciąż nie rozumiem.

- Pański nieoceniony kuzyn uciekł z Emmą. Są w drodze do Szkocji - powiedziała, cedząc każde słowo. - Najprawdopodobniej do Gretna Green, gdzie można wziąć ślub.

William sądził, że się przesłyszał.

- Uciekli? Czy pani oszalała?!

- Nie oszalałam. Natomiast jestem wściekła, podobnie jak moja matka, która do tego się zamartwia. Czy pan wie coś o swoim lubieżnym krewnym? William pokręcił głową.

- Muszę przyznać, że nie. Jeśli jednak nie umie pani upilnować siostry, nie jest to moja wina.

- Ty zarozumiała gburze! - wykrzyknęła Cassandra. - Gdybym była w stanie ją powstrzymać, nie musiałabym tutaj przychodzić!

- Czy pani matka wie, gdzie pani jest?

- Tak. Ponieważ kuzyn zamieszkuje w pańskim domu, jest pan do pewnego stopnia odpowiedzialny za jego postępowanie.

- A skąd pani wie o ucieczce? Jaki jest na to dowód? - spytał William.

- Emma zostawiła list. Proszę. - Cassandra wyciągnęła z kieszeni kartkę i wcisnęła mu do ręki. - Niech pan sam przeczyta, a potem powie mi, co teraz zamierza.

Przeczytawszy list, lord Lampard wyzbył się wszelkich wątpliwości.

- Przeklęty głupiec - burknął, odgarniając włosy z czoła. - Jak długo ich nie ma?

- Od dziewiątej rano.

- Jedenaście godzin przewagi. Czym podróżują?

- Nie wiemy.

- Powozem lady Monkton?

- Nie.

- Musieli więc coś wynająć, bo Edward na pewno przewidział, że będziemy ich ścigać.

- To bardzo kosztowne. Nic dziwnego, że tylko bogaczy stać na ucieczkę do Gretna Green - odparła oschle Cassandra. - Rusza pan w pogoń?

- Te głupie żółtodzioby nie zostawiły mi wyboru.

- Zabierze mnie pan z sobą?

William już był w drodze do drzwi, aby wydać polecenia, ale przystanął i odpowiedział spokojnie:

- Nie. Będzie pani opóźniać pościg. Nie życzę sobie towarzystwa.

Cassandra pobladła, nie zamierzała jednak zrezygnować.

- Naprawdę sądzi pan, że pozwolę mu jechać samemu i zaufam, że bezpiecznie sprowadzi z powrotem moją siostrę? Nic z tego. Oboje wiemy, że może jej się stać krzywda. A jeśli tak, to kiedy zostanie znaleziona, będzie potrzebować mojej pomocy.

- Wiem, że jest pani wzburzona... - William starał się przybrać bardziej pojednawczy ton. Poza panny Greenwood wskazywała na to, że nadzieja na porozumienie jest płonna. - Ma pani powody, ale to nie znaczy, że wezmę ją z sobą.

Cassandra zmierzyła go spojrzeniem pełnym pogardy, po czym ruszyła do drzwi.

- Dobrze więc. Nie zamierzam towarzyszyć w podróży mężczyźnie, który sobie tego nie życzy.

- Dokąd pani idzie, na miłość boską? - spytał zaniepokojony William, ruszając za Cassandrą.

- Pojadę powozem ciotki Elizabeth.

- Doceniam pani troskę, ale nie może pani sama wybrać się w tę szaloną eskapadę.

- Nie?

Szybkim ruchem chwycił ją za ramię i odwrócił ku sobie.

- Ty głupia kobieto, przyjmij ode mnie dobrą radę i wybij sobie z głowy ten niedorzeczny pomysł.

- Gdybym szukała rady, pan byłby ostatnią osobą, do której bym się zwróciła - odpaliła czerwona jak burak Cassandra. - To jest moja sprawa tak samo jak pańska. Jak pan chce mnie zatrzymać? Na pewno już pan wie, że mam zwyczaj postępować zgodnie z tym, co uważam za słuszne. A teraz proszę mnie puścić, bo zacznę krzyczeć.

William stwierdził, że sytuacja szybko wymyka mu się spod kontroli. Panna Greenwood miała odpowiedź na wszystko. Co gorsza, istotnie nie widział sposobu, by zabronić jej podróży do Szkocji. Rozluźnił więc uścisk i odstąpił o krok.

- Ty bestio! Jak śmiałeś położyć na mnie swoje łapska? - pieniała się Cassandra, rozcierając bolące ramię.

- Panno Greenwood, zachowuje się pani wbrew rozsądkowi.

- Wbrew rozsądkowi? Dlatego, że martwię się o siostrę? To pan jest na bakier z rozsądkiem.

- Jeśli pojedzie pani do Szkocji, to co będzie z podopiecznymi. Nie jest tam pani potrzebna?

- Zawsze jestem potrzebna, ale podczas mojej nieobecności pracę będzie wykonywał kto inny.

- Proszę więc rozważyć niestosowność podróżowania w moim towarzystwie. Co powie pani matka?

- Mama tak bardzo martwi się Emmą, że na pewno nie będzie miała nic przeciwko temu.

- Nie uwierzę, że rodzic przy zdrowych zmysłach może pozwolić córce na samotną podróż do Szkocji. Nie dba pani o skandal, jaki wybuchnie?

- Mało mnie w tej chwili obchodzi moja reputacja. Nie interesuje mnie ani to, że kobieta nie powinna podróżować sam na sam z mężczyzną, ani skandal, jaki może z tego powodu wybuchnąć. A co pan powie na ten temat, milordzie?

Było to wyzwanie, którego nie mógł zignorować. Pierwszy raz przyjrzał się jej ubiorowi. Do szafirowego kostiumu idealnie pasował figlarnie przekrzywiony kapelusik z piórem, nasadzony na pięknie ułożone włosy. Niewątpliwie był to strój podróżny.

Cassandra odetchnęła z ulgą, widząc, że William Lampard unosi ręce w geście poddania.

- Niech już będzie, pojedziemy razem. Każę podstawić powóz, a pani może zechce wziąć z domu kilka podróżnych drobiazgów.

- Nie ma potrzeby, przyjechałam tu przygotowana.

William spostrzegł skórzany sakwojaż stojący przy drzwiach. Zrobiło to na nim wrażenie.

- Ależ z pani intrygantka!

- Tylko intrygantka? Może dotąd pan nie zauważył, ale mam buntowniczą naturę.

- Pani wiedziała, że się zgodzę.

- Byłam tego pewna.

Mimo złości William spojrzał łaskawszym okiem na damę, która potrafiła go tak zmanipulować, że zgodził się wbrew swojej woli. Przyglądał jej się przez chwilę, aż wreszcie wybuchnął śmiechem.

- Jest pani niepoprawna, panno Greenwood.

- Wiem. Czy to panu przeszkadza?

- Ani trochę. Prawdę mówiąc, pomysł wspólnej podróży zaczął mi się podobać.

Towarzystwo na pewno się przyda. Ciekawe, kto będzie miał dosyć pod koniec.

- Nie sposób przewidzieć, kapitanie Lampard. Może będziemy się tak wspaniale zgadzać, że po przyjeździe do Gretna Green sami złożymy śluby.

- Szczerze w to wątpię, panno Greenwood.

- Ja też. Jedźmy, bo czas ucieka.

W zaopatrzonym w mocne sprężyny powozie kapitana Lamparda, ciągniętym przez czwórkę wspaniałych gniadoszy i powożonym przez dwóch uzbrojonych służących, siedzących na koźle, znaleźli się wkrótce na tracie północnym.

- Niech się pani rozgości - powiedział William, gdy pomógł Cassandrze wejść do obszernego pudła pojazdu. - Poza przystankami na zmianę koni będziemy musieli jechać przez całą noc.

Spojrzała na niego tknięta złym przecuciem, ale ku jej uldze zajął miejsce naprzeciwko. Pochwycił jej spojrzenie i się uśmiechnął.

- Tak będzie bezpieczniej - powiedział. - Obawiam się, że pani bliskość mogłaby zniweczyć moje dobre intencje.

- Pozostaje mi nadzieja, że wytrwa pan w nich przez całą drogę do Szkocji, lordzie Lampard - odparła oschle.

William oparł się wygodnie i wyciągnął długie nogi. Sam zastanawiał się, jak wytrzyma tę podróż. Nie był wszak z kamienia, a ta młoda dama mogła skusić każdego mężczyznę.

Przejechali w milczeniu spory kawałek drogi, gdy Cassandra doszła do wniosku, że jeśli chce przetrwać tę podróż zdrowa na umyśle, to muszą nawiązać rozmowę. Na zewnątrz było ciemno, tylko mijane latarnie raz po raz słabo rozjaśniały wnętrze powozu. Poczucie intymności tej sytuacji bardzo jej przeszkadzało.

Niewiele wiedziała o lordzie Lampardzie, a wszystkie wiadomości dotyczyły ciemnej strony jego charakteru. Gdy wyglądał przez okno, jego twarz sprawiała wrażenie wykutej z granitu. Mimo tej dumnej pozy zauważyła też zmarszczone czoło i nagle przyszło jej do głowy, że ucieczka Emmy z Edwardem również nim wstrząsnęła.

- Przykro mi - powiedziała. - Zdaję sobie sprawę, że ta sytuacja jest trudna także dla pana. Zastanawiałam się właśnie, gdzie mogą teraz być Emma z pańskim kuzynem. Czy uważa pan, że dogonimy ich, zanim zdążą wziąć ślub?

William zaciągnął aksamitną zasłonkę i popatrzył na Cassandrę.

- Jeśli nie będą mieli pecha po drodze ani nie zdecydują się przenocować w gospodzie, to szczerze wątpię. Edward wie, że pani siostra zostawiła list do rodziny, więc obawia się pościgu. Jestem przekonany, że pojedą prosto do Szkocji.

- Czy jest pan w dobrych stosunkach z kuzynem?

- Tak, ale musimy je zrewidować przy najbliższej okazji. Byłem dla niego zbyt pobłażliwy. On bardzo przeżył śmierć rodziców. Gdyby nie zamieszkał w Carlow Parku, nie wiem, jak dałby sobie radę.

- Ile miał wtedy lat?

- Zaledwie czternaście. Ponieważ przez cały czas byłem poza domem na wojaczce, opiekował się nim Robert, mój starszy brat. To on doglądał jego edukacji. Niestety, przed dwoma laty Robert zginął w wypadku.

- Wiem o tym. Współczuję. Jaki on był? Czy znaliście się blisko?

- Jak bracia - odparł cicho William i po dłuższej chwili dodał: - Ja miałem szczęście.

- Dlaczego pan to mówi?

- Rodzice kochali nas jednakowo, ale ponieważ Robert był starszy i dziedziczył, to jemu poświęcali więcej uwagi i dawali mu odczuć, że jest ważny. To było dla niego trudne doświadczenie. Nie pozwalano mu bez opieki łązić po drzewach ani pływać łodzią po jeziorze, nie mógł też wstąpić do wojska tak jak ja, chociaż bardzo tego pragnął. Kiedy rodzice umarli i Robert przejął majątek, byłem za granicą na wojnie. O jego wypadku też dowiedziałem się w Hiszpanii.

- Wrócił pan?

- Nie. Trwały akurat zacięte walki. Wiedziałem jednak, że majątek jest w dobrych rękach. Zajął się nim mój bardzo utalentowany kuzyn Mark, syn młodszego brata mojego ojca, i prowadził sprawy majątku aż do chwili, gdy wystąpiłem z wojska. Nawiasem mówiąc, Edward jest z kolei synem innego brata mojego ojca, najmłodszego z całej trójki.

Westchnął i zamknął oczy.

- Czasem zastanawiam się - podjął - czy na Lampardach ciąży jakaś klątwa. Tragedie rodzinne zdarzają się u nas stanowczo zbyt często. Ostatnio, jak pani wie, również na moje

życie ktoś nastawał. Wciąż nie mam pojęcia, jaki był powód, ale nie wiadomo, czy następna próba tego człowieka nie okaże się udana.

- Proszę tak nie mówić.

- Dlaczego? Czyżby pani mnie żałowała, panno Greenwood? - spytał ironicznie.

- Nie chciałabym, żeby ludzi mordowano, bez względu na to, o kogo chodzi. Musi pan się pilnować. Proszę pamiętać, że strzelanie nie jest jedynym sposobem zabijania.

- Wiem - przyznał William. - A czy pani jest blisko z siostrą, panno Greenwood? - spytał.

Cassandra zorientowała się, że zaczął patrzeć na nią w zupełnie inny sposób.

- Tak mi się zdaje, chociaż Emma bywa czasami samowolna. Stosunki w rodzinie, zwłaszcza między siostrami, bywają skomplikowane. Nieraz popadam przez Emmę w irytację. Naprawdę trudno z nią wytrzymać. Ojciec był cichym, tolerancyjnym i ciężko pracującym człowiekiem, oddanym bez reszty swojemu zawodowi. Kiedy umarł, ciotka Elizabeth, która sama nie ma dzieci, wzięła nas pod opiekę. Marzy jej się sezon dla Emmy, więc byłaby niezwykle rozczarowana, gdyby moja siostra uparła się przy swoim głupim pomysle i poślubiła pańskiego kuzyna. I mama, i ciotka Elizabeth są bardzo przygnębione tym, co oni zrobili.

- Miejmy więc nadzieję, że młodzi odzyskają rozsądek. Może zmienią zdanie.

- W takim przypadku powinniśmy ich spotkać jadących w przeciwną stronę. Jeśli ta cała historia wyjdzie na jaw, konsekwencje dla Emmy będą poważne. W oczach eleganckiego towarzystwa złamała wszelkie reguły przyzwoitości, więc zostanie usunięta poza jego nawias. Jest też delikatna kwestia... - Zająknęła się. Czowała, że się rumieni, i była na siebie zła, ale nazwanie rzeczy po imieniu przerastało jej siły. William świetnie rozumiał, w czym rzecz.

- Proszę się nie martwić, panno Greenwood. Wbrew pani opinii mój kuzyn ma wiele dobrych cech, a między innymi tę, że jest dżentelmenem. Pozbawianie dziewictwa panien jest sprzeczne z jego kodeksem honorowym.

Cassandra zmieszana tak bezceremonialnym postawieniem sprawy zaczerwieniła się jeszcze bardziej.

- Aha... rozumiem. Trochę mi ulżyło, że to słyszę.

William stwierdził, że jej zakłopotanie ma w sobie wiele uroku.

- Mój kodeks honorowy nie jest jednak taki doskonały, o czym naturalnie pani wie.

- Na to wygląda.

Siedział ze skrzyżowanymi ramionami i wyciągniętymi przed siebie nogami, a oczy lśniły mu w ciemności. Pomyślała, że jest w nim coś niezaprzeczalnie pociągającego.

- Czy po rezygnacji z kariery wojskowej zamierza pan przejąć spadek?

Skinął głową.

- Tak, chociaż Mark nadaje się do tego lepiej niż ja. Do wszystkiego podchodzi bardzo serio, traktuje życie niesłychanie poważnie, hołduje sztywnym regułom zachowania i nie umie cieszyć się chwilą.

- Czy on aprobuje pański sposób życia, kapitanie Lampard?

- Ani trochę, ale potrafimy się dogadać. Niestety, Mark dawał wiarę plotkom i przywiązywał nadmierną wagę do tego, co słyszał od innych.

- Czy to ma być sugestia, że nie jest pan libertynem rujnującym kobiety, tak jak się o nim mówi?

- Nikt nie jest całkiem taki, jaki wydaje się innym, panno Greenwood. Nawet pani - oświadczył, nie spuszczać z niej oczu. - W każdym razie ma pani absolutnie niepowtarzalną zaletę.

- A mianowicie?

- Oprócz mojej matki nie spotkałem się z taką kobietą. Jako jedyna powiedziała mi pani prosto w oczy o wszystkich niedoskonałościach mojego charakteru. - Uśmiechnął się rozbawiony. - Bal u lady Monkton opuściłem z takim uczuciem, jakbym wpadł w kolczaste krzaki i wyszedł z nich podobny do jeża.

- Ma pan skórę grubszą niż wół, lordzie Lampard. Jestem pewna, że pan wydobrzeje. Skwitował te słowa śmiechem.

- Mimo wszystko bardzo mnie zaciekało, w jaki sposób dopuściłem do tego, by tak się poczuć. Pani jest dla mnie wielkim wyzwaniem.

- Czyżby?

- Tak. Nie obawia się pani sam na sam ze mną w tym powozie przez całą drogę do Szkocji?

- A powinnam? - Cassandrze udało się zachować spokój, chociaż puls nagle jej przyspieszył.

- Nie - odparł William. - Zważywszy jednak na moją reputację łajdaka pierwszej wody, mogłaby pani tak myśleć.

- Sam pan powiedział, że nikt nie jest taki, jak się zdaje.

Może jest pan łajdakiem przejętym nagłym postanowieniem poprawy.

- Niech Bóg broni - odparł ze śmiechem. - To całe zdarzenie wydaje mi się dość irytujące, muszę jednak przyznać, że jest z niego jedna korzyść.

- Jaka?

- Mam okazję lepiej panią poznać.

- I co z tego? Czyżby moje towarzystwo sprawiało panu przyjemność?

- Jeśli tylko nie demonstruje pani uporczywości ani nie wybucha złością.

- Nie mam zwyczaju wybuchać złością.

- Nie zgadzam się. To jest bezdyskusyjne.

- Tylko wtedy, kiedy pan mnie do tego doprowadzi.

- Proszę mi powiedzieć, panno Greenwood, czy w pani życiu naprawdę nie ma żadnego młodzieńca?

- To oczywiste. Jestem wybredna.

- Dlaczego oczywiste? - spytał z szelmowskim błyskiem w oczach. - Pełna uroku młoda kobieta powinna być otoczona adoratorami.

Cassandra cieszyła się, że w powozie panuje mrok, bo znowu mocno się zaczerwieniła.

- Mam pracę, która mnie pochłania. Nie pozwolę, żeby cokolwiek mnie od niej oderwało.

- Nawet miłość... - powiedział, zniżając głos.

- Nawet.

- Boi się pani miłości, panno Greenwood?

- Nie.

- Nie wierzę.

- Może pan wierzyć, w co chce. Mówię prawdę - odpowiedziała zmieszana tym nagłym atakiem.

- Skoro więc nie boi się pani miłości, dlaczego z niesienia pomocy dzieciom zrobiła sobie pani tarczę ochronną?

- Nie potrzebuję żadnej tarczy.

- I znowu nie jest pani szczerą. Mnie się zdaje, że gdyby nie musiała pani zadawać się ze śmietanką towarzyską, aby zbierać fundusze dla podopiecznych, to chętnie włożyłaby pani na głowę czapkę niewidkę. - Ucieszył się, że prowokacja wywołała grymas oburzenia Cassandra. - Bardzo przepraszam, jeśli ta opinia zabrzmiała nieuprzejmie, nie wydaje mi się zresztą bardziej nieuprzejma niż zarzuty, które usłyszałem wczoraj. W każdym razie musi pani przyznać, że jest w tej opinii przynajmniej ziarno prawdy.

- Jest czy nie ma, przed panem tego nie przyznam. Nie boję się uczucia, po prostu nie mam doświadczenia w tego rodzaju miłości, o jakiej pan mówi, a na razie nie jestem zainteresowana zdobyciem doświadczenia.

- To znaczy, że jest pani naprawdę niepowtarzalną kobietą. Cassandra przyjrzała mu się nieufnie.

- Pan chyba nie próbuje mnie uwieść, kapitanie Lampard?

- A pozwoliłaby pani na to, panno Greenwood?

Mimo że czuła się przytłoczona jego spojrzeniem, dzielnie je wytrzymała, a nawet wyzywająco odwzajemniła.

- Teraz pan ze mnie kpi.

- Ani mi się śni. Jest pani stanowczo zbyt urocza, żeby z niej kpić.

Jak mogła na niego się złościć, skoro czarował tak ujmującym uśmiechem?

- A pan naprawdę jest skończonym nicponiem, kapitanie Lampard. Aroganckim i uwielbiającym rządzić.

- Jestem, przyznaję. W dodatku potrzebuję uroczej, cierpliwej, wyjątkowo tolerancyjnej młodej kobiety, która wzięłaby się za mnie, abym dostrzegł niewłaściwość swojego postępowania i powziął postanowienie poprawy.

- Życzę panu szczęścia w poszukiwaniach. Nietolerancyjność i brak cierpliwości zawsze należały do moich słabych stron, ale na pewno jest gdzieś kobieta, którą zachwyci płynna wymowa kobieciarza gotowego poświęcić tak wiele energii, czasu i wysiłków na niewdzięczne skądinąd zadanie.

- Za to nie będzie jej się nudzić, to mogę pani obiecać. Cassandra zdjęła kapelusz i odłożyła go na siedzenie.

- Pan jest zarozumiały i ma o sobie zbyt wysokie mniemanie. A teraz jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, trochę się zdrzemnę.

Oparłszy głowę o poduszkę, zamknęła oczy, rozmyślając o tej dziwnej rozmowie, która tak gładko się między nimi toczyła. Czyżby naprawdę zanadto wierzyła pogłoskom i była pochopna w sądach? Z każdą chwilą dochodziła do wniosku, że ten człowiek musi być zupełnie inny, niż zdawało jej się na początku. Jego charyzma nie miała nic wspólnego ani z pociągającym wyglądem, ani z kpiącym uśmiechem. Jej źródło musiało kryć się znacznie głębiej.

Łagodne kołysanie powozu wkrótce ją uspiło. Ciszę zakłócały jedynie skrzyp kół i tętent kopyt. Nieustannie posuwali się na północ.

William popatrzył na uspioną młodą kobietę. Podobała mu się, i to bardzo. Półksiężycy ciemnych rzęs dotykały policzków, a wargi zachęcająco się rozchyliły. Przez chwilę obserwował wolne falowanie piersi. Mimo że panna Greenwood ubrała się w bardzo konserwatywny kostium, jego wyobraźnia nie przyjmowała tego do wiadomości.

Nie mógł zrozumieć, co się z nim dzieje. Panna Greenwood wydawała mu się inna od znanych mu dotąd kobiet. Była niesamowicie uparta i dumna, ale nie dostrzegł w niej cienia wyrachowania czy zajadłości. Cechowała ją wzruszająca wiara w swoją misję, wrażliwość i dobroć. Podejrzewał też, że kryje się w niej namiętność. Co stałoby się, gdyby nagle doszła do głosu? Uświadomił sobie, że jego fascynacja niebezpiecznie przybiera na sile. Coraz bardziej cieszył się tym nieoczekiwanym sam na sam.

Rozdział czwarty

Kiedy Cassandra poruszyła się i otworzyła oczy, na dworze świtało. Przeciągnęła się, cała obolała, i wierzchem dłoni zasłoniła usta, aby ziewnąć. Potem zerknęła na swojego towarzysza podróży. Zdjął surdut i rozluźnił fular, ale poza tym wyglądał dokładnie tak samo jak wtedy, gdy zasypiała. Zaciekawilo ją, czemu zmienił miejsce i usiadł obok niej. Z miną pełną życzliwości wpatrywał się w jej twarz. Zmieszana zsunęła za ucho swobodny kosmyk.

- Czy czuje się pani wypoczęta? Przespała pani większą część nocy.

- Tak. Gdzie jesteśmy?

- W Cambridgeshire.

Westchnęła i chciała się od niego odsunąć, ale William przyciągnął ją do siebie.

- Co pan wyrabia? - Cassandra usiłowała się wyrwać, jednak bez powodzenia. - Czy siedział pan tutaj przez całą noc?

Skinął głową, co tylko bardziej ją rozsierdziło.

- Odniosłem wrażenie, że jest pani niewygodnie, głowa opadała pani z lewa na prawo. Lepiej było oprzeć ją na moim ramieniu.

Splonęła rumieńcem w równym stopniu oburzona i zakłopotana.

- Nieznośny z pana człowiek. Jak pan śmiał pozwolić sobie na taką poufalskość, wykorzystując to, że śpię! Proszę cofnąć ramię i pozwolić mi usiąść prosto. Nie lubię, kiedy ktoś mnie ugniata.

William nie zmienił pozycji. Podobało mu się, że otacza Cassandrę ramieniem.

- Dlaczego pani jest taka uparta? - Odchylił jej głowę i spojrzał prosto w oczy. - Kiedy kobieta ryzykuje znalezienie się ze mną sam na sam, musi się liczyć z pewnymi następstwami. Wydaje mi się, że przyszedł czas zmiany podejścia do naszych piętrzących się nieporozumień. Powinienem spróbować perswazji nieco innego rodzaju.

- Perswazji? - spytała bezsilna wobec jego przenikliwego spojrzenia.

William położył jej dłonie na ramionach i delikatnym, lecz stanowczym ruchem przyciągnął ją do siebie. Potem pochylił głowę i zręcznie odnalazł jej usta. W pierwszej chwili Cassandra zmartwiała, wstrząśnięta intymnością tej sytuacji, potem jednak instynkt wziął górę. Wdychała czysty zapach mężczyzny, chłonęła jego smak i dotyk. Nieraz marzyła o takim pocałunku, ale gdy wreszcie go doświadczyła, marzenia okazały się błahe.

Przestała stawiać opór. Położyła Williamowi ręce na ramionach i odpowiedziała na pocałunek, splatając się z nim w uścisku. Trwali złączeni, a William ostatkiem sił powściągał pragnienie, by pchnąć Cassandrę na siedzenie i uczynić ją swoją. Gdy wreszcie cofnął usta i ostrożnie zaczął wodzić palcem po jej policzku, nie posiadał się ze zdumienia, jak trudno mu złapać oddech i jak wiele namiętności kryje się w drobnym i niewinnym ciele panny Greenwood.

- Czy mam podstawy, by uznać pani odpowiedź za znak dający cię nadziei na miłsze nam obojgu porozumienie w przyszłości? Tylko proszę nie zaprzeczać temu, co pani czuje, bo nie uwierzę.

- To możliwe - odszepnęła Cassandra. Nie mogła zrozumieć, dlaczego kapitan Lampard przerwał pocałunek.

- Co pani sądzi o mojej metodzie perswazji?

- Prawdę mówiąc, nie ufam ani mojemu sercu, ani rozumowi. Wydaje mi się, że nie są w stanie oprzeć się tak wielkiej sile przekonywania.

William wyjrzał przez okno i cofnął ramiona.

- Miło mi to słyszeć, ale musimy przerwać nasz epizod spod znaku Amora. Wkrótce zatrzymamy się na śniadanie.

Powóz przejechał przez bramę dużego zajazdu.

- Rozprostujemy nogi i coś zjemy, a przy okazji zmienimy konie. Naturalnie czas jest cenny, nie wolno nam stracić ani minuty ponad to, co niezbędne.

Włożył surdut i pomógł jej wysiąść. Nieco zeszywniała od całonocnego siedzenia, poszła zająć się toaletą z nadzieją, że wkrótce odzyska pełną jasność myśli, gdy tymczasem William wydawał instrukcje służącym.

Do zajazdu weszli razem. Wnętrze budziło zaufanie. Powitał ich krepny, krzepki gospodarz, a widząc, że ma do czynienia z eleganckim towarzystwem, przeprowadził ich przez publiczną salę jadalną, w której kilka osób raczyło się posiłkiem, i wskazał im salon dający namiastkę prywatności.

Zapach piwa zmieszany z apetyczną wonią ciepłych potraw sączył się i tutaj, nic dziwnego więc, że Cassandra nagle poczuła głód. William wybrał dla nich miejsca przy stole we wnęce okiennej i zapowiedział, że bardzo im się spieszy. Chwilę potem krzątała się już przy nich Annie, pulchna i radosna małżonka gospodarza w sztywno wykrochmalonym czepek, pachnąca świeżym chlebem. Niebawem na stole pojawiło się śniadanie.

Cassandra bez zbędnego ociągania zaczęła pałaszować bekon.

- Zgłodniała pani - stwierdził nieco rozbawiony William.

- Mało powiedziane. A to jest pyszne - oświadczyła, wkładając do ust duszoną pieczarkę. Popiła ją łykiem kawy i zerknąwszy na swojego towarzysza, przekonała się, że nie spieszy mu się aż tak bardzo, bo pozwala sobie na delektowanie się każdym kęsem. - Proszę najeść się do syta. Moja mama powtarza, że na początek dnia nie ma nic lepszego niż solidne śniadanie.

- Mądra kobieta z pani mamy.

- Powinien pan wzmocnić się przed podróżą, kapitanie Lampard.

- Williamie.

Spojrzała na niego zdumiona.

- Słucham?

- Chciałbym, żeby nazywała mnie pani Williamem. Wystąpiłem już z wojska i mój obecny tytuł to lord Lampard, ale dla pani wolałbym być Williamem.

- Nie wydaje mi się to stosowne. Prawdę mówiąc, byłoby to sprzeczne z zasadami... chociaż „kapitan Lampard” trochę wyłamuje język.

- Właśnie. Daję więc pani pozwolenie na używanie mojego imienia.

- To bardzo wielkoduszne.

- Mam swoje dobre strony.

- Przyznaję, że tak. - Cassandra się roześmiała. - No cóż, nawet hultaje muszą je mieć.

- Czy to znaczy, że odrobinę urosłem w pani oczach?

- Tylko odrobinę. Jeśli nie liczyć wcześniejszego wysoce nagannego epizodu, tego z całowaniem, zachowuje się pan przyzwoicie.

- Staram się. Czy wobec tego zechce pani mówić do mnie po imieniu?

- Niech będzie. Skoro i tak już pan wie, że nie przepadam za konwenansami, to trudno, Williamie.

- Świetnie. A skoro przełamujemy lody, to czy pozwoli mi pani używać w zamian jej imienia?

Nie ma to żadnego znaczenia, doszła do wniosku Cassandra, skoro i tak podjęłam stanowcze postanowienie, że gdy tylko skończy się ten pożałowania godny pościg, nie spotkam się z lordem Lampardem.

- Mam dziwne przeświadczenie, że nawet jeśli powiem „nie”, pan zrobi po swojemu.

- Traktuję to jako przyzwolenie. Skinęła głową i ugryzła kęs chleba.

- Dziękuję, Cassandro. Życzę pani miłego śniadania.

- Istotnie, zamierzam się nim nacieszyć, ile tylko można, nawet jeśli uważa pan, Williamie, że należy myśleć tylko o jak najszybszym dostaniu się do Szkocji, a nie o zajadaniu się jajkami z bekonem.

- Wcale tak nie uważam - odparł, częstując się jajkiem. - Przeciwnie, podoba mi się, że potrafi pani cieszyć się smacznym posiłkiem.

- Chce pan powiedzieć, że nie powinnam myśleć o tym, co się stanie? - Westchnęła. - Niestety, nie mogę się nie martwić. Szczerze mówiąc, przygnębia mnie wyobrażenie tej awantury, do której dojdzie, kiedy dogonimy uciekinierów. Jeśli w dodatku zdążą się pobrać, to skandal, któremu będziemy musieli stawić czoło po powrocie do Londynu, przerasta wszelkie wyobrażenia.

- Nie ma sensu martwić się na zapas, proszę więc spokojnie jeść śniadanie.

Gospodarz wniósł świeżą kawę i postawił dzbanek na stole.

- Czy smakuje państwu jedzenie?

- Tak, gospodarzu, dziękujemy - odparł William.

- Wasza miłość i jego pani małżonka daleko jadą, prawda? - próbował nawiązać rozmowę.

- Owszem, gospodarzu. Ponieważ mamy z żoną za sobą długą podróż, chcielibyśmy odpocząć bez przeszkód przy tym wyśmienitym śniadaniu i dalej ruszyć w drogę.

- Naturalnie, wasza miłość - odpowiedział beznamiętnie gospodarz i wycofał się do drzwi. - Nie chcę się narzucać. Życzę smacznego.

Gdy zniknął w sąsiednim pomieszczeniu, Cassandra przesłała Williamowi spojrzenie pełne wyrzutu.

- Przekracza pan wszelkie granice - orzekła oburzona. - Zgodziłam się, aby używał pan mojego imienia, ale znowu pozwala pan sobie na zbyt wiele. Utwierdza pan tego człowieka w przekonaniu, że jesteśmy małżeństwem.

- Wyłącznie ze względów praktycznych, aby nie dopuścić do powstania plotek. Proszę spojrzeć na tę kwestię z jego punktu widzenia. Młoda kobieta podróżuje bez przyzwoitki w towarzystwie mężczyzny. Jeśli nie jest pani moją żoną, może być jedynie kochanką.

- Kochanką?! - powtórzyła wstrząśnięta. - Nie będę kochanką żadnego mężczyzny!

- Dlatego powiedziałem mu, że jest pani moją żoną. Dzięki temu unikniemy kłopotliwych domysłów. - Sięgnął po dzbanek. - Jeszcze kawy? - zaproponował.

Spojrząwszy mu w oczy, Cassandra nie była w stanie zachować powagi i się roześmiała. Potem podsunęła mu filiżankę.

- Jestem pod wrażeniem pańskiej troskliwości, więc chętnie jeszcze się napiję.

Świeże konie zaprzężone do powozu czekały, więc najadłszy się do syta, William i Cassandra ruszyli do drzwi. Znajdowali się już blisko wyjścia, gdy pojawił się schludnie ubrany mężczyzna z małą skórzaną torbą. Wyraźnie się spieszył, bo potracił Cassandrę i omal jej nie przewrócił. Zdążył ją jednak podtrzymać, a potem zaczął wylewnie przeproszać za niezręczność. Cassandra zapewniła go pogodnie, że nic się nie stało. W tym momencie z sali jadalnej wyłonił się gospodarz.

- Dzięki Bogu, że już pan dojechał, doktorze Wade - powiedział. - Bardzo przepraszam za nagłe wezwanie, ale ta młoda dama wciąż czuje się bardzo słabo. Jej towarzysz prawie odchodzi od zmysłów. Mam nadzieję, że to nic zakaźnego, bo goście mogliby się przestraszyć.

- Już do niej idę. Mówi pan, że to młodzi uciekinierzy?

- Tak mi się widzi. Oni naturalnie tego nie mówią, ale moja Annie ma nosa do takich spraw. Przyjechali wczoraj późnym wieczorem.

Do uszu Williama doleciało słowo „uciekiniery”. Natychmiast się odwrócił.

- Chwileczkę! - zawołał i jednym susem znalazł się przy doktorze i gospodarzu. - Macie tu parę uciekinierów w zajeździe?

- Ano mamy - odrzekł gospodarz. - I co z tego?

- Jak się nazywają?

Gospodarz potarł podbródek.

- Ja tam nie wiem...

- W porządku. Ja porozmawiam z tym dżentelmenem - rozległ się głos ze szczytu schodów. Młody człowiek zszedł o kilka stopni i spojrzał na Wade'a. - To pan jest doktorem, prawda? Proszę zająć się młodą damą. Jest bardzo chora. Będę wdzięczny, jeśli przepisze jej pan coś, co choć trochę pomoże.

Gdy doktor, prowadzony przez gospodarza, znikł na górze, młody człowiek stanął przed lordem Lampardem. Widać było, że jest bardzo zmęczony.

- Witaj, Williamie - powiedział. - Byłem pewien, że przyjedziesz.

- Jestem, Edwardzie. Chcę wiedzieć, co ty wyrabiasz.

Zauważywszy, że przyciągają spojrzenia ciekawskich, William zażądał od gospodarza osobnego pokoju do rozmowy. Zaraz potem znaleźli się w salonie.

- Czy to Emma jest chora? - spytała spłoszona Cassandra, gdy tylko zamknięto za nimi drzwi.

Edward skinął głową.

- Poczula się źle wkrótce po naszym wyjeździe z Londynu - odparł.

- Dlaczego więc nie odwiózł jej pan do domu? Co pana opętało, żeby ciągnąć tę szaleńczą eskapadę z Emmą w takim stanie?

- Proponowałem, żeby zawrócić, ale ona nie chciała o tym słyszeć. Twierdziła, że to tylko przeziębienie i wkrótce poczuje się lepiej.

- Jak może pan obarczać winą moją siostrę? Przecież doskonale pan wiedział, co robi, kiedy organizował tę ucieczkę. Byliście tylko we dwoje przez dwadzieścia cztery godziny, spędziliście noc w pokoju w gospodzie, jakby Emma była jakąś dziewczką - ciągnęła wzburzona Cassandra. - Czy jest pan podobny do reszty londyńskich uwodzicieli, którzy igrają z kobietami, rozkochują je w sobie, uwodzą, a potem rzucają jak zbędne przedmioty?

Edward się wzdygnął.

- Przede wszystkim, panno Greenwood, nie jestem uwodzicielem - powiedział oburzony. - Szanuję pani siostrę i nie tknąłbym jej, póki nie zostałyby moją żoną.

- Żoną?! Ha! Wszelkie nadzieje na uczynienie jej pańską żoną przekreślił pan w chwili, gdy razem opuściliście Londyn.

- Dość tego! - William zwrócił się do Cassandry stanowczym tonem i odciągnął ją na bok.

Wyrwała się gwałtownie.

- Dość? Tej głupiej, uczuciowej pannie, będącej przy okazji również moją siostrą, tak pochlebiały zaloty pańskiego kuzyna, że dała mu się namówić na akt wyjątkowego braku

rozsądku. Skąd mamy wiedzieć, czy on jej nie uwiódł? Jeśli powiem, że potraktował ją odrażająco, to będzie dla niego komplement.

- Niech pani się uspokoi, Cassandro - ostro przerwał jej William. - Chcę posłuchać, co ma do powiedzenia Edward, więc może tymczasem odwiedzi pani siostrę.

- Ponieważ to moją siostrę uprowadził pański krewny, zostanę na miejscu i razem z panem posłucham jego wyjaśnień. Do Emmy pójdę, kiedy doktor skończy ją badać.

William skinął głową.

- Zgoda, ale proszę usiąść i nie utrudniać.

Cassandra dla świętego spokoju przysiadła na krześle. William stał we władczej pozycji plecami do kominka. Nie wyglądał na człowieka, który całą noc spędził w podróży. Tym bardziej rzucał się w oczy żalospny stan Edwarda, którego elegancki surdut był wygnieciony i rozpięty, a fular przekrzywiony.

- Mam nadzieję, że wybaczysz mi mój wygląd, Williamie - odezwał się Edward. - Nie zmrużyłem dzisiaj oka.

William z ponurą miną skinął głową.

- My też, dzięki tobie. Mniejsza o to. Co masz na swoje wytłumaczenie?

Pod karcącym spojrzeniem kuzyna Edward pochylił głowę. Wiedział, że niełatwo mu będzie wykaraskać się z tarapatów.

- Jesteś głupcem, Edwardzie, samolubnym, przeklętym głupcem! - ciągnął tymczasem William. - Boleśnie się na tobie zawiodłem. Co, na Boga, cię podkusiło? Przecież znasz pannę Greenwood krótko, w dodatku jest to bardzo dobrze wychowana i powściągliwa młoda dama.

- Znamy się trzy miesiące. Podobała mi się od samego początku, a z każdym dniem nabierałem dla niej większego szacunku - powiedział Edward, próbując przyoblec twarz w uśmiech. - Starłem się trzymać od niej z dala, ale los nieustannie się wtrącał i krzyżował nasze drogi.

- Przestałeś więc myśleć i zacząłeś się zalecać. Postępowałeś wobec niej tak, jak mężczyzna wobec wybranki, którą chce pojąć za żonę - stwierdził William i zaczął przechadzać się po pokoju.

- Mniej więcej tak.

- Chyba odebrało ci rozum. Na miłość boską, Edwardzie, ona ma zaledwie osiemnaście lat, a kiedy ją poznałeś, miała siedemnaście. Zdaniem niektórych to jeszcze dziecko.

- Wiem, ale to niczego nie zmienia w naszych uczuciach. Chcemy być razem, a ponieważ wiedzieliśmy, że obie rodziny będą temu przeciwne...

- To zupełnie oczywiste - przerwał mu William.

- Postanowiliśmy uciec i postawić wszystkich przed faktem dokonanym.

- A co z twoją karierą w wojsku? Czy o tym w ogóle nie myślałeś, kiedy wyznawaleś miłość pannie Greenwood i przygotowywałeś się do ucieczki?

- Nie sądziłem, żeby to miało jakiegokolwiek znaczenie, kariera wojskowa może poczekać. Zdaję sobie sprawę, że postąpiłem źle, i chciałbym to naprawić. - Mówiąc to, popatrzył na Cassandrę. - Kiedy wczoraj wieczorem dotarliśmy do zajazdu, Emma była bardzo chora i przestraszona, a ja nie potrafiłem jej pomóc. Szczerze przepraszam za wszystkie zgrzyoty, na jakie mogłem narazić panią i jej rodzinę, panno Greenwood. Zrobię wszystko, co uzna pani za stosowne, aby naprawić szkodę, bardzo jednak proszę, aby poczekać z tym do czasu, aż Emma poczuje się lepiej. Cassandra wstała.

- Ma pan rację. Emma jest w tym wszystkim najważniejsza.

- Co postanowiłeś, Williamie? - spytał bardzo niepewnie Edward.

- Natychmiast po powrocie do Londynu stawisz się w Akademii Wojskowej - poinformował go kuzyn, patrząc w okno.

- Powinieneś był zameldować się tam już wczoraj. To koniec dyskusji na ten temat. Zostaniesz przy swoim pułku do czasu, aż opuścicie kraj. Musimy za wszelką cenę uniknąć skandalu i utrzymać dobrą opinię panny Greenwood. Podkreślam więc, że nie wolno nam ujawnić tej pożałowania godnej historii. Pomożesz nam w tym, zachowując bezwarunkowe milczenie w tej sprawie. Ponadto nie będziesz miał więcej żadnych kontaktów z panną Greenwood. Zrozumiałeś?

Edward zbliżył się do niego o krok, bliski rozpaczy.

- Williamie, nie możesz tego zrobić. Błagam, wysłuchaj mnie...

- Mogę zrobić i zrobię - odparł niezłomnie lord Lampard.

- Do czasu aż oboje osiągniecie pełnoletność i dopóki jej matka nie wyrazi zgody, zerwiecie wszelkie kontakty. Od ciebie oczekuję, że bezwarunkowo się podporządkujesz.

Przytłoczony autorytetem i gniewem kuzyna Edward skapitulował.

- Tak.

Gdy odgarniał z czoła jasne włosy, Cassandra zauważyła, że drży mu ręka. O dziwo, ogarnęło ją współczucie. Ten młody człowiek sprawiał wrażenie załamane. Wyglądało na to, że darzy Emmę szczerym i głębokim uczuciem.

Gniew, który rządził nią od chwili, gdy dowiedziała się o ucieczce młodych, nagle się ulotnił. Jednocześnie doszła do wniosku, że Edward nie jest i nigdy nie będzie podobny do swojego kuzyna Williama.

Doktor Wade zawyrokował, że Emmie nic poważnego nie jest, po prostu się przeziębila. Stwierdził też, że nic nie stoi na przeszkodzie, by niezwłocznie zabrać chorą do domu. Cassandra nie była tego taka pewna, bo Emma wydała jej się bardzo chora. Miała wypieki, a na czole perlił jej się pot. Oparta na poduszkach, sprawiała wrażenie bezsilnej.

Cassandra usiadła na łóżku i ujęła ją za rękę. Chora otworzyła oczy, szkliste i rozgorączkowane. Na widok siostry drgnęła.

- Wszystko w porządku, Emmo - zapewniła ją Cassandra. - Nie martw się.

- Bardzo jesteś na mnie zła, Cassy? Wiem, że naraziłam cię na kłopoty. Przepraszam.

- Nie jestem zła, chociaż wygląda na to, że napytałaś sobie biedy. Postąpiliście z Edwardem bardzo nierozsądnie, jednak najważniejsze, żebyś wyzdrowiała.

- Biedny Edward. Czy z nim wszystko w porządku? - Emma nie była w stanie dłużej powstrzymać łez.

- Tak, chociaż bardzo się o ciebie martwi.

- Przez całą noc byłam ledwie żywa, teraz też okropnie się czuję. Proszę cię, bądź dla niego miła.

- Nie mówmy teraz o tym.

Cassandra siedziała, trzymając siostrę za rękę, póki ta nie usnęła. Potem wstała i opuściła pokój. William czekał na nią na parterze.

- Jak siostra? - spytał zaskakująco łagodnym tonem.

- Jest bardzo chora. - Nagle Cassandra poczuła, że i ją sytuacja zaczyna przerastać. - Bardzo się o nią martwię.

- To zrozumiałe w tych okolicznościach. W jaki sposób mógłbym pomóc?

- Ona nie może tu zostać. Muszę zabrać ją do domu, tam będzie miała dobrą opiekę. Czy to jest do zrobienia?

- Nie widzę przeszkód. Gospodarz też sarka na jej obecność. Doktor Wade wyraźnie powiedział, że to nic zakaźnego, ale zdaniem gospodarza chora kobieta w zajeździe odstrasza gości.

- Biedna Emma. Jak ucieszyła się na mój widok! Nawet nie miałam serca czynić jej wymówek.

- Jest pani bardzo wyrozumiałą osobą, Cassandro.

- Moja siostra często uważa inaczej.

- To normalne u rodzeństwa. Opuścimy zajazd niezwłocznie. Pani z siostrą zajmą mój powóz, bo będzie wam wygodniej. My z Edwardem pojedziemy drugim. Proszę ubrać siostrę. Ja tymczasem ureguluję rachunek i dopilnuję, żeby powozy czekały gotowe.

- Gdzie jest Edward?

William wskazał wzrokiem zamknięte drzwi pokoju.

- Czy powinnam do niego zajrzeć i powiedzieć mu, jak się czuje Emma?

- Nie, proszę go zostawić - odparł William. - Najważniejsze, żeby jak najszybciej wyruszyć.

- Mógłby pan przyjść na górę za kilka minut? Emma jest bardzo słaba i może potrzebować pomocy przy schodzeniu po schodach. Byłabym panu niezwykle zobowiązana.

William skinął głową, a potem z ponurą miną odwrócił się i wyszedł na dwór.

Kiedy w kwadrans później zapukał do pokoju, zastał Cassandrę zajętą wkładaniem siostrze płaszcza. Emma chwiała się, siedząc na łóżku.

- Jesteśmy prawie gotowe - powiedziała Cassandra.

Emma spróbowała wstać, ale kolana się pod nią ugięły i z powrotem znalazła się na łóżku.

- Pomogę. - William bez ceregieli wziął Emmę na ręce. Uniósł ją jak piórko, chociaż Cassandra nie była w stanie nawet podtrzymać siostry. - Proszę przynieść jej rzeczy. Zaniosę ją do powozu.

Wzięła niewielki bagaż siostry i opuściła zajazd śladem Williama. Tymczasem on umieścił chorą w powozie, a następnie zwrócił się do Cassandry:

- Niech pani obłoczy ją poduszkami i usiądzie tuż obok, żeby mniej nią rzucało podczas jazdy. Dzień jest dosyć ciepły, ale lepiej owinać ją też kocami. Czy ma pani wszystko, co potrzebne?

- Wydaje mi się, że tak. Och, żeby tylko nic jej się nie stało. Przed nami taka długa droga.

- Proszę się nie martwić. Woźnica popędzi konie i niedługo pani siostra będzie leżeć w swoim łóżku. My pojedziemy za wami, żeby w razie jakiegoś nieprzewidzianego wypadku was nie zgubić.

Wsiadając do powozu, Cassandra zawahała się jeszcze i spojrzała w stronę Edwarda, który, wyraźnie przygnębiony, z pewnej odległości przyglądał się wszystkim zabiegom. Stał tak przez chwilę, po czym odwrócił się i zajął miejsce w drugim powozie.

William zajrzał jeszcze do Cassandry, która właśnie owijała Emmę kocem.

- Wszystko w porządku? - spytał, a gdy odpowiedziała skinieniem głowy, dodał: - Proszę bez wahania zatrzymać powóz, gdyby była taka potrzeba. Pojedziemy za wami.

Woźnica smagnął konie i szybko ruszyli traktem, mijając po drodze wolniejsze pojazdy. Cassandra skorzystała z rady, usiadła przy siostrze i objęła ją ramieniem. Czuła dreszcze wstrząsające ciałem Emmy w czasie niespokojnego snu. Jej niepokój wzrósł, gdy chora zaczęła majaczyć przez sen, jednak najwidoczniej się zmęczyła, bo nagle głowa bezwładnie opadła jej na bok. Wstrząsnęły nią dreszcze, zaczęła szczełukać zębami.

Cassandra otuliła ją jeszcze jednym kocem, widziała jednak, że stan chorej się pogarsza. Kazała zatrzymać powóz. Służący zeskoczył z kozła i opuścił schodki. Powóz wiozący Edwarda i Williama także się zatrzymał.

- Co się stało? - spytał William, podchodząc do Cassandry i ujmując ją za rękę.

- Emma czuje się znacznie gorzej. Ma silne dreszcze i majaczy. Musimy jak najszybciej położyć ją do łóżka, wszystko jedno gdzie. - Starła się zachować spokój. - Przepraszam - powiedziała. - Pan na pewno sądzi, że zamartwiam się bez potrzeby.

- Myślę, że jest pani bardzo dzielna. - Popatrzył na jej wymizerowaną twarz i poczuł niespodziewany przyływ czułości. - Ostatnie dwadzieścia cztery godziny były dla pani wyjątkowo wyczerpujące i teraz to wychodzi. Jestem pewien, że pani siostra wyzdrowieje.

- Bardzo proszę, niech pan coś wymyśli. Do Londynu mamy jeszcze wiele godzin. Może jest gdzieś w pobliżu miejsce na postój?

Po chwili zastanowienia William skinął głową.

- Tak się składa, że znam bardzo dobre miejsce. Wkrótce tam się znajdziemy.

Pokrzepiona jego słowami Cassandra wróciła do powozu. Świadomość bliskości Williama dodawała jej pewności siebie. Przypomniała sobie, jak trzymał ją za rękę. Z tego gestu płynęła siła, która jeszcze teraz przyprawiała ją o mocniejsze bicie serca. Westchnęła i wyjrzała przez okno. Jechali przez jakąś rozległą wieś, wśród szachownicy pól i pastwisk widać było chaty.

Kilka mil dalej skręcili z głównego traktu w boczną drogę, potem w następną, jeszcze węższą. Cassandra nie miała pojęcia, dokąd jadą, ale mało ją to obchodziło. Kiedy patrzyła na nieprzytomną siostrę, miała jedynie nadzieję, że szybko dotrą do celu.

W końcu zaczęła się niecierpliwić, bo od dłuższego czasu ciągnął się teren parkowy, gdzieś tam przemykały stadka danieli. Wreszcie wjechali na garbatego mostek i znaleźli się w alei obsadzonej wysokimi drzewami. Minęli wysoką, złożoną bramę i wtedy ujrzała rozległy dwór z licznymi podłużnymi oknami. Takiej budowli nigdy dotąd nie widziała. Gdy powóz przystanął przed frontowym wejściem, uświadomiła sobie, że ich przyjazd zaalarmował mnóstwo służby. Z domu wychodzili coraz to nowi ludzie.

Stanąwszy na podjeździe, Cassandra spojrzała na Williama wzrokiem pełnym podziwu.

- Do kogo należy ta rezydencja?

- Do mnie. Witam panią w Carlow Parku. Musimy natychmiast wnieść do środka pani siostrę.

Natychmiast wprowadził ten zamiar w czyn. Cassandra postępowała krok w krok za nim. William minął lokajów i z wyraźnym zadowoleniem przystanął przed kobietą ubraną na czarno.

- Pani Henderson, czy pokój jest przygotowany?

- Witamy, milordzie. Zielony pokój zawsze jest gotowy na przyjęcie nieoczekiwanego gościa.

Prawdę mówiąc, gospodyni była rozeźlona nagłym przyjazdem pana po dwóch latach nieobecności. Mimo to z dużym zaciekawieniem przyglądała się nieprzytomnej młodej kobiecie, którą trzymał na rękach lord Lampard.

- Dziękuję. Niech ktoś natychmiast pojedzie po doktora Tomlinsona. Proszę mu powiedzieć, że sprawa jest bardzo pilna.

William bez trudu pokonał schody na piętro, przeszedł galerią z niezliczonymi rodowymi portretami i wreszcie otworzył drzwi pokoju. Z wielką ostrożnością złożył swój ciężar na łóżku i się cofnął, aby dać pole do popisu Cassandrze.

- Rozbiorę ją i położę do łóżka - powiedziała.

- Przyślę zaraz służącą, żeby pani pomogła - poinformował i ruszył do drzwi.

- Williamie.

Przystanął i się odwrócił.

- Dziękuję panu. Bardzo jestem wdzięczna, że nas pan tutaj przywiózł.

- Proszę się nie martwić, doktor wkrótce przyjedzie.

Pół godziny później zjawił się doktor Tomlinson. Potwierdził diagnozę doktora Wade'a, że to silne przeziębienie. Był przekonany, że gdy kryzys minie, choroba nie pozostawi trwałych śladów. Nakazał podawać chorej miksturę, zalecił okłady z gorczycy, odpoczynek i dużo ciepła.

Obejrząwszy to i owo w domu, William poszedł wieczorem do Cassandry, aby zapytać ją o samopoczucie siostry. Wcześniej miał nadzieję, że zechce zostawić Emmę pod opieką służącej i zasiąść do kolacji razem z nim i skruszonym Edwardem. Niestety, podziękowała mu za zaproszenie i zdecydowała, że zje w pokoju.

Zapukał i cierpliwie odczekał dłuższą chwilę. Wreszcie otworzyła drzwi. Natychmiast zwróciły jego uwagę rozpuszczone złociste włosy.

- Chcę zapytać o zdrowie siostry - odezwał się po chwili. - Czy mogę wejść? Zdaje sobie sprawę z niestosowności takiej wizyty, ale okoliczności są wyjątkowe. Pomyślałem, że może stęskniła się pani za towarzystwem. - Cassandra miała niepewną minę, lecz uchyliła drzwi szerzej i zaprosiła go do środka. - Jak ona się czuje? - Zerknął w stronę łóżka, ale tylko przelotnie. Znacznie bardziej interesowała go starsza z sióstr.

- Trochę lepiej. Głównie śpi, ale przestała majaczyć i gorączka nieco spadła. Chyba najgorsze minęło.

- Cieszę się. Czy ma pani wszystko, czego potrzeba? - spytał William i oddaliwszy się od łóżka, żeby nie niepokoić Emmy, stanął przy kominku.

- Tak. Wszyscy tutaj odnoszą się do nas bardzo życzliwie. Zupełnie nie wiem, jak mogłabym za to podziękować. - Cassandra spojrzała na Williama i zamilkła zmieszana, ponieważ przypomniał się jej pocałunek.

- A jak pani się czuje? - spytał z troską.

- Ja? Dobrze. - Zdobyła się na uśmiech. - To był długi i męczący dzień.

- Musi pani odpocząć. Jest dla pani przygotowany pokój. Służąca posiedzi z pani siostrą.

- Nie. To ja jestem odpowiedzialna za Emmę. Gdybym spędzała z nią więcej czasu, może nie wpadłaby w tarapaty.

- Nie powinna pani się obwiniać. Przecież nie jest pani stróżem swojej siostry. Poza tym są jeszcze pani matka i lady Monkton.

- Od czasu śmierci taty mama większość czasu poświęca naszym podopiecznym. Emma przebywa najczęściej w Monkton House, ale nawet ciotka Elizabeth nie spodziewałaby się po niej tak niemądrego pomysłu.

William skinął głową ku krzesłu z zielonym obiciem.

- Mogę usiąść?

- Naturalnie. - Chwilę wcześniej Cassandra usiadła na podobnym krześle naprzeciwko.
- Musi pan być nie mniej zmęczony niż ja, Williamie.

Przytulnie było w tym kącie przy kominku. Oboje zamilkli, słychać było jedynie trzaski polan. Cassandra odczuła magię obecności Williama. Pokój zdawał się wypełniać niezwykłą energią.

- Cieszy się pan z powrotu do domu? - spytała.

- Tak, chociaż muszę się przyzwyczaić, bo długo mnie tu nie było. Niezapowiedziany przyjazd z dwiema uroczyimi damami wywołał zamieszanie i bez wątpienia dał służbie temat do plotek. Wkrótce będzie o tym mówić całe Hertfordshire.

Cassandra się zmartwiła.

- Mam nadzieję, że jednak nie. Dobra opinia Emmy i tak wisi na włosku. Liczyłam na to, że wrócimy do Londynu całkiem niepostrzeżenie.

- Proszę pozwolić, że panią uspokoję. Nie minąłem się wiele z prawdą, mówiąc Pearsonowi, mojemu kamerdynerowi, i pani Henderson, że spotkałem panią i jej siostrę na londyńskim trakcie. Jechały panie do stolicy, a gdy panna Emma zachorowała, pani próbowała znaleźć dla was miejsce w zajeździe. Niestety, gospodarz nie chciał was przyjąć, więc zaoferowałem pomoc. - Uśmiechnął się do niej ciepło. - Zachowałem się jak przystało na dżentelmena.

- Dziękuję. Jest pan bardzo zapobiegliwy.

Znów zapanowało milczenie. Wpatrywali się w siebie zatopieni w myślach, prawdę mówiąc całkiem przyjemnych. Pierwszy odezwał się William.

- Niech mi pani opowie o swoim ojcu - poprosił, nie chciał bowiem jeszcze rezygnować z towarzystwa Cassandra. - Musiał być niezwykłym człowiekiem.

- To prawda. Zawsze patrzyłam z podziwem na niego i na to, co osiągnął. Jego śmierć była wielkim ciosem dla całej rodziny. Dla ojca mali podopieczni byli najważniejsi na świecie. Marzył o otwarciu w Londynie szpitala dziecięcego. Nie dożył tego dnia, ale wierzę, że kiedyś to się stanie.

- I teraz pani matka przejęła obowiązki ojca...

- Tak. Pracuje tam bez ustanku, moim zdaniem za ciężko. Mama całkiem się załamała po śmierci taty i przez pewien czas bardzo się o nią martwiłszy. Konieczność zajęcia się

dziećmi okazała się zbawiennym lekarstwem, zresztą w pewnym sensie również dla mnie. Razem dwoiliśmy się i troiliśmy, aby tylko zapobiec zamknięciu ochronki. Zbieranie datków spędzało nam sen z powiek. Potrzebowaliśmy więcej darczyńców, zresztą wciąż ich potrzebujemy.

- Czy lady Monkton też łoży na szpital? Właściwie domyślałam się bez pytania. Jest przecież waszą krewną, a pieniędzy jej nie brakuje.

- Zdziwi się pan, ale nie. Naturalnie wiele razy proponowała nam duże datki, ale mama odmawia przyjęcia od niej choćby pensa. Tak bardzo jest wdzięczna ciotce za jej pomoc po śmierci taty, że więcej nie może przyjąć. Zresztą kiedy zaczęłam zwracać się do zamożnych ludzi z prośbami, byłam w tym świecie czarną owcą. Elita śmiała się ze mnie, a niektórzy okazywali mi pogardę. Wreszcie zrozumiałam, że nie mogę się przejmować takimi reakcjami, bo nie zdołam pokonać przeszkód. Postanowiłam, że muszę zmienić ich opinię na mój temat.

- I udało się pani.

- Tak. Nauczyłam się opanowania, potem przyszła kolej na prowadzenie lekkiej konwersacji, Oczarowywanie.

- Krótko mówiąc, osiągnęła pani wirtuozerię w sztuce stwarzania pozorów.

- Można to tak nazwać. Nie mam do nich pretensji o niewiedzę. Po pewnym czasie uznali to, co robię, i zaczęli mnie akceptować. Duża w tym zasługa ciotki Elizabeth.

Williamowi ta historia wydała się nagle bardziej wzruszająca niż śmieszna. Poczł gwałtowny przypływ złości na wszystkich małodusznych ludzi, którzy patrzyli z góry na Cassandrę. Sam nie mógł zrozumieć, skąd u niego nagle taka opiekuńczość w stosunku do tej panny.

- Późno już - powiedział. - Dam pani trochę odpocząć. Jutro odwiozę Edwarda do Londynu. Czas, żeby rozpoczął wojskowe życie. Dyscyplina dobrze mu zrobi.

- Biedny Edward. Zaczynam go trochę żałować. On naprawdę cierpi, a do tego jest zakochany. Mówi się, że zakochani postępują czasem wyjątkowo nierozsądnie. - Zaczerwieniła się i parsknęła cichym śmiechem. - Z doświadczenia naturalnie tego nie wiem. Proszę jednak nie traktować krewnego zbyt surowo, bo może go pan tym sprowokować do ucieczki z wojska.

William spojrzał na nią z udawaną urazą.

- Też coś. Jestem doprawdy wzorem cierpliwości, jeśli chodzi o tego młodzieńca. Poza tym, o ile pamiętam, sama pani nazywała go lubieżnym, złotoustym intrygantem i draniem.

- To było, zanim go poznałam i zrozumiałam, że darzy Emmę szczerym uczuciem.

William spojrzał na nią z niedowierzaniem.

- Panno Greenwood, pani chyba zaczyna okazywać słabości.

Odpowiedziała uśmiechem i wtedy w kąciku ust zrobił jej się uroczy dołeczek.

- Stanowczo ma pan rację, lordzie Lampard. - Przekrzywiła głowę i zaczęła mu się bacznie przyglądać.

- Co takiego? - spytał z wyostrzoną nagle czujnością. - Co pani znowu przyszło do tej bystrej główki, panno Greenwood?

- Zastanawiam się tylko, czy ten spokojny, niemal nieśmiały człowiek siedzący naprzeciwko mnie rzeczywiście może być najbardziej zarozumiałym uwodzicielem, o jakim słyszałam.

- Nieśmiały? - William się roześmiał. - Niech Bóg broni. Chce pani całkiem zniszczyć mój wizerunek, panno Greenwood? Nie pojmuję, jak pozwoliłem pani dojść do wniosku, że wcale nie jestem taki groźny, jak malują mnie w towarzystwie - powiedział i dodał poważniejszym tonem: - W wojsku bardzo wiele zrozumiałem. Tam człowiek uczy się znacznie więcej niż w normalnym życiu. W dodatku wróciłem do Carlow Parku. Osiadę tutaj i będę zajmował się ziemią. Może nawet znajdę sobie żonę.

- Z pewnością więc będzie panu przyjemnie, kiedy otoczą go kobiety zainteresowane tytułem lady Lampard, hrabiny Carlow, i prowadzeniem tego pięknego domu. Spodziewam się ostrej rywalizacji. Tylko co to będzie za małżeństwo? Podejrzewam, że nie zgodziłby się pan, by ograniczało pańską wolność. Najpierw poświęciłby pan trochę uwagi żonie i zrobił to, co uważa za swój obowiązek, po czym wyprawiłby się do Londynu i tam szukał innych rozkoszy.

- To zależy od kobiety, którą wybrałbym za żonę. Nie ma takiego łajdaka i uwodziciela, którego odpowiednia kobieta nie umiałaby okiełznać, a poza tym jestem przekonany, że należy nieustannie dążyć do tego, aby stawać się lepszym. - Na wargach igrał mu uśmiezek, jakby wyobrażał sobie, o czym może myśleć Cassandra.

- Odnoszę wrażenie, że próbuje pan mi się oświadczyć, lordzie Lampard.

- Jest to jakiś pomysł. Mogę być łajdakiem, ale jestem przy tym całkiem uczciwy.

Mam przekonać panią o moich zaletach?

- Już pan tego próbował - odparła, nawiązując do epizodu w powozie. - Powinnam była pana spoliczkować za zuchwałość.

- Dlaczego? Przecież miała pani z tego pocałunku taką samą przyjemność jak ja.

- Mimo to małżeństwo w modnym ostatnio kształcie zupełnie mnie nie pociąga. Wolę żyć po swojemu niż w nieszczęśliwym związku.

Cassandra popatrzyła na Williama i ogarnęło ją miłe ciepło, choć zważywszy na opinię, jaką miał ten człowiek, powinna raczej nim pogardzać. Kobiecie jednak schlebia, kiedy dowiaduje się, że pociąga mężczyznę, wyczuwała zaś, iż William jest z nią szczery.

Wstał z krzesła i się przeciągnął. Wciąż uśmiechał się szelmowsko.

- Widzę, że będę musiał panią przekonać, a zapewniam, że sprawi mi to dużą przyjemność. Tymczasem jednak życzę dobrej nocy. Jutro wcześnie rano ruszam w drogę. W Londynie odwiedzę pani matkę i wszystko wyjaśnię.

- Dziękuję. Będę bardzo zobowiązana. Mama na pewno się zamartwia, więc ulży jej, kiedy się dowie, że dogoniliśmy Emmę przed granicą Szkocji. Naturalnie nie będziemy nadużywać pańskiej gościnności dłużej, niż to konieczne.

- Niczego panie nie nadużywają. Gościnność należy do moich zalet.

- Mimo wszystko wyjedziemy, jak tylko Emma będzie w stanie znieść trudy podróży. To powinno nastąpić za jakieś dwa, trzy dni. Jeśli więc byłby pan tak uprzejmy, proszę przekazać mamie, żeby przysłała Clema z powozem.

- Nie ma takiej potrzeby. Osobiście zatroszczę się o odwiezienie pań do Londynu.

Wyszędłszy z pokoju, William uświadomił sobie, że Cassandra Greenwood jest zupełnie inna niż znane mu kobiety. Urzekła go i zaintrygowała. Podziwiał jej bystrość i wrażliwość, choć jednocześnie była urodzoną kusicielką, urodziwą i pełną życia. Co więcej, miała najdelikatniejsze usta, jakich smak kiedykolwiek poczuł, i wyjątkowo piękne oczy.



Rozdział piąty

Wieczorny mrok spowił dom, a na niebie pojawiła się pomarańczowa kula księżyca. Mimo gorączki Emma zapadła w nieco spokojniejszy sen, a Cassandra siedziała skulona na krześle przy kominku i na przemian to drzemała, to znów wpatrywała się w rozżarzone węgle, usiłując zrozumieć gwałtowne uczucia, jakie budził w niej William Lampard. Z jego obecnością łączyło się trudne do wyjaśnienia zagrożenie, co zresztą tylko czyniło tę znajomość jeszcze bardziej interesującą.

Jak zręcznie i niepostrzeżenie William tkął wokół niej sieć. Nie zamierzała przecież w nią wpaść. Wiedziała, że jest niepoprawnym kobieciarzem, dlaczego więc uległa jego urokowi? Czemu zaangażowała się emocjonalnie? Nie ulegało wątpliwości, że właśnie tak się stało, a ona obawiała się, że straci kontrolę nad swoim życiem.

Gdy następnego ranka Cassandra otworzyła drzwi, słysząc ciche pukanie, nie zdziwiła się szczególnie, widząc Edwarda. - Proszę mi wybaczyć najście, panno Greenwood, ale przyszedłem zapytać o Emmę. Mam nadzieję, że nie jest z nią gorzej? - spytał, zatroskanym spojrzeniem obrzucając leżącą w łóżku postać.

Cassandra uśmiechnęła się wyrozumiale i odsunęła na bok, aby mógł wejść do pokoju.

- Nie jest. Ucieszy się pan, bo jej stan nieco się polepszył - powiedziała.

Edward wolno podszedł do łóżka. Pochylił się i szeptem wypowiedział imię ukochanej. Emma uniosła powieki. Kiedy zorientowała się, kogo ma przed sobą, jej twarz pojaśniała.

- Edwardzie - szepnęła. - Och, kochany. - Nieco uniosła się na poduszkach, ale zaraz na nie opadła.

Edward wyprostował się i podszedł do Cassandry.

- Wkrótce wyjeżdżamy z Williamem do Londynu. Może minąć sporo czasu, zanim będę mógł wrócić, zależy to od tego, gdzie los rzuci mój pułk. Wiem, że źle postąpiliśmy, panno Greenwood, ale proszę mi wierzyć, że darzę Emmę głębokim uczuciem i nie chcę jej krzywdy.

- Wiem.

- Czy pozwoli mi pani do niej pisać?

- Nie ja o tym decyduję. Co do przyszłej znajomości z Emmą musi pan zwrócić się do mojej matki. Czuję się w obowiązku ostrzec, że z powodu waszego nieprzemyślanego postępu, mama może łatwo odmówić pańskiej prośbie. - Zauważywszy jego rozczarowanie, dodała: - Emma jest bardzo młoda. Jeśli jej uczucia wobec pana się nie zmienią, gdy zadebiutuje w towarzystwie, wtedy kto wie? Moja siostra to uparta i samowolna osoba, najczęściej stawia na swoim. Zalecam panu cierpliwość, aby ten nieszczęsny epizod trochę zatarł się w pamięci.

Skinął głową, starając się nie okazać, jak bardzo cierpi. Spojrzał jeszcze raz na obiekt swoich westchnień i podszedł do drzwi.

- Emmie doprawdy się udało, że ma taką kochającą i lojalną siostrę. Do widzenia, panno Greenwood, i dziękuję. - Edward opuścił Emmę ze smutkiem, lecz i z nadzieją.

Następnego dnia po lekkim śniadaniu Cassandra zadowolona, że i Emmę udało się namówić do jedzenia, zostawiła wypoczywającą siostrę pod opieką Molly, a sama poszła na spacer. Pragnęła odetchnąć świeżym powietrzem.

Carlow Park, posiadłość wielu pokoleń Lampardów, obejmowała hektary lasów pełnych zwierzyny i rozległe tereny parkowe. Słońce przyjemnie grzało. Cassandra zeszła więc z tarasu i ruszyła ścieżką wśród przystrzyżonych trawników, podziwiając kwiatowe rabaty.

W oddali ogrody opadały po zboczu w kierunku stawu. Po jego tafli przesuwały się łabędzie i inne ptaki wodne, a na brzegu wznosił się ozdobny letni domek. Szła w tamtą stronę, ciesząc się rześkimi powiewami wiatru, które targały jej włosy. Po chwili kątem oka dostrzegła jakiś ruch. Odwróciła się i przekonała, że zbliża się do niej William na wspaniałym kasztanie.

- Cieszę się, że postanowiła pani wyjść na słońce, Cassandro, bo to oznacza niechybnie, że siostra czuje się lepiej. Inaczej za nic nie zostawiłaby jej pani samej.

Zsiadł z konia, oczarowany jej widokiem. Wciąż nie mógł uwierzyć w to, że gnał z Londynu do Carlow Parku niczym zakochany głupiec. Niestety, po drodze zdarzył się nieprzewidziany wypadek, więc dotarł do dworu zbyt późno, aby złożyć wizytę pannie Greenwood. Tymczasem postanowił zachować to wydarzenie w tajemnicy, był jednak pewien, że już drugi raz próbowano pozbawić go życia.

Kiedy zamaskowany zbójca pojawił się na drodze przed powozem, wymachując pistoletem, woźnica zatrzymał konie. Mężczyzna podjechał wtedy do pudła, mierząc w głowę lorda Lamparda, ale doświadczenia z Hiszpanii nie poszły na marne. William ubiegł napastnika i sam strzelił. Niestety, spłoszone konie poniosły, co dało rannemu napastnikowi szansę zniknięcia w mroku. William czuł się bezradny wobec nieznanego wroga. Nie miał pojęcia, gdzie go szukać ani kiedy zaatakuje on ponownie.

- Emma ma się lepiej - odparła Cassandra, nie dostrzegając jego zamyślenia. - Ponieważ dzień jest naprawdę piękny, postanowiłam pospacerować.

- Jeśli nie będzie przeszkadzać pani towarzystwo, chętnie się przyłączę.

- Na pewno ma pan wiele spraw do załatwienia.

- Inne sprawy mogą poczekać... nie są nawet w połowie takie zajmujące.

- Jak tam wczorajsza podróż? - spytała, gdy znaleźli się obok siebie.

- Całkiem dobrze, tyle że późno wróciłem.

- A co z kuzynem? Sądzi pan, że przyzwyczai się do wojskowego drylu?

- Edward jest patriotą, wysoko ceni lojalność i honor. Ma zadatki na dobrego żołnierza. Emma bez reszty go opętała. Liczę jednak na to, że uczucie mu nie przeszkodzi w pełnieniu obowiązków.

- Ja też. Złożył pan wizytę naszej mamie?

- Tak. Prawdę mówiąc, obawiałem się najgorszego. Rzeczywiście zastałem pani matkę bardzo przybitą. Kiedy jednak powiadomiłem ją, że zatrzymaliśmy uciekinierów, wyraźnie jej ulżyło, choć znowu się zatroskała, słysząc o chorobie pani siostry.

- Biedna mama. Wyobrażam sobie, jak bardzo się przejęła. Ciotka Elizabeth z pewnością nie mniej, bo to z jej domu Emma uciekła.

- Rozumiem. Najgorsze minęło i pani matka wygląda waszego powrotu, choć wobec choroby Emmy odradza pośpiech.

- Wydaje mi się, że do jutra Emma powinna wydobrzeć dostatecznie, aby znieść trudy podróży.

- Może na wszelki wypadek zostanieie o dzień dłużej. Chętnie spróbuję panią przekonać.

- Dobrze znam pańską siłę przekonywania, milordzie, i byłabym wdzięczna, gdyby pozostała w uspieniu. Obawiam się że nadużyłyśmy z siostrą pańskiej gościnności.

- Skoro panie muszą wracać, to trudno. Zaproponowałem że odwiozę je do Londynu osobiście, ale pani matka nawet nie chciała o tym słyszeć. Ciem przyjedzie tu powozem jutro w południe.

- A co z ucieczką Emmy i Edwarda?

- Może pani być pewna, że pozostanie rodzinną tajemnicą

- To bardzo dobra wiadomość.

Doszli nad staw i stanęli pod rozłożystym wiązem. Obok przepłynęło stadko kurek wodnych, a nieco dalej na szczudłowatych nogach kroczyła po płyciźnie szukająca pożywienia czapla.

- Co za cudowny spokój - powiedziała cicho Cassandra. - Miał pan szczęście, mogąc dorastać w tak wspaniałym otoczeniu. - Gdy spojrzała na Williama, przekonała się, że udzielił mu się jej melancholijny nastrój.

- Człowiek nie decyduje o tym, kim się rodzi - odparł. - Dziękuję w każdym razie za pochwałę moich włości. Cieszę się, że pani się tu podoba. Kiedy przypominam sobie dziecięce lata, ogarnia mnie nostalgia. Żałuję tylko, że mój brat nie zdążył się nacieszyć swoją własnością.

- Rozumiem. Jeśli panu trudno, lepiej niech pan o nim nie opowiada.

A jednak William miał ochotę mówić, choć wolał się nie zastanawiać, co go do tego popycha.

- Strata rodziców i brata wciąż sprawia mi wiele bólu. Robert był o kilka lat starszy ode mnie, cichy, poważny, bardzo obowiązkowy. Całkowite przeciwieństwo mnie, lekkoducha uwielbiającego zabawę...

- A ponadto nieznośnego i nieodpowiedzialnego.

- I uroczego - dopowiedział William z pewną siebie miną.

- Naturalnie.

- Robert jakoś znosił to, że deptałem mu po piętach. Ta wieś, którą pani widzi, to Carlow, a przy tamtejszym kościele pochowano pokolenia Lampardów, Roberta też.

- A ten okazały budynek? - spytała Cassandra, wskazując majestatyczny dwór na obrzeżu wsi.

- To jest Littleton Manor. Mieszka tam mój kuzyn Mark z żoną Lidią. Lidia miała poślubić Roberta, ale po jego śmierci wyszła za Marka.

- Czy pan miał coś przeciwko temu?

- Nie. Moim zdaniem z Robertem byli źle dobrani. Mark jest bardziej w jej typie, chociaż nie wydaje mi się, żeby byli i szczęśliwi w małżeństwie.

- A jaka ona jest?

- Jeśli się poznacie, zrozumie pani, o czym mówię, chociaż muszę przyznać, że o Lidii wiem niewiele. Mark natomiast jest zawsze bardzo oficjalny. To właśnie on sprawował opiekę nad Carlow Parkiem, kiedy byłem w Hiszpanii.

- A pan tymczasem przestał być oficerem przyjmującym rozkazy przełożonych. Naprawdę widzi pan siebie w roli ziemianina? Domyślam się, że jeszcze nie zdążył pan odnowić znajomości z ludźmi, którzy mieszkają i pracują we włościach.

- Rzeczywiście nie.

- Podobnie jak przodkowie, musi pan zapewnić im ochronę i dawać przykład - zauważyła Cassandra.

- Sugeruje pani, że powinienem zmienić się na lepsze? - spytał ze zgrozą.

- Czy to takie trudne?

- Niemożliwe, ale dziękuję za radę.

- Zamierza pan zamieszkać na stałe w Carlow Parku czy raczej spędzać więcej czasu w Londynie?

- Tymczasem zostanę tutaj. Jest dużo do zrobienia, muszę też poznać ludzi. Nie dążyłem ani do tytułu, ani do objęcia majątku. Życie żołnierza całkiem mi odpowiadało, przypuszczam jednak, że teraz będę powoli przyzwyczajając się do ciężkiej pracy. - Spojrzał na nią z powagą. - Sama pani wie, jak to wygląda. Nauczyła panią tego opieka nad biednymi dziećmi.

- Rzeczywiście ciężko pracuję.

- Podziwiam to. Sądzę, że jest pani wspaniała.

- O, schlebiać kobietom to pan umie.
- To nie jest pochlebstwo, tylko uczciwa opinia.

Spojrzenie, jakim zmierzył ją William, sprawiło, że Cassandrę oblała fala gorąca. Strój akcentował jego postawną sylwetkę, jej uwagę zwrócił również intensywny błękit oczu. Nie sposób było pozostać obojętnym wobec tego mężczyzny. Stali twarzą w twarz, a siła pociągająca ich ku sobie była niemal namacalna.

William delikatnie pogłaskał wierzchem dłoni policzek Cassandry i z zadowoleniem stwierdził, że nie próbuje się opierać.

- Czy ktoś mówił pani, jaka jest ładna, panno Greenwood?

Zdawała sobie sprawę, że wpatruje się w jej usta. Serce zabiło jej gwałtownie, ale odwróciła wzrok. Tymczasem William ujął ją pod brodę i zmusił, aby na niego spojrzała.

- Co się stało? Nie lubi pani komplementów?

Pokręciła głową i nagle znalazła się w jego ramionach, a ich usta zetknęły się w niespiesznym namiętym pocałunku. Czar rozwiął lokaj, który pojawił się nie wiadomo skąd. Raptownie odsunęli się od siebie.

- Bardzo przepraszam, że przeszkadzam, milordzie, ale przybył pan Palmer.

William skinął głową.

- Dziękuję, Myers. Zaraz przyjdę.

Zerknął na Cassandrę i oboje wymienili uśmiechy, świadomi intensywności uczucia, które pociągnęło ich ku sobie. Dla Cassandry było to coś nowego i niezwykle podniecającego.

- Palmer to mój adwokat. Zupełnie wyleciało mi z głowy, że wezwałem go dziś rano.
- Niech pan idzie. Ja tu jeszcze trochę zostanę.

Dosiadł konia i zaczął się oddalać, a ona zwróciła wzrok ku taflowi stawu. Przez kilka ostatnich dni atrakcyjność Williama w jej oczach nieustannie rosła. Nie mogła pozostać wobec niego obojętna, a gdy przed chwilą się całowali, straciła kontrolę nad swoim zachowaniem. Nie obawiała się jego, lecz samej siebie. Takie rozważania zdawały się prowadzić donikąd, wstała więc i zawróciła ku domowi. Po drodze urzekł ją jednak widok drewnianej ławeczki w rozarium. Skręciła więc ku niej, aby rozejrzeć się po ogrodzie.

Nagle zauważyła ruch w pobliskich zaroślach i zaraz potem pojawił się przed nią mężczyzna ubrany w niczym niewyróżniający się czarny strój, który podkreślał nieskazitelną biel fularu. Wysoki i chudy musiał mieć około trzydziestu lat. W jego twarzy zwracał uwagę wydatny podbródek i grymas warg, nadający jej wyraz dumy i zuchwałości. Karnację miał jasną, oczy bladoszare, jakby senne, przysłonięte do połowy grubymi powiekami. Otaczała go dyskretna, lecz niezaprzeczalna aura władzy.

Gdy zatrzymał na niej wzrok, Cassandra poczuła się jak mucha w pajęczej sieci.

- Witam, panno Greenwood.

Cassandra nieznacznie skinęła głową, bacznie przyglądając się przybyszowi.

- Niewątpliwie ma pan przewagę, bo ja nic o panu nie wiem.

Prawie niezauważalnie skłonił głowę.

- Mark Lampard, baron Lampard z Littleton Manor, dworu stojącego na granicy wsi Carlow. Jestem kuzynem lorda Lamparda.

Cassandra nawet zauważyła w nim podobieństwo do Williama. Obaj sprawiali wrażenie arystokratów od wielu pokoleń i mieli cechy rodów, w których mężczyźni przychodzili na świat, aby rządzić. Mark wyróżniał się jednak wyniosłością, całkiem obcą Williamowi.

- Przez ostatnie dwa lata - ciągnął - od dnia śmierci brata lorda Lamparda pełniłem funkcję zarządcy tego majątku. Dlatego wiem wszystko o tym, co tu się dzieje - mówił wolno, cedząc słowa. - Lord Lampard opowiedział mi o pani trudnej sytuacji. Mam nadzieję, że siostra czuje się lepiej.

- Odrobinę lepiej, dziękuję, właśnie dzięki temu mogłam pozwolić sobie na spacer. Ostatnio cały czas przy niej siedziałam, więc zatęskniłam za świeżym powietrzem. Muszę powiedzieć, że Carlow Park jest wspaniałą posiadłością.

- Istotnie, w okolicy żadna jej nie dorównuje.

- Pan rozmawiał z kuzynem.

- Owszem, wczoraj, zanim wyjechał do Londynu z Edwardem. Opowiedział mi ze szczegółami o ucieczce młodych i muszę powiedzieć, że byłem wstrząśnięty. Proszę mi powiedzieć, panno Greenwood, czy jej siostra często sprawia rodzinie tyle kłopotu? Wiem, że panny w jej wieku bywają trudne w prowadzeniu.

Cassandra poczuła się urażona.

- Emma jest wyjątkowo rozsądną młodą damą i nigdy nie dała mamie najmniejszego powodu do zmartwień. Wnoszę, że w tej sytuacji uległa silnemu wpływowi pańskiego kuzyna

Edwarda, który, o czym proszę nie zapominać, omal nie zrujnował jej reputacji. Czy prowokowanie takich awantur leży w jego zwyczaju?

Mark Lampard nie dał się wytrącić z równowagi obraźliwą sugestią dotyczącą Edwarda.

- On nie ma takiego zwyczaju. W każdym razie dobrze się stało, że udało się dogonić uciekinierów w porę i w ten sposób zapobiec katastrofie. Edward ma przed sobą karierę wojskową. Małżeństwo na tym etapie życia nie byłoby dla niego właściwe.

Cassandra z coraz większym trudem panowała nad oburzeniem.

- To stwierdzenie dotyczy wyłącznie mojej siostry czy każdej młodej damy, która mogłaby zwrócić uwagę Edwarda? Bo z tego, co pan mówi, panie Lampard, wynika, że ma pan poważne zastrzeżenia co do stosowności małżeństwa Edwarda z Emmą. Czy przeszkadza

panu, że mój ojciec był lekarzem, a nie dżentelmenem z tytułem? Uważa nas pan za gorszych?

- Ani trochę. Żywię wielki podziw dla profesji pani zmarłego ojca, jestem również przekonany, że jej siostra jest uroczą młodą damą. Zwracam tylko uwagę, że takie małżeństwo byłoby szczytem nierozwagi.

Cassandra nie była pewna szczerości tego podziwu.

- Jeszcze chwila i oskarży pan Emmę o to, że intrygą skłoniła Edwarda do ucieczki, aby wkraść się do pańskiej rodziny.

- Nie miałem takiego zamiaru i bardzo przepraszam, jeśli wzbudziłem pani niezadowolenie, ale to wszystko jest po prostu wysoce nieodpowiednie.

- Z tym akurat zgadzam się całkowicie, panie Lampard.

Czy często decyduje pan o słuszności upodobań pańskiego kuzyna i określa sposób, w jaki wolno mu osiągnąć szczęście? Skoro rozpocznie karierę wojskową, z czym wiąże się ryzyko oddania życia za innych, to czy nie jest dostatecznie dorosły, aby sam mógł decydować o sprawach prywatnych?

- Chce pani powiedzieć, panno Greenwood, że nie miałyby pani nic przeciwko ich małżeństwu?

- Gdybym nie miała, nie ścigałabym ich, żeby mu zapobiec. Gdy tylko Emma odzyska nieco sił, wracamy do Londynu.

- Tak będzie najlepiej - stwierdził wyniośle.

- Proszę wybaczyć, ale to ja będę decydować o tym, co jest najlepsze dla mnie i mojej siostry. Bardzo przepraszam, ale muszę wracać.

Mark jeszcze bardziej się usztywnił.

- Naturalnie - powiedział. - Nie będę pani zatrzymywał. Miłego dnia, panno Greenwood. To była bardzo interesująca rozmowa. - Z tymi słowami odszedł.

Cassandra czuła zamęt w głowie. Nogi miała jak z waty, więc przysiadła na ławeczce i jeszcze raz przebiegła w myślach konfrontację z Markiem Lampardem. Wciąż kipiała ze złości. Opinia Marka Lamparda mogła wynikać z jego troski o Edwarda. To jednak nie usprawiedliwiało braku taktu. Obrażliwe zachowanie było nie do przyjęcia. Miała nadzieję, że los nie zetknie ich ze sobą ponownie. Poczła chłód, jakby nagle niewidzialny cień przesłonił słońce, więc poszła do domu.

Zapadał wieczór, gdy usłyszawszy pukanie, Cassandra otworzyła drzwi pokoju. Ujrzała Williama, który stał oparty o futrynę, z rękami skrzyżowanymi na piersi, i uśmiechał się leniwie. Włosy wciąż miał wilgotne po kąpieli, włożył oliwkowy surdut i jasnoszare spodnie. Wyglądał znakomicie. Cassandra, starając się nie zwracać uwagi na przyspieszone bicie swojego serca, zaprosiła go do środka.

- Przyszedłem spytać o samopoczucie siostry.

- Emma czuje się dużo lepiej, po południu nawet wstała z łóżka. - Przechyliła głowę i uśmiechnęła się, nieznacznie rozchylając wargi. - Czy to jedyny powód, dla którego pan przyszedł?

- Przyzwyczailem się do pani obecności, więc zatęskniłem.

- Jestem odporna na pańskie pochlebstwa, lordzie Lampard - odparła przekornie.

- Przykro mi to słyszeć. Będę musiał zastosować inną taktykę, aby zmienić pani złą opinię na mój temat. Przyszedłem z zaproszeniem na kolację. Od pani Henderson wiem, że jeszcze pani nie jadła.

- Nie uważam tego pomysłu za dobry. Poza tym od dwóch nocy nie spałam w łóżku.

- Wobec tego wybaczę pani, jeśli zaśnie nad zupą. - Spojrzał na nią wyzywająco. - Czy obawia się pani być ze mną sam na sam, panno Greenwood? Niepokoi to panią?

- Lordzie Lampard, przez dwa ostatnie dni zachowuje się pan wyjątkowo niepokojąco.

- Cassandro - czarował dźwięcznym głosem - proszę tylko o to, aby zjadła pani ze mną kolację, nie czynię żadnych śmielszych propozycji. Mogłaby pani zrobić chociaż tyle w zamian za dach nad głową i wikt.

Widząc figlarne błyski w jego oczach, Cassandra cicho się zaśmiała.

- Skoro tak stawia pan sprawę, nie mogę odmówić, nie narażając się na zarzut braku dobrych manier.

- To prawda - przyznał.

- Muszę jednak ostrzec, że nie mam w co się przebrać, musi pan więc zadowolić się mną taką, jaka jestem.

Spojrzenie, którym ją zmierzył, było jawnie uwodzicielskie.

- Nie na pani strój będę patrzył. W każdym razie zapraszam do jadalni.

Gdy Cassandra przekroczyła próg jadalni, William czekał na nią z kieliszkiem wina w dłoni. Irytująco swobodny, spojrzał na nią w taki sposób, że natychmiast się zmieszała.

- Wygląda pani czarująco, Cassandro. Zgłodniała pani? - Podał jej kieliszek wina i wskazał miejsce przy stole.

- Muszę przyznać, że tak.

Długi stół z krzesłami obitymi granatowym aksamitem, lustra w złotych oprawach, kolumny z białego marmuru i stiuki na suficie nie sprzyjały przytulnej atmosferze, ale krąg światła rzucanego przez kandelabr tworzył znacznie bardziej kameralną przestrzeń. William usiadł u szczytu stołu, a Cassandra niedaleko niego, po prawej stronie. Przy deserze przypomniało jej się spotkanie w ogrodzie.

- Poznałam dzisiaj pańskiego kuzyna Marka.

- I...

- I co?

- Rozmawialiście?

Skinęła głową.

- Nie jesteście do siebie podobni.

- Jeśli chce pani przez to powiedzieć, że Mark nie jest łajdakiem, to słusznie. Różnimy się tak, że trudno bardziej, ale mimo to całkiem dobrze umiemy się dogadać. Mark jest moim dziedzicem, opoką tych włości i nigdy nie robił sekretu z opinii o moim nazbyt swobodnym zachowaniu.

- Jest też bardzo bezpośredni - zauważyła Cassandra. Jako gość musiała starannie dobierać słowa, aby nie obrazić gospodarza.

- Bezpośredni? - zainteresował się William. - Pod jakim względem?

- Powiedział mi, jak bardzo jest zadowolony, że udało nam się dogonić Edwarda i Emmę, zanim zdążyli wziąć ślub. Najpierw sądziłam, że ten incydent go oburzył, potem jednak Mark dał mi jasno do zrozumienia, co o tym sądzi. Był wyjątkowo konkretny.

William zmarszczył czoło.

- Proszę źle go nie zrozumieć.

- Sądzę, że rozumiem go doskonale. Żywi całkowicie błędne przeświadczenie, że Emma wykorzystwała chwilę słabości i zauroczenia Edwarda i swoimi wdziękami skłoniła go do zapomnienia o zasadach. Problem sprowadza się do tego, że w oczach pańskiego kuzyna Emma nigdy nie będzie odpowiednią kandydatką na żonę dla Edwarda. Należymy do klasy ludzi wolnych zawodów, nie mamy ani majątku, ani tytułu.

- Czy Mark panią obraził?

- Nie. Jego zachowaniu niczego nie można zarzucić, ale zirytowała mnie treść naszej rozmowy.

Skończywszy deser, William odsunął od siebie miseczkę.

- Doprawdy przykro mi z tego powodu, Cassandro - powiedział. - Przepraszam za mojego kuzyna. Porozmawiam z nim i obiecuję, że wytłumaczę mu, w czym problem.

- Proszę tego nie robić, w każdym razie nie z mojego powodu. Bardzo nie chciałabym wywołać nieporozumień w rodzinie. Emma i ja jutro wyjeżdżamy, więc sprawa na tym się kończy.

William nie ciągnął tego tematu, nie przestał jednak rozmyślać o nietaktownym wystąpieniu kuzyna. Postanowił z nim porozmawiać.

- Aha, jak się miewa Archie? - spytał, przypomniawszy sobie poparzonego kominiarczyka. - Pytam, bo jak dotąd nie pokazał się w mojej londyńskiej rezydencji.

- Archie? O, z jego nogami jest znacznie lepiej. Tydzień temu doktor Brookes zdjął mu opatrunki i chłopak dzielnie próbuje chodzić o kulach. Niedługo będą mu niepotrzebne i wtedy opuści naszą placówkę.

- Proszę nie zapomnieć i przysłać go na Grosvenor Square. Poleciałem mojemu maszalerzowi Thomasowi, żeby wziął go pod opiekę.

- Dziękuję, jestem za to bardzo wdzięczna. Nie ma pan pojęcia, jak trudno znaleźć miejsce dla naszych podopiecznych. Archie jest spokojny, nie będzie sprawiał kłopotów - zapewniła, wkładając do ust ostatnią łyżeczkę musu owocowego.

Cassandra wyglądała uroczo w jasnej muślinowej sukni z kołnierzykiem pod szyję. William nie mógł oderwać od niej wzroku. Odsunawszy krzesło od stołu, przyglądał się wycierającej usta serwetką Cassandrze, tak jakby patrzył na dzieło sztuki. I ona wpatrywała się z uwagą w Williama. Widać było po nim lata spędzone na polu walki i wcale nie była pewna, czy nie wolałby spędzać czasu w gronie dawnych towarzyszy.

- Będzie pan tęsknił za wojskiem? - spytała.

- Już tęsknię.

- Odniosłam wrażenie, że nie lubi pan pokazywać się w towarzystwie. Zdaje się, że, podobnie jak ja, nie widzi pan w tych ceregielach większego sensu.

- Owszem, choć życie towarzyskie ma oczywiście i dobre strony.

- Na przykład?

- Poznaję piękne młode damy, których inaczej bym nie spotkał. Dobrze ułożone i bystre panny myślące nie tylko o strojach, następnym wydarzeniu towarzyskim i znalezieniu męża. Choć ma pani rację, że tak zwanym życiem towarzyskim jestem ogólnie raczej znudzony. Zdaje się, że z wiekiem rosną wymagania. Może jeszcze wina? - Usłużnie napełnił jej kieliszek.

- Proszę mówić dalej. Słucham z uwagą. - Cassandra upiła kolejny łyk. - Muszę ostrzec, że należy pan do tego rodzaju mężczyzn, przed jakim przestrzega mnie zarówno zdrowy rozsądek, jak i moja mama.

- Czy pani zawsze słucha mamy?

- Naturalnie. Ona daje bardzo mądre rady. Niezwykle przydatne dla wszystkich dobrze wychowanych dam, mających wyrobione pojęcie o tym, jak chcą być traktowane przez dżentelmenów. Przez „dobrze wychowane” rozumiem całkiem inną kategorię kobiet niż te, z którymi na ogół ma pan okazję się zadawać.

- A jak dobrze wychowana dama chce być traktowana przez dżentelmena? - spytał William, maskując rozbawienie pozorami powagi.

- Musi interesować się tylko swoją wybranką, okazywać jej oddanie i mieć romantyczny charakter. Inaczej nie ma szans niczego u niej osiągnąć.

- Romantyczny! Podoba mi się to słowo. Cassandra dostrzegła rozbawienie Williama.

- Czy może go pan użyć wobec siebie, lordzie Lampard?

- O, miewam takie chwile.

- Czyżby próbował mnie pan uwieść? - zapytała, patrząc mu prosto w oczy.

Spoważniał i podniósł się z krzesła.

- Jest pani naiwną idealistką, Cassandro Greenwood. Nie jest pani jednak dzieckiem i ja też nie. Chce pani, bym powiedział to wprost, żeby nie było żadnych wątpliwości co do moich zamiarów? - Ujął ją za rękę i jej również pomógł wstać. Podobał mu się rumieniec, który zalał jej policzki.

- A czy zamiary, o których pan wspomina, są uczciwe?

- Są takie jak u dorosłego człowieka, całkowicie zgodne z naturą. Nie ulega więc wątpliwości, że panią pocałuję. Muszę jednak przyznać, że stanowi pani dla mnie zagadkę, Cassandro.

- Nie rozumiem - odwlekała nieuniknioną chwilę.

- Dodam jeszcze, że jest pani bardzo piękna.

Cassandra szybko traciła grunt pod nogami. William był taki delikatny, czuły, przekonujący. I tak zmysłowo na nią patrzył.

- Niech mnie pan puści. Wino, które wypiałam, zanadto poszło mi do głowy. Nie jestem w nastroju do takich rozmów.

- Musimy z tym pilnie coś zrobić.

- Powinnam zajrzeć do siostry i sprawdzić, jak się czuje.

- Emma da sobie radę. - Przesunął kciukiem po jej policzku, zachwycony jego gładkością.

- Williamie, ledwo stoję na nogach, chciałabym się położyć.

- Ja też. Razem z panią.

- Proszę...

- Czyżby chciała się pani rozzłościć? Odrzucić moje zaloty? - W jej oczach malowało się niezdecydowanie, więc William uśmiechnął się uwodzicielsko. - Lwy salonowe, którym pani dała kosza, przeważały panią Lodową Damą. Proszę pokazać, że się mylą. Może zaczniemy od tego punktu, w którym przzerwaliśmy wcześniej?

- Mam paść panu w ramiona i przejmująco westchnąć, aby dowieść, że nie mam lodu w żyłach? Williamie, ostrzegam pana, że tracę cierpliwość. - To miała być odprawa, zabrzmiała jednak nieprzekonująco.

William objął Cassandrę.

- Prowokacja stała się faktem.

- Właśnie. - W tej nowej sytuacji wydał jej się jeszcze atrakcyjniejszy niż poprzednio.

Czekała na to, co się stanie, z mocno bijącym sercem.

Pochylił się i musnął wargami skórę na jej szyi, za uchem.

- Wiem, że jestem trudny i nieznośny, ale to dlatego, że pani mnie pociąga. Pragnę pani, Cassandro.

- O, w tym nie ma jeszcze nic złego, grzechem jest jednak brać coś wbrew woli.

Zaśmiał się cicho.

- Grzeszę przez całe życie, to dla mnie nie nowina. Na pokutę mam czas. Tymczasem pragnę pani, i to od pierwszej chwili, gdy ją zobaczyłem.

- Jest pan tego pewien?

- Absolutnie - odrzekł, skubiąc płatek jej ucha. - Jestem szczery.

- W panu nie ma niczego szczerego.

- Za to jest olbrzymie pożądanie.

Cassandra skapitulowała. Zdawała sobie sprawę, że czarował tak niejedną kobietę, ale bardzo ją pociągał, a nie była już dzieckiem. Nie obawiała się dotyku mężczyzny, lecz jedynie własnej słabości. Nie była jednak w stanie oprzeć się pragnieniu powtórzenia tego doświadczenia, które niedawno tak ożywiło jej ciało. Niespokojne dłonie Williama dodatkowo ją zachęcały. A gdy dotknął jej warg z niezwykłą wprost delikatnością, poczuła uwodzicielską władzę jego ust.

Poddała się bez reszty ogarniającym ją doznanom. Przyjemność, podniecenie, lęk: to wszystko rodziło się z ruchu warg, ich zetknięć i poruszeń. Całe jej ciało zaczynało mówić nowym dla niej językiem zmysłów, który William rozumiał doskonale. Gdy wreszcie podniósł głowę, powiedział:

- Cassandro Greenwood, jesteś piękna, podniecająca i niezwykła.

Urzeczona pieścizotami i słowami pełnymi czułości, odniosła wrażenie, że odrywa się od ziemi.

- To szaleństwo - szepnęła. - Szaleństwo bez granic.

- Ja też tak myślę - szepnął jej prosto do ucha.

Znowu zwarli się w namiętym pocałunku. Przeszedł najśmielsze oczekiwania Williama. Nie mógł zrozumieć, dlaczego inni mówili o Cassandrze jako o Lodowej Damie. Dla niego była boginią miłości. Miękkie, gorące, pełne krągłości ciało mogło wprawić mężczyznę w ekstazę. Gdy po kolejnym pocałunku spojrzał na jej wargi, były rozchylone i drżące.

- Nie ma już Lodowej Damy - szepnął. - Pragniesz mnie. Temu nie zaprzeczysz.

- Jestem tylko człowiekiem, jak widać. Właśnie pan tego dowiódł.

- Boisz się.

Oszołomiona Cassandra przytknęła czoło do jego torsu.

- Tak.

- Nie masz cię czego obawiać z mojej strony. Spojrzała mu w oczy i przekonała się, że nie żartuje.

- Mam taką nadzieję.

- Cassandro, czy chcesz porozmawiać? Pokręciła głową.

- Hm. Zwykle moje pocałunki nie odbierają kobietom mowy. - Jeszcze raz musnął wargami jej usta. - Jesteś bardzo zmęczona. Idź do łóżka. Porozmawiamy rano.

Wysunęła się z jego objęć.

- Ma pan rację. Przepraszam, ale już pójdę.

Zajrzała jeszcze do Emmy, a potem poszła do swojego pokoju. Wydawało jej się, że zaśnie na stojąco, tymczasem okazało się, że sen nie chce przyjść. Wyczerpanie zrobiło swoje. Prawie do świtu leżała i dumiała, usiłując pojąć te porywające uczucia, które obudził w niej William, i swoją bezbronność wobec ich siły. Czy doświadczeni uwodziciele potrafią przekonać każdą kobietę, że jest niezwykła? Może, w każdym razie wspomnienie pocałunków sprawiało jej przyjemność, która była tak prawdziwa, że niemal dotykalna.

Czuła się teraz jak najpiękniejsza kobieta na świecie. Znowu przywoływała niedawne doznania, odurzały ją niczym dobre wino. Wyobrażenia podsuwała jej nowe obrazy, a ona z upodobaniem snuła kolejne zakazane myśli. Spotkała człowieka, którego mogła pokochać, mężczyznę, z którym chciałaby spędzić resztę życia. Wiedziała, że William ma za sobą mnóstwo innych doświadczeń z kobietami, a ona jest przy nim jak dziecko, a mimo to miała poczucie, że stała się dla niego kimś wyjątkowym.

Następnego ranka William przyjął w bibliotece sir Charlesa Grishama.

- Co cię sprowadza do Carlow Parku, Charles? - spytał z wymuszoną uprzejmością. - Czy nie jest trochę za wcześnie na wizytę?

- Czyżbyś całkiem stracił bystrość, odkąd wystąpiłeś z wojska? Nie słuchasz przyjaciół? Przecież mówiłem ci kilka dni temu, że wybieram się w odwiedziny do ciotki w Hertford.

William okazał jedynie nieznaczące zdziwienie, choć trudno mu było uwierzyć, że bal u lady Monkton odbył się niecały tydzień wcześniej.

- Ależ pamiętam, pamiętam. Powiedziałeś też, że zaprosił cię w odwiedziny Mark... chodziło o konia.

- Nawet o dwa, ale to było, zanim zawarliśmy zakład o ten wzór wszelkich cnót, czyli o uroczą i budzącą wielkie pożądanie pannę Cassandrę Greenwood.

William zmarszczył czoło. Nie było mu do śmiechu.

- Taka przecież jest, chyba nie zaprzeczysz?

- O tym zajściu na balu, kiedy zostawiłeś ją na środku parkietu, mówi cały Londyn. Krążą na ten temat dziesiątki plotek.

- Bez wątpienia ich autorzy mają swój rozum i umieją wyciągnąć całkowicie błędne wnioski - stwierdził z przekąsem William. - Zresztą plotki wkrótce ucichną, wystarczy, żeby towarzystwo znalazło sobie nową ofiarę.

- Wychodząc z Monkton House do White'a, zamierzałem zarejestrować nasz zakład, ale w końcu zrezygnowałem. Chodzi o konia, a nie o pieniądze, chyba że przegram, bo wtedy dostajesz tysiąc gwinei. Mimo wszystko uznałem, że to nasza prywatna sprawa.

- Cieszę się, prawdę mówiąc. - William zdecydowanie by nie chciał, aby ich umowa została wpisana do słynnej księgi zakładów w klubie White'a. Członkowie klubu zakładali się niemal o wszystko, czego wyniku nie sposób było przewidzieć z niezbitą pewnością.

- Wiesz, przyjacielu - powiedział Charles, rozpięrając się na sofie - życzę nam obu szczęścia w tym zakładzie, w każdym razie masz małe szanse uwieść dobrze urodzoną i niczego niepodważającą pannę Greenwood przed końcem sezonu, jeśli będziesz ukrywał się na wsi. Ta panna mieszka w Londynie.

- Nie musisz mi tego przypominać.

William nie mógł pozwolić, żeby Charles dowiedział się o obecności Cassandry i jej siostry w Carlow Parku. Jego kompan miał wiele zalet, ale dyskrecja do nich nie należała.

- Tak czy owak należy wątpić, czy w krótkim czasie zdołasz ją tak bardzo sobą zainteresować. Mimo wszystko próbuj, bo inaczej to wspaniałe zwierzę, które trzymasz w stajni, przejdzie na moją własność. I tak mam zresztą na to nadzieję. Pamiętam o twoich licznych podbojach, ale uważam, że panna Greenwood jest ulepiona z innej gliny.

- Kobiety zakochują się w najbardziej nieprawdopodobnych kandydatach, Charles - wycedził z udaną obojętnością William. Obecność Grishama z każdą minutą irytowała go bardziej.

- Gust nie podlega dyskusji, Lampard, ale w tym przypadku jesteś skazany na niepowodzenie, chyba że masz swoją strategię. A teraz bądź dobrym przyjacielem i nalej mi brandy. Cygarem też nie pogardzę. Usiądę sobie i posłucham, co chciałbyś mi opowiedzieć.

Rozdział szósty

Zakład! Koń!

Cassandra zamarła przy uchylonych drzwiach. Całkiem wyleciało jej z głowy, że chciała jak najszybciej zobaczyć Williama, aby się przekonać, czy nie śniło jej się to, co zaszło poprzedniego wieczoru. Strzępek podsłuchanej rozmowy był niczym trucizna. Jeszcze nikt tak jej nie obraził, tego jej duma znieść nie mogła. Odrętwiała powlokła się ku schodom, aby poszukać schronienia w swoim pokoju. Powoli jednak wracała jej zdolność trzeźwego myślenia i coraz dobitniej pojmowała, co zaszło. Ogarnął ją gniew. Co za upokorzenie! Nie było sposobu zaprzeczenia tej strasznej prawdzie.

Parszywy drań! Podstępny libertyn! Byłby gotów uwieść zakonnice w klasztorze, gdyby tylko nasza go chętką. A ona właśnie zaczynała mu ufać, szanować go i wierzyć, że niesłusznie przylgnęła do niego zła opinia, że nie mógł popełnić tych wszystkich ohydnych, niemoralnych postępów, które mu przypisywano. Jej uczuciom zadano śmiertelny cios.

William Lampard to bestia bez serca. I jak ona, rozsądna i bystra kobieta, mogła mu pozwolić na pocałunki?

A co gorsza, je odwzajemniać?! Była głupia. Naiwna i głupia! Dała się oszukać ogładzie i pięknym słówkom. Wiedziała, że mężczyźni chętnie wykorzystują niewinne panny, ale jak mogła wpaść w sidła takiego człowieka? Na domiar złego cieszyła się jego towarzystwem i tuliła się do niego, jakby odebrało jej rozum. Wyrażała wdzięczność, że udzielił im gościny pod swoim dachem, podczas gdy on działał z wyrachowaniem. Została wybrana na łup, więc William Lampard zamierzał ją uwieść i pozbawić czci. Był gotów na wszystko, byle wygrać zakład.

Zakład o konia! Tego urażona duma Cassandry nie mogła znieść. Gniew przerodził się w furie. Gdyby temu łajdakowi się udało, to jak wyglądałoby jej życie po nagłym końcu romansu ze znanym uwodzicielem? Odkrycie jego zdrady rozwiało wszystkie jej złudzenia. Wiedziała, że nigdy więcej mu nie zaufa. Takiej winy kapitan Lampard nie odkupi na pewno! Naturalnie mogła się zemścić i odpłacić mu pięknym za nadobne, ale szkoda jej było tracić na to czas.

Zanim doszła do pokoju, ogarnęło ją zobojętnienie. Nawet jej cierpienie zelzało. Postanowiła przemilczeć przed Williamem podsłuchaną rozmowę. To dawało jej przewagę, którą była zdecydowana wykorzystać. Jedno wydawało jej się oczywiste. Należy opuścić Carlow Park natychmiast po przyjeździe Clema.

Tymczasem w bibliotece William nalał brandy do dwóch kieliszków i podał jeden Charlesowi, po czym wznosił toast za Monarcha.

- Koń jest twój - dodał.

Charles przez chwilę zdawał się nie rozumieć tego, co usłyszał, a potem szeroki uśmiech rozjaśnił mu twarz.

- A co z zakładem? Czy się nie przesłyszałem? Czyś ty całkiem stracił rozum?

- Nigdy w życiu nie czułem się lepiej.

- Rozumiem więc, że zmieniłeś zainteresowania i dlatego nie chcesz uwieść panny Greenwood. Tak łatwo rezygnujesz?

- Właśnie.

- Jeszcze nie miałem przyjemności rozstrzygać w ten sposób zakładu. Jesteś bardzo szczególnym przeciwnikiem - stwierdził Charles, wyczuwając, że dzieje się coś bardzo ważnego, o czym on nie wie. - Szkoda tylko, że lubię wyzwania, więc zwycięstwo bez walki nie do końca mnie zadowala.

- Przykro mi, że cię zawiodłem, nabrałem jednak wielkiego szacunku dla panny Greenwood. Nie zhańbię jej. Nie zamierzam jednak również odcinać się od naszego zakładu. Możesz wziąć konia nawet dzisiaj, jeśli chcesz. Monarcha, bo z Franciscanem się nie rozstanę. To był koń mojego brata i mam nadzieję, że mnie rozumiesz.

Gdy Cassandra weszła do pokoju, Emma siedziała ubrana na ławie pod oknem. Kolana podciągnęła pod brodę i niewidzącym wzrokiem wpatrywała się w widoczny za szybą ogród. Była blada i wymizerowana, ale na widok siostry się uśmiechnęła.

- Jak się czujesz? - spytała Cassandra, siadając obok niej.

- Nie najlepiej.

- Wracamy. - Cassandra krzepiąco uściśnęła jej dłoń. - Wkrótce przyjedzie tu Clem, a w domu mama tobą się zajmie.

- Czy ona jest na mnie bardzo zła, Cassy?

- Mama bardzo, ale to bardzo się martwiła, Emmo. Kocha cię i przykro jej, że chorujesz.

- I jest zła, że uciekłam z Edwardem.

- Trudno się dziwić, a biedna ciotka Elizabeth nie przestaje się obwiniać.

- Gdzie jest Edward?

- William, to znaczy lord Lampard, odwiózł go do Woolwich.

- Do Akademii Wojskowej? Zostanie żołnierzem? - zapytała wyraźnie przybita Emma.

- Och, rozumiem - powiedziała po chwili i zwiesiła głowę. - To nie jest w porządku. Bardzo chciałam zostać jego żoną. Nie wiem, jak bez niego żyć.

- Jesteś silniejsza, niż ci się zdaje. Za dwa, trzy lata ta historia będzie ci się wydawać drobnostką. Nie pozwól się zranić, Emmo.

- Ale to boli i dzieje się teraz.

- Jeśli naprawdę kochasz Edwarda, uczucie przetrwa.

- Nie zrezygnuję z niego. Uważasz, iż jestem młoda, głupia i nie wiem, czego chcę, ale ja go kocham.

Na twarzy Emmy malowała się taka desperacja, że Cassandra mimo woli zmiękła.

- Wiem o tym - powiedziała z westchnieniem. - I wiem też, Emmo, że jesteś dorosła, ale czy naprawdę czujesz się dojrzała do małżeństwa?

- Naturalnie. Ta ucieczka była moim pomysłem. Udało mi się Edwarda namówić. Naprawdę nie powinnaś o nim źle myśleć.

- Myliłam się co do Edwarda, to już zrozumiałam, i bardzo cię przepraszam, że w niego wątpiłam. Masz rację. To jest bardzo przyzwoity młody człowiek.

Emma nagle podniosła głowę, a oczy jej pojaśniały.

- Naprawdę tak myślisz, Cassy? Nie wiesz nawet, ile dla mnie znaczy, że to powiedziałaś.

- On cię szczerze kocha. Mimo tego głupiego wybryku wydaje mi się porządnym człowiekiem, którego w przyszłości będą ranić ci twardsi, bardziej egoistyczni i mniej wrażliwi. Niech czas zrobi swoje. Odłóż tę sprawę, zaczekaj z decyzją. Będziesz miała debiut, ten niefortunny epizod pójdzie w zapomnienie. Może wtedy, jeśli oboje wytrwacie w swoich zamiarach, mama nie zgłosi sprzeciwu.

Cassandra chętnie wyjechałaby po cichu, bez pożegnania z lordem Lampardem. Całe przedpołudnie spędziła z Emmą a kiedy wszystko było gotowe, pomogła siostrze zejść na dół. William czekał na nie w sieni. Z pozoru Cassandra była całkiem spokojna, ale pod maską obojętności wszystko w niej się burzyło. Skoro postąpił podle i chciał ją skompromitować, to musiała wykrzesać z siebie dość siły, by zachować się godnie. W jej pojęciu William Lampard nie miał prawa nazywać się dżentelmenem, wiedziała jednak, że jest dumny i właśnie tę dumę zamierzała podeptać.

William podszedł dość zdziwiony, że Cassandra nie odwiedziła go wcześniej. Tęsknił za nią, chciał nasycić się jej widokiem i posłuchać ciepłego, kojącego głosu. Zdziwił się jeszcze bardziej, gdy po zaszczytenu szerokim uśmiechem jednego z lokajów Cassandra odniosła się do niego bardzo oficjalnie.

- Czy dobrze pani spała?

- Jak dziecko. Prawdę mówiąc, dopiero całkiem niedawno się zbudziłam.

Chłód bijący z jej głosu i postawy zdezorientował Williama. Nie potrafiłby wprawdzie powiedzieć, czego oczekiwał, ale chyba sygnału akceptacji dla tego, co między nimi zaszło. Doszedł jednak do wniosku, że powinien zachować umiar, więc zwrócił się do Cassandry:

- Pani siostra wygląda bardzo blado. Byłoby mi naprawdę niezwykle przyjemnie gościć panie jeszcze przez kilka dni, póki Emma w pełni nie wydobrzeje. Nie składałbym takiej propozycji, gdyby nie była szczerą.

- Wiem i bardzo dziękuję - odparła - ale spieszno mi do domu. - W tej chwili wyszli z salonu Mark Lampard z żoną i stanęli za Williamem.

- Mark, rozumiem, że zdażyłeś już poznać pannę Greenwood.

- Miałem tę przyjemność - potwierdził, nie odrywając od niej wzroku.

Zimne spojrzenie Marka stanowiło nieomylny znak, że jemu to pierwsze spotkanie sprawiło równie mało przyjemności jak Cassandrze.

- Miło mi spotkać pana ponownie - powiedziała uprzejmie.

Mark zwrócił się ku stojącej za nim ciemnowłosej kobiecie.

- Proszę pozwolić, że przedstawię moją żonę, Lidie.

- Miło mi panią poznać, lady Lampard - dopełniła formalności Cassandra.

- Wzajemnie - odrzekła Lidia.

Cassandrze trudno było wyczytać cokolwiek z wyrazistej twarzy kobiety, a gdy baczniej jej się przyjrzała, poczuła, że podlega dokładnie takim samym oględzinom. Lidia była wysoka i smukła, miała orli nos i kunsztownie ułożone włosy. Wargi układały się w ledwo zauważalny grymas goryczy. Gdy Cassandra spojrzała w szare oczy, nabrała pewności, że ta kobieta żywi do niej nienawiść.

- Przepraszam bardzo, ale właśnie wyjeżdżamy. Ze względu na nie najlepsze samopoczucie siostry chciałybyśmy dotrzeć do Londynu przed zmierzchem.

- Życzę więc paniom szczęśliwej podróży.

- Dziękujemy.

Cassandra ujęła Emmę za ramię i obie wyszły na dwór. William chciał jej pomóc, ale zignorowała jego wyciągniętą rękę. Zaskoczony przystanął, wpatrując się w plecy panien Greenwood. Gdy młodsza z sióstr usadowiła się w powozie, a starsza właśnie zamierzała wsiąść, nie zamieniwszy z Williamem ani słowa, ten chwycił ją za ramię.

- Cassandro, czy można panią prosić o chwilę rozmowy? - Odciągnął ją na bok. - Dlaczego pani to robi? Z jakiego powodu jest pani na mnie zła?

- Nie jestem zła - odparła z miną wyrażającą zdziwienie.

- Myślałem, że po wczorajszym wieczorze...

- To nie powinno było się zdarzyć. Popełniłam błąd, oboje straciliśmy panowanie nad sobą. Powinnam być mądrzejsza i nie ulegać urokom kobieciarza.

- Przykro mi, jeśli ma pani takie odczucia, ponieważ moim zdaniem jest pani wyjątkowo uroczą i dzielną młodą kobietą. Nigdy dotąd takiej nie spotkałem.

Cassandrze pękało serce, postanowiła jednak być niezłomna.

- Niech pan przestanie. Pańskie komplementy rażą nieszczerością. To, co zaszło, było jedynie rozrywką, zwykłym, choć dość śmiałym flirtem, którego nikt nie bierze poważnie, u już na pewno nie pan, bogaty w doświadczenia libertyn.

- Czy to, co zaszło między nami, budzi pani obawy? - spytał spokojnie.

- Obawy? Nie, skądże. Po prostu wolę, żeby darował pan sobie demonstrowanie dworskich manier albo romantycznych skłonności. W rzeczywistości są panu obce. Jeszcze dam się na to nabrać i uwierzę, że naprawdę darzy mnie pan uczuciem.

- Chyba nie mówi pani tego poważnie.

- Czemu nie?

- Czy nasza poufałość nic dla pani nie znaczyła?

- Po co tak dramatyzować?

William przybrał maskę obojętności, ale nie spuszczał wzroku z Cassandry. Trudno mu było pojąć, skąd ta zmiana w kobiecie, która poprzedniego wieczoru omdlewała z rozkoszy w jego ramionach.

- Powinna pani pamiętać, jak odpowiadała na moje pocałunki i sama mnie całowała. Nikt pani do tego nie zmuszał.

- To było wczoraj. Poza tym wcale nie było mi przyjemnie pana całować. -

Wypowiadając kłamstwo szyte grubymi nićmi, Cassandra nie potrafiła się zdobyć na to, by otwarcie spojrzeć Williamowi w twarz.

- Proszę mi wybaczyć, jeśli sprawiam wrażenie tępego, ale wczoraj znakomicie pani udawała - powiedział z gryzącą ironią.

- I bez wątplenia po wszystkich swoich podbojach jest pan zdziwiony, że istnieje kobieta, która uważa, że można się panu oprzeć.

William chwycił Cassandrę za ramię i szarpnięciem przyciągnął do siebie.

- Chętnie panią przekonam, że może zmienić zdanie. Wystarczy trochę perswazji.

- Nie uda się panu, choćby nie wiem jak pan próbował. Nie pozwolę na to.

- A ja myślałem, że pani jest inna. Głupiec ze mnie - stwierdził lodowatym tonem.

Raptownie ją puścił i odszedł kilka kroków. - Nie będę pani dłużej zatrzymywał. Siostra czeka. Mam nadzieję, że bezpiecznie dojedzie pani do Londynu.

Z nieprzeniknioną twarzą William stał i patrzył za oddalającym się powozem. Święcie przekonany, że to jego spotkała krzywda, w końcu zawrócił do domu. Chciał wymazać pannę Greenwood z pamięci, wiedział jednak, że wyrzucenie jej z serca nie będzie takie łatwe.

Przez następne dni William przyzwyczajał się do życia w Carlow Parku i prowadzenia codziennych spraw majątku. Wezwał rządców, aby zdali sprawozdanie ze swej działalności, zaczął przeglądać księgi, oglądał swoje włości i spotykał się z dzierżawcami. Gdy wreszcie doszedł do wniosku, że wszystko wygląda tak jak powinno, mimo woli zaczął wspominać Cassandrę.

Chodził od pokoju do pokoju, ale i tak nie potrafił uciec od poczucia pustki. Tęsknił za życiem wojskowym i kolegami z oddziału, najbardziej jednak chciał zobaczyć Cassandrę, która pojawiła się w jego życiu niczym łagodny powiew wiosny i opuściła je niczym gwałtowna wiosenna burza.

Jak to się stało, że pozwolił jej na takie spoufalenie? Uśmiechnął się pod nosem, wspominając, jak młodzieńczo i uroczo wyglądała na balu lady Monkton i z jakim wdziękiem pozyskiwała datki dla swojej ukochanej ochronki i małych podopiecznych. Nikt inny nie odważyłby się robić czegoś podobnego podczas balu i nikt nie wypomniałby mu tak bezceremonialnie wszystkich jego występów.

Brutalna prawda była taka, że ani czas, ani odległość nie osłabiły uczuć, jakie żywił do Cassandra Greenwood. Niestety, nie potrafił pojąć odmiany, jaka zaszła w niej z dnia na dzień. Ponieważ zaś trudno było mu skupić się na pracy, powiadomił Marka, że wyjeżdża, i wyruszył do Londynu, licząc na to, że tam uda mu się ją spotkać.

Harriet narobiła wielkiego zamieszania z okazji przyjazdu córek. Nie szczędząc surowych połajanek, wyrazów troski o zdrowie Emmy i łez szczęścia, że bezpiecznie wróciły pod rodzinny dach, wysłała w końcu Emmę do łóżka. Potem wraz z Cassandrą usiadła przy kominku i wysłuchiwała relacji z tego, co zaszło. Gdy córka skończyła i wstała, aby udać się na spoczynek, Harriet ją zatrzymała.

- Poczekaj. Chciałabym porozmawiać z tobą na pewien temat.

- Słucham. - Cassandra ponownie usiadła. Natychmiast po powrocie do domu zauważyła, że mama jest zafrasowana nie tylko problemami Emmy. - Chodzi o podopiecznych, prawda?

- Obawiam się, że tak. Jak ci wiadomo, już od pewnego czasu mamy trudności. Mimo hojnego datku lorda Lamparda fundusze szybko się kończą. Jeśli sytuacja się nie poprawi, będziemy musiały zamknąć ochronkę.

- Hojny datek?

- Sto funtów.

- To pokażna suma.

Pewnie nie byłaby taka duża, gdyby nie zakład lorda Lamparda z sir Charlesem Grishamem, pomyślała Cassandra. Uświadomiła sobie, że William Lampard nie robi niczego bez powodu.

Chętnie zajmowała się zbieraniem datków, jednak pozostawiła sprawy finansowe w rękach matki. Od dawna słyszała o kłopotach, nie znała jednak ich rozmiarów. Nagle ogarnął ją dotkliwy chłód, mimo że w pokoju było całkiem ciepło. Jeśli matka podjęła ten temat, sytuacja musiała być dramatyczna.

- Jest aż tak źle? Nie możemy zamknąć ochronki. Dzieci na nas liczą. Wszystkie nadzieje i marzenia taty wiązały się z tym miejscem.

- Wiem, i mnie to również boli. Ta praca jest dla mnie bardzo ważna. Mam poczucie, że dopóki kontynuujemy dzieło ojca, wciąż jest z nami. Na razie mamy środki na miesiąc działalności, może trochę więcej. Spróbuję coś wymyślić.

- Musimy zdwoić wysiłki. Jutro z samego rana napiszę do naszych dobroczyńców, może ktoś zechce udzielić dodatkowego wsparcia. Na pewno wszystko się ułoży - pocieszyła matkę Cassandra, acz bez przekonania. - Nie rozważałaś przyjęcia pomocy od ciotki Elizabeth?

- Nie. Na samym początku ustaliłyśmy zasadę, że nie będziemy prosić Elizabeth o pieniądze, chociaż chętnie by nas wspomogła. Jestem jej głęboko wdzięczna za wszystko, co zrobiła dla rodziny. Prosić ją o finansowanie naszej placówki, to moim zdaniem przesada.

- Zgadzam się z tobą, mamó. Zainteresuję się możliwością uzyskania funduszy rządowych, chociaż w przeszłości już wiele razy próbowałam. Niestety, bez skutku. Czy napiszesz do lorda Lamparda list z podziękowaniem za datek?

- Tak, naturalnie. Zamierzałam zrobić to niezwłocznie po otrzymaniu czeku, ale przez tę wstrząsającą historię z Emmą całkiem zapomniałam. Ona złamała wszelkie zasady przyzwoitości. Miejmy nadzieję, że to nie wyjdzie na jaw, bo gdyby wieść o tym się rozniosła, elita uznałaby, że Emma jest bezwstydną i rozwiązała, a więc nie powinna utrzymywać znajomości z dobrze wychowanym towarzystwem. Krótko mówiąc, jej reputacja ległaby w gruzach. A co stało się z tym młodym człowiekiem, Edwardem Lampardem?

- Lord Lampard zawiózł kuzyna do Akademii Wojskowej w Woolwich i ma nadzieję, że Edward przysposobi się do wojaczki.

- Sądzisz, że on będzie próbował widywać się z Emmą?

- Bez twojego pozwolenia na pewno nie. Muszę jednak powiedzieć, mamó, że niesprawiedliwie go osądziłam. To jest poważnie myślący i przyzwoity młody człowiek. Widać że kocha Emmę, w dodatku z wzajemnością.

- Mimo wszystko nie możemy przymknąć oka na fakt, że postawił ją w wyjątkowo niezręcznej sytuacji. A co z lordem Lampardem? - spytała Harriet, spoglądając na córkę z wyraźnym zatroskaniem. - Musiałaś spędzić niemało czasu w jego towarzystwie, a wiem, że ma opinię uwodziciela.

- Sytuacja, w jakiej się znaleźliśmy, wyniknęła z troski o krewnych, i to wszystko. Lord Lampard był dla mnie bardzo uprzejmy i opiekuńczy, kiedy Emma gorzej się poczuła. Jestem mu wdzięczna, że zaprosił nas do swojego domu.

- To przemawia na jego korzyść, może wcale nie ma aż tak złego charakteru, jak mówią ludzie.

Cassandra pochylała głowę. Nie mogła powiedzieć matce, że tacy mężczyźni jak lord Lampard tylko przysparzają kłopotów kobietom, które są dość naiwne, by dać się zwieść atrakcyjnemu wyglądowi i pochlebstwom.

Minęły dwa tygodnie od czasu, gdy Cassandra i Harriet wysłały listy do wszystkich darczyńców, do tej pory jednak nie otrzymały ani jednej odpowiedzi. Wyglądało na to, że wszyscy nagle stracili zainteresowanie dobroczynnością. Cassandra rzuciła się w wir pracy.

Próbowała znaleźć jakieś wyjście z sytuacji. Jednak nawet w tych pełnych napięcia chwilach mimo woli wracała myślami do Williama Lamparda.

Tymczasem przyszedł czas, by Archie rozpoczął nowy rozdział w życiu. Chłopiec się bał, że gdy jego nogi wydobrzeją, będzie musiał wrócić do pracy u kominiarza, więc kiedy Cassandra powiedziała mu, że znalazła dla niego miejsce w stajniach lorda Lamparda, nie posiadał się ze szczęścia. Przed opuszczeniem ochronki zadbano o wygląd chłopca. Przycięto mu jasne włosy i ubrano go w używane, lecz schludne rzeczy. Archie, prowadzony przez Cassandrę, ruszył w nowych butach do powozu, aby pojechać na Grosvenor Square.

Dzień był pogodny, lekkie podmuchy wiatru niosły zapach kwiatów od strony Green Parku. Cassandra zastanawiała się, gdzie przebywa William. Miała nadzieję, że wciąż w Carlow Parku. Zresztą nawet gdyby tymczasem wrócił do Londynu, ryzyko spotkania nie wydawało się duże. Ciem podjechał powozem od tyłu rezydencji. Drogę do stajni pokazała im służąca.

Wszedłszy do mrocznego pomieszczenia, w którym unosił się zapach siana, nawozu i skóry, Cassandra zobaczyła kilku ludzi przy pracy. Zwróciła uwagę na mężczyznę, który pouczał młodego stajennego, jak szczotkować gniadą klacz. Wysoki, chudy Thomas musiał mieć około czterdziestu lat, zachował jednak chłopięcy wygląd. Ujrzawszy przybyłych, natychmiast do nich podszedł.

- Jestem panna Greenwood. Lord Lampard powiedział mi, że znajdzie się tutaj miejsce dla Archiego.

Thomas spojrzał na chłopca, który wielkimi jak spodki oczami przyglądał się koniom.

- Milord uprzedził mnie, żeby go oczekiwać. Przyda się, tu zawsze jest mnóstwo do zrobienia, więc im więcej rąk do pracy, tym lepiej. Podobają ci się konie, chłopcze?

- Tak, proszę pana - odparł zachwycony Archie.

- To dobrze, bo jego lordowska mość lubi, kiedy jego konie są zadbane.

- Macie tu wspaniałe wierzchowce - zauważyła Cassandra. Kątem oka dostrzegła stojącego w boksie mężczyznę.

Byłaby gotowa przysiąc, że nagle znieruchomiał, słysząc jej głos.

- Panna Greenwood! - zawołał William.

Ich spojrzenia się spotkały. Cassandra drgnęła, zaskoczona niespodziewanym spotkaniem. Również na twarzy lorda Lamparda malowało się niedowierzanie. Zmieszana Cassandra szybko odwróciła głowę.

- Miło widzieć panią ponownie, panno Greenwood - powiedział oficjalnym tonem William.

Stał oparty ramieniem o koński grzbiet i obserwował Cassandrę spod na wpół przymkniętych powiek. Nawet nie zadał sobie trudu, żeby podejść. Jego poza zdawała się wyrażać brutalną siłę, nie umiała dostrzec ani jednej oznaki, która wskazywałaby na to, że ten

człowiek trzymał ją w ramionach i z wielką czułością całował. Chłód jego spojrzenia działał deprymująco na Cassandrę.

- Jak się czuje pani siostra? - spytał.

- Bardzo dobrze, dziękuję. - Udało jej się opanować drżenie głosu. - A pan?

- Jak pani widzi. Przeżyłem nasze ostatnie spotkanie, blizn nie ma.

Thomasowi, który obserwował tę wymianę zdań i zauważył nerwowość panny Greenwood, sytuacja wydała się dziwna, podobnie jak zachowanie milorda wobec tej kobiety.

- Panna Greenwood przyprowadziła tego chłopca, o którym milord wspominał - powiedział.

William wyszedł z boksu, spojrzał na malca, którego poprzednio widział w szpitalnym łóżku.

- A więc to ty jesteś Archie. Już zdrowy?

- Tak proszę pana... tak, milordzie - potwierdził chłopiec, przejęty wyraźnym podziwem dla rosłego mężczyzny.

- Cieszę się, że to słyszę. Witaj w moim domu, Archie. Thomas nauczy cię wszystkiego, co będzie ci potrzebne. Wkrótce zadamowisz się tu i przekonasz, że wiesz o koniach coraz więcej.

- Dziękuję panu - odrzekł wyraźnie zachwycony Archie. Patrząc na tę scenę, Cassandra zrozumiała, że lord Lampard na zawsze zyskał wierność Archiego. Wdzięczność za ciepłe potraktowanie chłopca sprawiła, że jej złość na Williama nieco zelżała.

- Niech Tim pokaże Archiemu jego miejsce do spania.

- Proszę się o niego nie martwić, panno Greenwood - pospieszył z wyjaśnieniem Thomas, widząc jej zafrasowaną minę. - Archie będzie spał w jednym pokoju z tym oto Timem. - Wysunął chłopca przed siebie. - Jak pani widzi, są mniej więcej rówieśnikami, więc na pewno szybko się zaprzyjaźnią.

Jakby na potwierdzenie słów masztalerza Tim ujął za rękę Archiego, który przesłał Cassandrze uśmiech i ruszył za nowym towarzyszem po drewnianych schodach, prowadzących do kwater służby.

Podziękowawszy Thomasowi, Cassandra opuściła stajnię. Tuż za nią szedł William.

- Dziękuję - rzuciła przez ramię. - Życzliwie traktując Archiego, zyskał pan jego szacunek i bez wątplenia wierność do grobowej deski.

- Szkoda, że tego samego nie można powiedzieć o pani. Cassandra puściła przytyk mimo uszu.

- Jestem ogromnie wdzięczna, że znalazł pan dla niego miejsce. Chciałabym, żeby i inni chłopcy mogli mieć tyle szczęścia. - Spojrzała mu prosto w oczy, bo się zrównali. - Nie

spodziewałam się pana tutaj zastać. Inaczej poprosiłabym Clema, żeby towarzyszył Archiemu.

- I pozbawiłaby mnie pani przyjemności zobaczenia jej ponownie? To niedopuszczalne. - Żart zamaskował groźną miną.

- Od dawna jest pan w Londynie?

- Niecałą dobę.

- Rozumiem.

Ta rozmowa mogłaby się toczyć między obcymi.

- Przepraszam, muszę już iść. - Cassandra przyspieszyła kroku, ale William stanął przed nią, zagradzając jej drogę do bramy.

- A dokąd tak pani spieszno? - spytał, ujmując ją za ramię.

Dotyk Williama sprawił, że się zarumieniła. Nic na to nie mogła poradzić. Magia wciąż działała.

- Proszę puścić moje ramię - powiedziała gniewnie, znów przypomniał jej się bowiem zakład z Charlesem Grishamem.

- Przywiozłam Archiego, i to wszystko. Nie mamy o czym rozmawiać.

William nie zamierzał łatwo się poddać.

- Tak pani sądzi? Mnie się wydaje, że jest wręcz przeciwnie. Mamy sobie dużo do powiedzenia. Bardzo mnie wzburzyło pani zachowanie przy wyjeździe z Carlow Parku. Nie mogę przestać o pani myśleć.

- Jest pan nieszczery, za to przekonujący - odparła Cassandra. - Może nawet uwierzyłabym tym słowom, gdybym nie wiedziała, jaką ma pan wprawę w mówieniu pochlebstw. Czy ktoś kiedyś powiedział panu, jak bardzo jest irytujący?

- Och, moja droga Cassandro, robi to każda poznana przeze mnie kobieta. Nie przywiązuję do tego większej wagi. Zresztą chociaż nie znam powodu, mam przeświadczenie, że pani poddaje mnie jakiejś próbie. Dlatego musimy porozmawiać.

Gdy zatrzymał wzrok na jej wargach, Cassandrze przyszło do głowy, że i on dobrze pamięta ich pocałunki. Jak na człowieka, który otrzymał taką odprawę przy rozstaniu, William Lampard wydawał się podejrzanie bez troski.

- Nie wydaje mi się. Wszystko, co miałam do powiedzenia, usłyszał pan w Carlow Parku. Może pan się zająć czarowaniem kogo innego - zakończyła, wyszarpując ramię z uścisku.

- Bez wątplenia kobiety, z jakimi pan się zwykle zadaje, powitają pańskie względy z entuzjazmem.

- Wolę czarować panią - odrzekł z uśmiechem.

- Dlaczego? - zjeżyła się. - Bo chce pan dodać mnie do długiej listy swoich podbojów?

- Podbojów? - Wciąż nie rozumiał, skąd się wzięła jej pogarda. - To mocno dyskusyjne słowo. Jest pani w błędzie, Cassandro. Podbój wiąże się z przemocą, braniem siłą. Ja oczekuję, że pani się podda, i nie biorę niczego, co nie jest dawane dobrowolnie. Pamiętam, jak zachowywała się pani w moich ramionach, czułem jej pożądanie. Pocałunki sprawiały pani przyjemność.

- Nie - odszepnęła Cassandra, zażenowana wspomnieniem swojej bezwstydy reakcji.

- Proszę nie zaprzeczać. Znam prawdę.

- Nie zna pan ani prawdy, ani mnie - odparła coraz bardziej zła. - A ja nie znam pana i mu nie ufam.

- Ale pragnie mnie pani, Cassandro.

Pokręciła głową, choć wiedziała, że ma rację. Nie dałaby mu jednak takiej satysfakcji, żeby to przyznać. Znowu spojrzał na jej wargi, tym razem tak, by na pewno to zauważyła.

- Kiedy panią całowałem, wydawałem jej się całkiem atrakcyjny, czyż nie?

- Niech pan przestanie tak na mnie patrzeć - poprosiła, odwracając głowę. - Nie wypada. Wszędzie dookoła chodzą stajenni, jesteśmy w miejscu publicznym.

William popatrzył na jej gniewną minę.

- Nie ma pani pojęcia, co chciałbym z panią robić - powiedział z bardzo sugestywnym uśmiechem. - A czy pani wie, co się stanie, gdy ulegnę pragnieniu i panią pocałuję? Ludzie wezmą nas na języki i żaden przyzwoity mężczyzna w Londynie nawet na panią nie spojrzy.

- Niech mnie pan zostawi w spokoju. Chcę już iść. - Cofnęła się o dwa kroki i odgrodziła się od niego wyciągniętymi przed siebie rękami. - Jeśli spróbuje się pan zbliżyć, zacznę krzyczeć i powiem pańskiej służbie, że mnie pan napastuje. Do widzenia, Williamie. Nie wydaje mi się, żebym jeszcze chciała pana zobaczyć.

Wsiadła do powozu i kazała Clemowi zawieźć się do domu. Nie obejrzała się za siebie, nie zobaczyła więc wyrazu determinacji na twarzy Williama, patrzącego za oddalającym się powozem. Łzy cisnęły jej się do oczu. Powtarzała sobie w duchu, że miała szczęście, dowiadując się o tym upokarzającym zakładzie, zanim wystawiła się na pośmiewisko. Niepochlebne plotki o lordzie Lampardzie okazały się prawdziwe. Tyle że to stwierdzenie sprawiało jej ból nie do zniesienia.

William stał zadumany przed stajnią. Nie próbował zrozumieć powodów decyzji, którą zamierzał podjąć. Pragnął Cassandry Greenwood, i to był dla niego dostateczny powód. Przyjmując zakład z Charlesem, widział w niej jedynie rozbudzający zmysły obiekt pożądania. Z czasem jednak jego punkt widzenia zaczął się zmieniać. Zakończył karierę wojskową i objął zarząd rodzinnych włości. To zaś oznaczało, że jego obowiązkiem jest spłodzić dziedzica, o czym zresztą wciąż sobie przypominał, odkąd Robert rozstał się z tym światem. Nie potrafił zgadnąć przyczyny, dla której Cassandra nagle zaczęła traktować go wrogo, nie miał jednak najmniejszych wątpliwości, że potrafi ją zwabić w swoje ramiona.

Podjąwszy niezłomne postanowienie, dziarskim krokiem zawrócił do stajni. Szkoda jałowych rozmyślań, Cassandra zostanie jego żoną.

Po wizycie przy Grosvenor Square, wzburzona i rozżalona Cassandra, wciąż rozmyślająca o Williamie, nie była przygotowana na czekające ją w domu nowiny. Okazało się, że wiadomość o ucieczce Emmy z Edwardem Lampardem została ujawniona publicznie, co wywołało skandal. Wiązane z sezonem Emmy nadzieje legły w gruzach. Cassandra przeglądała gazety z uczuciem najwyższej trwogi.

Siostra siedziała na kanapie przybita konsekwencjami swojego braku rozwagi.

- Przepraszam - szeptała raz po raz przez łyżę. - Bardzo przepraszam. Naprawdę nie chciałam takiego zakończenia,

- Nie martw się - powiedziała zdecydowanie Cassandra, spoglądając to na matkę, to na siostrę. - Przebrniemy przez to razem.

- Dziękuję. W takiej sytuacji wsparcie wiele znaczy.

Harriet i Elizabeth wymieniły współczujące spojrzenia, a Cassandra usiadła obok siostry.

- Nie jesteś pierwszą kobietą, która straciła głowę dla przystojnego mężczyzny, i na pewno nie ostatnią.

- To coś więcej, Cassy. Wyjawiłam ci, co czuję do Edwarda. Nic się nie zmieniło, bardzo za nim tęsknię.

- Rozumiem. Chciałabym wiedzieć, kto rozpuszcza plotki.

- Wygląda na to, że nie będę miała nigdzie wstępu, ale to i tak jest bez znaczenia, skoro nie mogę spotykać się z Edwardem.

- Nie mogę pojąć, Emmo, jak ty i ten młody człowiek mogliście zachować się tak nierozważnie - powiedziała Harriet, ale bez śladu gniewu. - Z drugiej strony, Elizabeth mówi, że uciezki stały się modne. W tym roku postąpiło tak już kilka par.

- I wszystkim się udało. Gdybyśmy z Edwardem dojechali do Szkocji i tam się pobrali, może uznano by mnie za bohaterkę. Tak jak Henriettę Kirkbride, która uciekła z wicehrabią Swinburnem. Między mną a Edwardem nie zaszło nic niestosownego, mamó. Wierzysz mi? - Emma wydawała się w tej chwili potulnym, zagubionym dzieckiem, które zostało niewinnie ukarane.

- Naturalnie.

- Niestety, to bez znaczenia - wtrąciła Cassandra. - Dobrą reputację straciłaś tak czy inaczej.

Ubarwione pikantnymi szczegółami plotki rozeszły się w londyńskim towarzystwie z szybkością błyskawicy. Najbardziej obciążający był fakt, że młodzi kochankowie spędzili we dwoje noc w zajeździe, zanim wzburzony lord Lampard i Cassandra Greenwood zdołali ich

odnaleźć. To zresztą była druga intrygująca historia, którą ludzie zaczęli brać na języki. Londyńska socjeta wykluczyła Emmę ze swego grona, zanim ta miała okazję zadebiutować.

Rozdział siódmy

William przybył do ochronki, gdy czereda uliczników jadła jedyny solidny posiłek tego dnia. Przepchnął się do jadalni i stanawszy z boku, przyglądał się nierównym ścianom, podejrzanie ugiętemu sufitowi i osmolonym krokwiom. Stary budynek wyglądał nędznie, ale był wyszorowany do czysta. Dwie pomocnice Cassandry zmywały naczynia w wiadrze wstawionym do dużego zlewu. Dzieci stały w kolejce, wyciągając przed siebie miski, przy czym wszystkie co do jednego wpatrywały się z zachwytem w olbrzymi, dymiący kocioł, z którego jowialna kobieta w średnim wieku, okryta fartuchem i w czepku na głowie, nakładała wielką łyżką apetyczną potrawkę. Każde dziecko brało pajdę chleba i siadało przy długim stole, gdzie niektóre zmiatały już swoją porcję pod czujnym okiem panny Greenwood.

William zatrzymał na niej wzrok. Włosy zaczesana do tyłu i spięta, zaróżowiła się na twarzy od gorąca. Bardzo chciał domyślić się, w jakim jest nastroju. Niedawno poznał energiczną, skłoną do prowokacji i pełną namiętności młodą kobietę, natomiast teraz dostrzegał w niej jedynie powagę. Może przejścia ubiegłego tygodnia odebrały jej radość życia? To nie była szczęśliwa, czarująca Cassandra z balu u lady Monkton ani pewna siebie panna, która śmiało oznajmiła mu, że ich znajomość dobiegła końca.

Wyczuwając obecność obcego, Cassandra poniosła głowę i spojrzała ku drzwiom. Jeśli nawet zdziwiła się na widok Williama, to nie dała tego po sobie poznać. Spodziewał się wyzywającej pozy, wyniosłości, ale okazało się, że niesłusznie. Podeszła do niego zasmucona.

- Przyszedł pan w porze największego zamieszania - powiedziała. - Właśnie przygotowujemy jedzenie dla dzieci. Trafiają do nas tak głodne, że zjadłyby byle co. Przynajmniej raz dziennie dostają zdrowy i pożywny posiłek.

- Byłem u pani w domu, mając nadzieję, że zastanę jej matkę. Kiedy poinformowano mnie, że wyjechała, postanowiłem poszukać pani. Chyba nie zrobiłem niczego nagannego.

- Nie. Nietrudno było się domyślić, gdzie można mnie znaleźć. Mama i ciotka Elizabeth wyjechały z Emmą na wieś, do domu ciotki pod Guilford. Trochę czasu spędzonego poza Londynem pozwoli im odpocząć.

- Chciałbym zaoferować pomoc. Sprawy przybrały fatalny obrót. Jak pani sobie radzi?

- Nie za dobrze. - Cassandra ciężko westchnęła. - Paskudna sytuacja. - Starła się nie poddawać niepokoju o Emmę i do pewnego stopnia to jej się udawało, ale ciężar, jaki musiała udźwignąć, był olbrzymi.

- Czy mogłaby pani stąd na chwilę wyjść? Powinniśmy porozmawiać. Będę bardzo wdzięczny, jeśli poświęci mi pani trochę czasu i wysłucha, co mam do powiedzenia.

- Porozmawiać? I cóż by to mogło zmienić? Bez względu na to, co chce mi pan powiedzieć, może to zrobić również tutaj, w czasie gdy pracuję.

- Przyszedłem do pani prywatnie. Proszę, Cassandro, mam uczciwe zamiary. Na pewno nikomu tutaj nie będzie przeszkadzać, jeśli wyjdzie pani na pół godziny. Porozmawiamy w parku.

Cassandra stała niezdecydowana. Skandal dotyczył również Edwarda, a skoro tak, to wypadało się zdobyć na uprzejmość.

- Niech będzie, ale jak pan widzi, nie jestem odpowiednio ubrana do spacerów po parku.

- Dla mnie mogłaby pani nawet włożyć na siebie worek i posypać głowę popiołem. Zapewniam, że pani suknia świetnie nadaje się na spacer. - Popatrzył na nią z rozbrajającą łagodnością. - Niebieski pasuje do pani oczu, a kapelusik na pewno będzie dodatkową ozdobą.

Nieco się rozpogodziła.

- Kapelusik jest stary i znoszony, ale jestem przekonana, że i tak wszystkie damy w parku będą mi zazdrościć - stwierdziła nie bez ironii.

William był pełen podziwu dla jej dzielności.

- Wychodzę na chwilę, Agatho - zapowiedziała Cassandra kobiecie nakładającej potrawkę. - Mam sprawę do załatwienia. Poradzicie sobie beze mnie?

- Pewnie, panienko. Niech pani idzie. Przerwa dobrze jej zrobi.

- Agatha to skarb - powiedziała Cassandra, zdejmując fartuch. - Straciła męża w Hiszpanii, a ponieważ nie ma dzieci, poświęca cały swój czas naszym podopiecznym. Z wielkim oddaniem nimi się opiekuje, a przy tym jest niezwykle sprawna. Nie wiem, co bym bez niej zrobiła, chociaż naturalnie nie jest jedyną pomocnicą.

Dwie kobiety, które jeszcze przed chwilą zmywały, wpatrywały się teraz w Williama, stojąc z otwartymi ustami. Jeszcze nigdy nie widziały tak przystojnego dżentelmena, więc natychmiast zaczęły snuć domysły, kim może być i co łączy go z panną Greenwood.

William pomógł Cassandrze zająć miejsce w powozie i kazał woźnicy jechać do Green Parku. Siedziała przy nim nieruchomo, z rękami splecionymi na kolanach. W parku było trochę spacerowiczów, guwernantki z dziećmi i piastunki pchające wózki. W powietrzu unosił się delikatny zapach kwiatów i skoszonej trawy.

Dopiero gdy i oni powoli ruszyli ścieżką, Cassandra odzyskała głos.

- Jak to się stało? Skąd wszyscy wiedzą o ucieczce? Kto to widział i kto rozpuścił plotki?

- Nie mam pojęcia. Takie sprawy często rozchodzą się w zagadkowy sposób. Podglądanie życia innych ludzi jest dla niektórych wyjątkowo zajmujące. A tego typu historie pomaga rozpowszechniać służba, która z pozoru niczego nie widzi - odrzekł William. - Służba w moim londyńskim domu zna więcej sekretów niż członkowie angielskiego

gabinetu. Bez względu na to, jak sprawa wyszła na jaw, musimy stawić czoło konsekwencjom.

Cassandra popatrzyła na lorda Lamparda, zupełnie nie kryjąc rozdrażnienia.

- My? A pan niby w jaki sposób? To Emmie plotki zaszkodziły. To ją usunięto poza nawias towarzystwa. Jej własny brak rozsądku i dodatkowo lekkomyślność pańskiego kuzyna postawiły pod znakiem zapytania jej przyszłość. Edwardowi jako mężczyźnie skandal nie zaszkodzi tak jak Emmie, i pan zdaje sobie z tego sprawę. Życie wydaje się pod tym względem wyjątkowo niesprawiedliwe.

- Pani nie pozwala sobie na panięskie zauroczenia, Cassandro.

- Emma nie jest taka silna. Ja potrafię być bardziej stanowcza. Nienawidzę ludzi, którzy mają sumienie w taki sposób traktować młodą, Bogu ducha winną kobietę! - zaperzyła się Cassandra. - Towarzystwo mogłoby dla mnie nie istnieć, ale Emma tym się przejmuje, a do tego jest bardzo wrażliwa. Kiedy przeczytała te wszystkie okropieństwa, które powypisywano o niej w gazetach, dwa dni przepłakała, nie wychodząc ze swojego pokoju.

- Przykro mi to słyszeć - powiedział cicho William, szczerze poruszony nieszczęściem Emmy. - Nie zasłużyła na to.

- Ona nie może znieść, że ludzie o niej plotkują i ją wyśmiewają. Bardzo tęskni za Edwardem i nawet nie wie, czy jeszcze go kiedyś zobaczy. Mama też rozpacza. Całe szczęście, że ciotka Elizabeth zabrała je do Netherton Hall, żeby mogły uciec od Londynu i plotek.

Widząc ławkę w ustronnym miejscu, William pociągnął Cassandrę w tamtą stronę. Usiedli zwróceni twarzami ku sobie.

- Również Edward bardzo cierpi - zaczął z powagą William. - Przede wszystkim dlatego, że skandal zaszkodził pani siostrze, a on o tym wie. Widzę zresztą, że i pani bardzo się martwi, Cassandro.

- Nie mogę udawać, że jest inaczej. Dobrze, że muszę wykonywać swoją codzienną pracę, ale i tu mam kłopoty. Od pewnego czasu brakuje nam pieniędzy, a skandal całkowicie odciął nas od funduszy. Zamknięcie zakładu jest tylko kwestią czasu.

- Bardzo mi przykro. Rozumiem powagę sytuacji.

- Świat jest bezlitosny - powiedziała, kręcąc głową. - Tyle dzieci nie ma dachu nad głową. Z przerażeniem myślę o tych wszystkich norach niegodnych człowieka, w których muszą walczyć o życie. To naprawdę cud, że niektóre z tych dzieci dorastają. Staram się nie podchodzić do tego emocjonalnie, ale trudno jest patrzeć w oczy głodujących, których inni nie raczą zauważyć. Mama przestrzega, żebym nie okazywała zbyt gwałtownych uczuć, ale to niemożliwe.

- Pani jest bardzo wrażliwa, Cassandro. Któregoś dnia założy pani własny sierociniec i będzie mogła dać w nim schronienie tylu dzieciom, ile uda się pomieścić.

- To tylko marzenie - odparła, kręcąc głową. - Przepraszam, za dużo mówię. Często spotykają mnie krytyki za nadmierną otwartość.

- Kto panią krytykuje?

- Mama i ciotka Elizabeth, ale ja nie mogę inaczej, jeśli coś mnie porusza.

William przysunął się i ujął dłonie Cassandry. Ucieszył się, że ich nie cofnęła.

- Powiem pani, jak ja widzę tę sprawę. Co absolutnie najgorszego może się zdarzyć? Czego pani najbardziej się obawia?

- Że nie uda się uratować reputacji Emmy i to zrujnuje jej przyszłość. I jeszcze tego, że trzeba będzie zamknąć ochronkę, a dzieci nie będą miały dokąd pójść.

William się uśmiechnął. To było podobne do Cassandry: myśleć przede wszystkim o innych, a nie o sobie.

- Dlaczego pan się uśmiecha? - spytała.

- Dla mnie jako żołnierza nie ma niczego gorszego niż śmierć. Mniejsza o to, spójrzmy od drugiej strony. Co najlepszego może się zdarzyć? Czego pani pragnie najbardziej?

- Naturalnie pomyślnego rozwiązania tych dwóch spraw, o których rozmawialiśmy przed chwilą.

- Widzę taką możliwość. Cassandra wydawała się zaskoczona.

- Jak mam w to uwierzyć? Próbuje mnie pan pocieszyć.

- Mam propozycję, która może zainteresować panią i jej matkę, a przede wszystkim Emmę.

- A mianowicie?

- Edward i Emma mogliby się pobrać.

Cassandra osłupiała.

- Pobrać się? - Tego się nie spodziewała.

- Mogę powiedzieć z ostrożnym optymizmem, że to powinno przynieść pożądaną skutek. Gdyby było inaczej, nie wystąpiłbym z taką propozycją. Moim zdaniem nie istnieje skuteczniejszy sposób na przełamanie oporu towarzystwa. Wprawdzie nie miałem jeszcze czasu zastanowić się nad szczegółami, ale skoro znaleźliśmy się w centrum skandalu, to nie ma powodu, żeby Emma nie mogła zostać wprowadzona do towarzystwa jako mężatka. Ta ostatnia historia może wtedy nawet pomóc, bo wszyscy będą chcieli zaprosić osławionych nowożeńców na przyjęcia i bale.

To był zupełnie inny William Lampard niż ten, którego Cassandra знаła. Jego wyrozumiałość, spokój i swoboda działały kojąco na jej udrczony umysł. Dlaczego jednak to robił? Czyżby wciąż miał nadzieję na wygraną zakładu z sir Charlesem Grishamem? Cóż, nie zamierzała ulec pięknym słówkom uwodziciela, ale była gotowa przyjąć każdą rozsądną propozycję, pozwalającą wydostać się z tarapatów. Ostrożnie wysunęła dłonie z jego uścisku.

- Dlaczego pan to robi? Jeszcze niedawno za wszelką cenę chciał pan zapobiec temu małżeństwu.

- Nie miało to nic wspólnego z pani siostrą. Dawno zaplanowałem dla Edwarda karierę w wojsku i właśnie teraz powinien wstąpić do akademii, żeniaczkę uważałem więc za wykluczoną. Jako żołnierz wkrótce zostałby wysłany za granicę, a co to za życie dla młodej żony samotnie czekać na powrót męża?

- Przecież właśnie tak będzie, jeśli ślub dojdzie do skutku.

- Nad tym młodzi będą musieli się zastanowić. Wiele panien zawiera małżeństwo w wieku osiemnastu lat. Nie ma w tym niczego niezwykłego. Edward i Emma są młodzi, ale zakochani, więc jeśli ich miłość przetrwa, będą szczęśliwsi niż te wszystkie pary, które wyswatano jedynie z myślą o pomnożeniu rodzinnych fortun.

- Nie sądziłam, że pan jest takim romantykiem, lordzie Lampard! - Cassandra się uśmiechnęła.

Odpowiedział jej szelmowskim błyskiem w oku.

- Och, mam takie chwile, ale byłbym zobowiązany, gdyby zachowała to pani dla siebie. W przeciwnym razie moja męska duma zostanie nieodwracalnie zraniona. Stracę też reputację jednego z najbardziej bezwzględnych uwodzicieli.

- Przyznaje pan, że zasługuje na swoją złą sławę.

- Nikt nie jest doskonały, panno Greenwood.

- Ma pan rację. Czy rozmawiał pan o swoim pomysle z Edwardem?

- Nie. Na razie nie mówiłem o tym nikomu. Jeśli Emma i Edward zdecydują, że nadal chcą się pobrać, to lady Monkton zamiast organizacją debiutu będzie mogła zająć się organizacją ślubu. Naturalnie musi się na to zgodzić pani matka.

- Wydaje mi się, że ona przyjmie z ulgą polubowne rozwiązanie sprawy. Emmy nie trzeba będzie namawiać. Ciotkę Elizabeth też ucieszy taki wynik.

- Napiszę list do mojej babki, hrabiny wdowy Carlow, i poproszę ją o przyjazd do Londynu. To jest dama, z którą wszyscy bardzo się liczą.

- Uważa pan to za konieczne?

- Absolutnie. Im więcej dział wytoczymy w tej kampanii, tym mamy większe szanse powodzenia. Towarzystwo wkrótce zmieni poglądy, kiedy przekona się, że nie jedna, lecz dwie powszechnie szanowane damy protegują Emmę.

- Czy pańska babka mieszka w Carlow? Skinął głową.

- Proponowałem, żeby wprowadziła się z powrotem do Carlow Parku, bo przecież w tym domu spędziła wiele szczęśliwych lat z moim dziadkiem, a tam jest naprawdę mnóstwo miejsca, ale nie chciała o tym słyszeć. Ma swój dom na terenie posiadłości, damę do towarzystwa, gospodynię i służbę i jest zadowolona, że tam mieszka. Uważa, że nie powinna wchodzić w drogę następnym pokoleniom Lampardów.

- Wydaje się osobą o zdecydowanych poglądach.

- Taka jest. Nieczęsto przyjeżdża do Londynu, ale zrobi to, jeśli ją poproszę. W swoim czasie należała do najlepiej znanych dam w towarzystwie, a w gazetach pisano o niej nieustannie. Zawsze była ekscentryczką, miała buntowniczą naturę. Lubiła to, co niekonwencjonalne, balansowała na granicy przyzwoitości i zaskakiwała zarówno swoich zwolenników, jak i krytyków. Jeszcze kilka lat temu uwielbiała narzucać towarzystwu swoją wolę. W jej obecności nikt nie odważy się powiedzieć o Emmie złego słowa.

- Ojej, teraz wydaje się wręcz groźna.

- To też prawda, ale zdaje mi się, że całkiem dobrze będziecie umiały się porozumieć - zauważył ze znaczącym uśmiechem William.

- Pan naprawdę wszystko dokładnie obmyślił?

- Powinna mieć pani więcej zaufania do moich talentów strategicznych. Skoro nie możemy powstrzymać plotek, to zmienmy ich kierunek. Pokażę pani, jak łatwo manipulować towarzystwem, a dla uhonorowania tradycji Lampardów ślub odbędzie się z wielkim rozmachem. Zaprosimy wszystkich możliwych krewnych, przyjaciół i znajomych obu stron.

- Emma uwielbia wielkie widowiska i z przyjemnością znajdzie się w centrum uwagi, więc na pewno na to przystanie. Czy może przypadkiem pomyślał pan już też o śniadaniu dla gości?

- Miejsce wybiorą pani matka z lady Monkton. Może to być Monkton House albo mój dom przy Grosvenor Square. I tu i tam zmieszczą się tłumy.

- Ślubu na taką skalę nie można planować w pośpiechu. Ile przygotowań nas czeka! Trzeba uszyć suknie, napisać i wysłać zaproszenia, poczekać na odpowiedzi... To wszystko zajmie miesiące.

- Tygodnie - poprawił ją stanowczo William. - Musimy zdążyć przed zakończeniem sezonu, zanim wszyscy rozjadą się na lato do wiejskich rezydencji. Oddam paniom do dyspozycji całą moją służbę, zresztą lady Monkton z pewnością nie będzie tracić czasu, gdy w grę wchodzi ślub jej kuzynki.

- Na pewno podejście do tego zadania z wielkim zapałem ale... czy ludzie nie zaczną plotkować o powodach takiego pośpiechu? Pan wie... - Ogarnęło ją zakłopotanie.

- Rozumiem, co pani ma na myśli - przyznał William. Ja też się nad tym zastanawiałem. Gdyby jednak Emma była brzemienna, to wątpię, czy któreś z młodych życzyłyby sobie okazałego ślubu. Staraliby się raczej skryć przed ludźmi i wybrałyby cichą ceremonię. W każdym razie nawet jeśli ktoś ma swoje podejrzenia, czas pokaże, że są błędne.

- Ma pan rację. - Cassandra wstała z ławki. Chętnie zostałaby jeszcze w parku, ale obowiązki wzywały. - Muszę wracać. A właśnie, jak się miewa Archie? Zadomowił się?

- Tak. Polubił konie. Poza tym został ulubieńcem kucharki, która twierdzi, że sterczą mu żebra i musi go podtuczyć. Zresztą już przybrał na wadze. Aż trudno uwierzyć, że to ten sam chłopiec, którego widziałem w bandażach.

- Cieszę się. On zasługuje na to, by życie dało mu szansę, i dziękuję panu, że mu to umożliwił.

William pomógł Cassandrze wsiąść do powozu.

- Dobrze pani zrobił mały spacer - powiedział, widząc jej lekko zaróżowione policzki, gdy zajął miejsce naprzeciwko.

- Lepiej się poczułam.

- To świetnie. Ostatnim razem - zaczął, poważniejąc - powiedziała pani, że nie chce mnie więcej widzieć... czy coś podobnego. Jeśli Edward i Emma zdecydują się na ślub, to zapewne będziemy się często spotykać.

Cassandra zobaczyła dziś Williama w całkiem nowym świetle, wiedziała też, że zajął trwałe miejsce w jej sercu. Tamtego zakładu nie mogła mu jednak wybaczyć.

- Mogę pogodzić się z taką koniecznością. Zaryzykuję, choć perspektywa ta budzi obawy. Kiedy zamierza pan porozmawiać z moją mamą?

- A kiedy wróci do Londynu?

- To zależy od Emmy. Może za tydzień, może później.

- Wobec tego powinniśmy pojechać do Guildford. Im szybciej wprawimy machinę w ruch, tym lepiej. Zacznę od rozmowy z Edwardem. Jutro wybiorę się w tym celu do Woolwich, a jeśli pani jest gotowa, to pojutrze możemy jechać do Surrey.

Edward odniósł się z wielkim entuzjazmem do pomysłu małżeństwa z Emmą i nazajutrz William z Cassandrą wyruszyli do Guildford. Było ciepło, pogodnie, lekki wiatr pędził po niebie kłębiaste chmury.

William jak zwykle uosabiał niewymuszoną elegancję, która niezmiennie robiła na jego towarzysze duże wrażenie. Promieniejąca od niego siła budziła poważny niepokój Cassandry.

- Przyjemny dzień na taką podróż - stwierdził po pewnym czasie. - Mam nadzieję, że lady Monkton nie będzie niezadowolona z naszego niezapowiedzianego przybycia.

- W najlepszym razie okaże zaskoczenie, kiedy przyjedziemy razem. Bez wątpienia surowo mnie skarci za brak poszanowania etykiety i podróżowanie sam na sam z dżentelmenem. W każdym razie chciałam panu podziękować za wszystko, co robi dla Emmy.

- W zasadzie nie robię tego dla niej.

Cassandra zauważyła znaczący błysk w jego oczach.

- Jaki więc cel panu przyświeca? - spytała ostrożnie.

- Naturalnie chcę lepiej panią poznać.

- Zna mnie pan dostatecznie dobrze, lordzie Lampard - odparła zdecydowanie. - Czy musi pan tak bacznie mi się przyglądać?

- Lubię na panią patrzeć. A pani jest uparta, panno Greenwood.

- Owszem, jestem.

- I piękna. Dziś rano wprost pani promienieje. Ładnie pani w tej sukni, nazwałbym ją pawią.

- Dziękuję. Każda kobieta lubi porównania do ptaka - stwierdziła oschle.

- To miał być komplement.

- Tym właśnie jestem zmartwiona.

- Pani wie, jak bardzo mnie kusi - powiedział, spoglądając na nią z wyraźnym uznaniem.

Cassandra odwróciła wzrok. Żaden mężczyzna przed Williamem tak na nią nie działał. Nie mogła zrozumieć, co jest tego powodem. Może chodziło o wspomnienie ich namiętych pocałunków? Na wszelki wypadek zajęła się obserwowaniem mijanych krajobrazów.

- Czy był pan kiedyś zakochany? - spytała nagle.

- Zdawało mi się tak kilka razy. Jednak doszedłem do wniosku, że w każdym przypadku się myliłem.

- Proszę potraktować to pytanie poważnie. Albo pan był zakochany, albo nie. To całkiem proste.

- Nic nie jest całkiem proste. Kiedyś znałem kobietę w Hiszpanii, teraz rozumiem jednak, że to było jedynie zauroczenie. Wdowa z czarnymi jak smoła włosami i bardzo ciemnymi oczami. Wiele mnie nauczyła... ale to było dawno i lepiej o tym zapomnieć.

- Czy była ładna?

- Piękna - przyznał. - Krągła wszędzie tam, gdzie trzeba, dwadzieścia pięć lat, dużo doświadczenia...

Cassandra się zarumieniła.

- Nie musi pan dalej opowiadać.

- Sama pani spytała - zauważył.

- Już tego żałuję.

William westchnął i wcisnął się do kąta.

- Dlaczego znieubiła mnie pani ostatnio, Cassandro? - spytał. - Chciałbym znać powód.

- Nie chcę pana zachęcać, bo to stanowiłoby dla mnie jawne lekceważenie niełatwo osiągniętego statusu kobiety niezależnej. Nic się nie zmieniło od dnia, gdy przyprowadziłam do pana Archiego.

- Pani zdaje się znajdować wyjątkową przyjemność w przypominaniu tego faktu. Czy wie pani, o czym między innymi plotkuje towarzystwo w Londynie? Podobno chcę panią dostać w swoje szpony - powiedział, śledząc ją wzrokiem spod na wpół przymkniętych powiek.

- Nie wiedziałam, że zwykła znajomość może wywołać takie spekulacje.

- Ludzie gadają.

- Nie ma w tym niczego dziwnego, inaczej nie mogliby się porozumieć - odparła, usiłując ukryć zmieszanie.

- Gadają o nas.

- Co konkretnie?

- Że zostanie pani moją kochanką... jeśli jeszcze nią nie została.

- Coś podobnego! - oburzyła się Cassandra. - Panu to nie przeszkadza, bo to nie jego reputacja jest zagrożona. Nikogo nie obejdziesz, nawet gdyby posiadał pan wszystkie kobiety w Londynie. Ja to co innego. Jeśli ludzie uznają, że pan mnie uwiódł, koniec ze mną.

- Nagle zaczęła pani zwracać uwagę na to, co mówią inni?

- W tym przypadku tak.

- Gdyby chodziło o innego mężczyznę, nie miałyby to dla pani znaczenia?

- To możliwe.

- Może więc ulży pani, jeśli powiem, że są w towarzystwie osoby, które wysoko cenią jej zdrowy rozsądek i uważają, że nie wpadnie pani w moje sidła.

- Miło mi to słyszeć. Czyżby pan sądził, że nie mam teraz nad czym się zastanawiać?

- Okoliczności naszego wspólnego wyjazdu z Londynu, aby zatrzymać uciekinierów, zanim dotrą do Gretna Green, uznano za kompromitujące. To zresztą moja wina.

Wiedziałem, jakie obowiązują reguły gry, i świadomie je złamałem, kiedy pozwoliłem, aby pani mi towarzyszyła, a potem przyjąłem pod swój dach dwie młode damy bez przyzwoitki. - Uśmiechnął się diabolicznie. - Proszę sobie wyobrazić, że możemy znaleźć się w takiej samej sytuacji jak Emma i Edward.

- Mam tego świadomość, traktuję to jednak jak zły sen. To się nie zdarzy i już.

Cassandra nie zdawała sobie sprawy z tego, jak w tej chwili wygląda. Oczy jej lśniły, a kostium podróżny wyraźnie opinał się na pełnych piersiach. Nic dziwnego, że William sycił się jej widokiem z wyjątkowym zadowoleniem i podziwem. Żywił nadzieję, że wkrótce wrócą do stosunków, jakie łączyły ich w Carlow Parku. Cassandra wyjrzała przez okno i wyraziła żal, że William nie zdecydował się na podróż odkrytym powozem.

- Ma pani rację, rzecz jasna, ale są powody do zachowania ostrożności - wyjaśnił. - To może być dla mnie kwestia życia lub śmierci.

- Dowiedział się pan czegoś o człowieku, który do pana strzelał?

- Owszem. Strzelał już dwa razy.

- Jak to? Chce pan powiedzieć, że spróbował ponownie?

- Tak, kiedy wracałem do Carlow Parku po odwiezieniu Edwarda do Woolwich.
- Nie wspomniał pan o tym ani słowem.
- Nie było potrzeby.

Teraz jednak opowiedział całe zajście, a na twarzy Cassandry malowała się coraz większa trwoga.

- Od czasu pierwszego zamachu nie jeżdżę samopas i często oglądam się za siebie. Zatrudniłem też detektywa, niejakiego pana Jardine'a. Liczę na to, że uda mu się zdobyć potrzebne informacje, zanim tamten człowiek zdoła mnie zabić.

- Czy nie byłby pan bezpieczniejszy w Carlow Parku? Na wsi widok każdego obcego budzi zainteresowanie.

- Zapomina pani, że przez ostatnie lata bywałem zupełnie gdzie indziej. Dla mnie prawie każdy jest tam obcy. Poza tym za drugim razem atak nastąpił właśnie na wsi. Bardzo chciałbym poznać powód, dla którego ktoś pragnie mojej śmierci.

Cassandrę przeszył dreszcz trwogi.

- Zazdrość, nienawiść, chciwość... Może ktoś z wojska... Ktoś szukający zemsty... - zaczęła wymieniać.

- Myślałem o tym nieraz. Miewałem w przeszłości wrogów, ale nie wydaje mi się, żeby którykolwiek z nich dybał na moje życie.

- Wobec tego jedynym powodem, jaki przychodzi mi do głowy, jest osobista korzyść. Powiedział mi pan, że następnym w kolejce do dziedziczenia jest pański kuzyn Mark.

- Tak.

- Wiem, jak pan zareaguje, skoro to pański kuzyn, a w dodatku utrzymujecie bliskie stosunki, ale... - Zawahała się, w końcu jednak znalazła niezbędną odwagę. - Czy myślał pan o tym, że to może być Mark? On ma wiele do zyskania.

- Nawet nie przyszło mi to do głowy. Czy pani tak uważa, Cassandro?

- Nie wiem, ale brałabym pod uwagę taką ewentualność.

- Nikt, kto zna Marka, nie powziąłby podobnego przypuszczenia.

- Może go pan nie zna dostatecznie?

- Wydaje mi się, że jednak tak - odparł gniewnie. - Niech pani mi wierzy, to nie Mark.

- W każdym razie moim zdaniem powinien pan mimo wszystko mieć go na oku.

Cassandra spotkała Marka tylko przelotnie, ale odniosła zupełnie jednoznaczne wrażenie, że temu człowiekowi ufać nie należy. William wolał nie ciągnąć tego wątku, więc przez kilka minut siedział w milczeniu. Mimowolnie zaczął rozcierać lewe ramię, co nie uszło uwagi Cassandry.

- Dokucza panu to ramię? Pokręcił głową.

- Trochę, ale nie warto o tym mówić.

Sielska atmosfera podróży uległa zakłóceniu, gdy z traktu londyńskiego skręcili na wąską wiejską drogę. Cassandra spojrzała ku zalesionemu wzgórzu, wyrastającemu za polami. W miejscu, gdzie drzewa się rozstępowały, ujrzała na horyzoncie jeźdźca. Coś błysnęło, jakby nieznajomy obserwował ich przez lunetę. Raptownie odwróciła się do Williama. Z jego twarzy wyczytała, że i on zauważył obcego.

- Wydaje mi się, że ten jeździec nas obserwuje - powiedziała.
- Niestety, jest za daleko, żebyśmy mogli go rozpoznać.
- Sądzi pan, że to on próbuje go zabić?
- Wkrótce się przekonamy. Jeśli tak, to jest piekielnie uparty. Najwidoczniej jechał za nami.

William polecił woźnicy Boultingowi przyspieszyć. Jeździec znikł wśród drzew, a ponieważ powóz toczył się znacznie szybciej, należało się spodziewać rychłego spotkania. Drzewa po obu stronach drogi rosły gęsto i niewiele było widać. Tymczasem powóz zbliżył się do ostrego zakrętu. Pudłem rzuciło na bok, a koła wpadły w ukrytą w trawie koleinę. Boulting ściągnął koniom wodze, lecz na niewiele się to zdało. W nazbyt obciążonym kole trzasnęły szprychy.

Cassandra jakimś cudem utrzymała się na siedzeniu. Bliska paniki z całych sił starała się wziąć w garść. William przekonawszy się, że jest cała i zdrowa, wyskoczył na drogę i dołączył do woźnicy, który stał przy połamanym kole i przyglądał mu się z dużą niechęcią.

- Co robić, milordzie? - spytał, drapiąc się po głowie, a przy okazji zrzucając z głowy kapelusz, który potoczył się po ziemi.

William wyteżył słuch i nieufnie rozejrzał się dookoła. Powóz stał przechylony na bok, zaniepokojone konie ledwie mogły ustać w miejscu, a on wyraźnie słyszał zbliżający się tętent. Tyle że nie sposób było niczego zobaczyć. Wyciągnął pistolet i ukrył się za powozem.

- Cassandro, niech pani nie wysiada i najlepiej położy się na podłodze. Ty też kryj się, Boulting. Będziemy mieli gości.

Odgłos kopyt rozbrzmiewał znacznie bliżej. William odwiódł kurek i czekał. Boulting, w pewnym oddaleniu, powtórzył jego czynność. Postanowił jednak sięgnąć po kapelusz. Właśnie wtedy padł strzał. Czarne ptaki zerwały się z wrzaskiem z drzew. Woźnica krzyknął i upadł na plecy, przyciskając ręce do głowy. William podczołgał się do rannego, a tymczasem Cassandra z trzaskiem otworzyła drzwi powozu i zeskoczyła na ziemię.

- Williamie!
- Nic mi się nie stało - uspokoił ją. - Niestety, Boulting jest ranny. - Spojrzał jej w oczy. - Oboje wiemy, że ta kula była przeznaczona dla mnie.

Szybko odciągnął woźnicę w bezpieczne miejsce i kazał Cassandrze ponownie się ukryć. Nie dając jej czasu na dyskusję, skoczył między drzewa i znikł.

Cassandra spojrzała na woźnicę. Wiedziała, że nie wolno jej wpaść w panikę. Mężczyzna leżał nieprzytomny, ale na szczęście żył. Przyklękła obok niego. Mocno krwawił, co przy ranach głowy, jak wiedziała, było typowe. Oderwała kawałek halki, zrobiła z niej prowizoryczny opatrunek i przycisnęła tampon do rany, żeby spowolnić upływ krwi. Resztą paska obandażowała mu głowę. Pozostało jej czekać na powrót Williama.

William przedzierał się przez las, starając się robić to jak najciszej, a do tego się nie zaplatać w kolczastych zaroślach. W powietrzu unosił się żywiczny aromat. Pnie drzew stanowiły względnie bezpieczną osłonę. Bacznie wypatrywał jakiegoś ruchu, który mógłby zdradzić napastnika. I rzeczywiście się doczekał. Ubrany na ciemno mężczyzna siedział tyłem do niego na gniadym koniu.

- Szukasz mnie? - spytał William. - Tylko podli tchórze strzelają w plecy.

Mężczyzna odwrócił się raptownie, ale nie zdążył wycelować pistoletu. To William strzelił, a jeździec zacharczał i runął na ziemię. Spłoszony koń popędził prosto przed siebie. Tymczasem William podszedł i obrócił stopą ciało. Niestety, jeździec nie żył. Twarz muskularnego mężczyzny w średnim wieku wydała się Williamowi zupełnie obca.

Cassandra wpatrywała się z napięciem w zarośla. Usłyszała strzał i serce podeszło jej do gardła. Gdy zorientowała się, że ktoś wychodzi z lasu, włosy na karku stanęły jej dęba. Wstrzymała oddech. Doznała ogromnej ulgi, widząc znajomą postać.

- Williamie?

Szybko pokonał dzielącą ich odległość.

- Już po wszystkim - powiedział uspokajająco.

- Co się stało?

- Ten człowiek nie żyje. Wolałbym, żeby było inaczej, bo mógłbym zapytać go o to i owo, ale nie miałem wyboru.

- Nie żyje? - powtórzyła cicho. - Poznał go pan?

- Nie, lecz to mnie nie dziwi. Bez wątpienia ktoś go wynajął, żeby mnie zabił. Jeszcze się dowiem, czyj to pomysł.

- Co zrobimy z ciałem? Nie można zostawić go w lesie.

- Nawet nie zamierzam. Pojadę do Guildford i opiszę sytuację sędziemu. Najpierw musimy znaleźć lekarza dla Boultinga, żeby nie wykrwawił się na śmierć. Jak daleko może być do Netherton Hall?

- Sądzę, że około dwóch mil.

- Wyprzęgnę konie. Pojedzie pani po pomoc. Cassandra pokręciła głową.

- Nie umiem jeździć konno - wyznała. - W odróżnieniu od Emmy nigdy nie lubiłam koni. W życiu nie siedziałam w siodle.

William słuchał tego z niedowierzaniem.

- Do diaska! Myślałem, że pani potrafi wszystko. Nie mogę zostawić tu pani samej z Boultingiem.

- Nie ma potrzeby - powiedziała Cassandra, z ulgą spoglądając na drogę. - Chyba ktoś nadjeżdża.

Ich oczom ukazał się odkryty powóz z woźnicą i jednym pasażerem. Ponieważ droga była zablokowana, woźnica zatrzymał pojazd. Mężczyzna wysiadł i podszedł do Williama, który tymczasem zdołał uspokoić konie. William przedstawił się i krótko opisał ich wypadek, tłumacząc, że Boulting na zakręcie spadł z kozła. O strzelaninie wolał nie wspominać.

- Dokąd pan jedzie? - spytał mężczyzna, który przedstawił się jako Loftus, kupiec z Guildford.

- Do Netherton Hall. Zna pan to miejsce?

Pan Loftus uśmiechnął się szeroko i skinął głową.

- O tak. Mam zaszczyt znać lady Monkton. To bardzo elegancka dama. Niezwłocznie pana tam zawiozę.

- Będę bardzo wdzięczny.

Razem zdołali podźwignąć z ziemi półprzytomnego Boultinga i wtaszczyć go do powozu. William zwrócił się do Cassandry:

- Niech pani pojedzie z panem Loftusem. Ja zostanę z końmi. Proszę mi przysłać pomoc z Netherton Hall.

- Ale co z...?

Uciszył ją palcem przyłożonym do warg.

- O tym porozmawiamy później. Proszę niech pani się nie martwi - powiedział i dodał szeptem: - Ten człowiek nie żyje, więc na pewno nie wróci.

- Niech pan trzyma pod ręką broń - odszepnęła. William uśmiechnął się do niej ciepło.

- Czyżby próbowała mnie pani chronić, panno Greenwood?

- Od czasu do czasu chyba potrzebuje pan ochrony. Proszę na siebie uważać.

Uspokojona Cassandra wsiadła do powozu pana Loftusa.

Rozdział ósmy

Niespodziewany przyjazd Cassandry do Netherton Hall i sposób, w jaki do niego doszło, wywołały wielkie zamieszanie. Służba zaczęła krzątać się ze zdwojoną energią. Ciotka Elizabeth i Harriet wyszły z salonu, żeby sprawdzić, co się stało. Ujrzawszy dziwnie wyglądającą Cassandrze, stojącą pośrodku sieni i wydającą polecenia, niemal osłupiały.

Boultinga zaniesiono do kwater służby, posłano po doktora, a dwóch lokajów pojechało pomóc lordowi Lampardowi i naprawić połamane koło. Pan Loftus, zadowolony, że mógł się przydać, ruszył dalej w drogę, złożony wyrazy uszanowania lady Monkton. Dopiero gdy Cassandra znalazła się w salonie, ciotka Elizabeth zażądała obszernych wyjaśnień.

- Wypadek, mówisz? - powiedziała zatroskana Harriet. - Czy nie przesłyszałam się, że wspomniałaś o lordzie Lampardzie?

- Lord Lampard musiał zostać przy uszkodzonym powozie i koniach. - Cassandra uznała, że lepiej będzie, jeśli to William opowie o strzelaninie.

- Muszę zauważyć, że to wszystko jest w najwyższym stopniu niezgodne z etykietą. Tak długo jechałaś wyłącznie z lordem Lampardem, a w dodatku nie poinformowałaś nas o swoich zamiarach.

- Wiem, mamu, i bardzo przepraszam, ale nie było innego sposobu. Lord Lampard musi z wami porozmawiać w sprawie niecierpiącej zwłoki.

- Tylko spójrz, jak wyglądasz! - wykrzyknęła zgorzona ciotka Elizabeth. - Wielkie nieba, czy to krew na twojej spódnicy? A halka? Cała w strzępach.

Cassandra popatrzyła na swoje odzienie, które istotnie było w żalonym stanie. Spod sukni wystawał rąbek podartej halki.

- Wiem, że nie prezentuję się najlepiej, ale biedny Boulting bardzo krwawił. Musiałam opatrzyć mu ranę.

- Bardzo mnie to dziwi. Nie mogę się doczekać, aż usłyszę, co masz nam do powiedzenia.

- Jak się czuje Emma? - spytała Cassandra, zwracając się do matki, siedzącej obok niej na sofie.

- Lepiej, odkąd znalazła się z dala od Londynu i plotek, ale jest załamana. Większość czasu spędza w swoim pokoju. - Zafrasowana Harriet ujęła córkę za rękę. - Wydajesz się bardzo zmęczona. Za ciężko pracujesz. Powinnaś przekazać część obowiązków Agacie, zwłaszcza gdy jestem poza Londynem. Czy nic ci się nie stało, kiedy pękło koło?

- Nie, jestem cała i zdrowa - zapewniła Cassandra.

Mimo woli raz po raz zerknęła ku oknu z widokiem na podjazd, wyczekiwała bowiem przybycia Williama. Tymczasem musiała odpowiedzieć na dziesiątki pytań. Starła się mówić jasno i rzeczowo, choć myślami była zupełnie gdzie indziej.

Rozważała różne okoliczności realizacji planu Williama. Mogła zostać w Surrey i wrócić do Londynu za kilka dni razem z rodziną. Ochronka była w dobrych rękach. Jeśli Emma zgodzi się poślubić Edwarda, to trochę odpoczynku naprawdę się przyda, bo gdy wrócą do Londynu, rozpoczną się gorączkowe przygotowania do ślubu.

Lord Lampard i doktor Shaw przyjechali prawie jednocześnie i obaj poszli prosto do Boultinga. William uświadomił sobie, że ostatnio potrzebuje pomocy lekarzy stanowczo zbyt często. Miał nadzieję, że to już koniec tej niefortunnej serii. Po odjeździe doktora William pojawił się w salonie i podszedł prosto do lady Monkton. Cassandra ukradkiem przyglądała się jego posągowemu profilowi.

- To dla mnie prawdziwa przyjemność znów panią zobaczyć, lady Monkton, i panią również, pani Greenwood - powitał je oficjalnie. - Bardzo przepraszam, że zakłócam spokój, i pojawiam się bez zapowiedzi, ale chciałem porozmawiać o sprawie najwyższej wagi. Panna Greenwood z pewnością już powiedziała, że niedaleko stąd mieliśmy wypadek na drodze.

- Dzięki Bogu, że wam nic się nie stało. Proszę, niech pan usiądzie, lordzie Lampard. Cassandro, zadzwoń na służbę, niech podadzą herbatę. Mam nadzieję, że rana pańskiego służącego Boultinga nie jest poważna.

- Nie tak bardzo, jak się obawiałem na początku - potwierdził William, siadając na krześle obok Cassandry. - Powinna pani jednak wiedzieć, lady Monkton, że mój woźnica został postrzelony.

William krótko przedstawił zajście, a lady Monkton i Harriet Greenwood słuchały tego przerażone. Trwoga ogarnęła zwłaszcza Harriet, która myślała tylko o tym, w jakim niebezpieczeństwie znalazła się jej córka.

- I mówi pan, że napastnik nie żyje?

- Tak, chociaż wolałbym móc go przesłuchać. Niestety, nic o nim nie wiadomo i nie sposób go zidentyfikować.

- To bez wątplenia jakiś rabuś, który napadał ludzi na drogach.

- Doszliśmy do podobnego wniosku. - William przesłał ostrzegawcze spojrzenie Cassandrze, żeby przypadkiem nie ujawniła więcej, niż należało. - Jeśli można będzie pożyczyć konia, to pojedę teraz do Guildford powiadomić o wszystkim władze. Muszę wyjaśnić to całe zamieszanie.

Kiedy William wrócił do Netherton Hall, wprowadzono go do salonu, gdzie damy zgromadziły się przed kolacją. Jedyne Emma pozostała w swoim pokoju.

- Rozmawiał pan z sędzią? - spytała Cassandra. Skinął głową i wziął od lady Monkton kieliszek brandy.

- Wszystko załatwione. Jak się czuje Boulting? - zainteresował się i upił duży łyk trunku.

- Spał, kiedy do niego zjrzałam. Rozumiem, że doktor Shaw dał mu coś na sen.

- Sama korzystam z usług doktora Shawa - włączyła się lady Monkton. - Mam do niego pełne zaufanie, więc mogę powiedzieć, że Boulting jest w dobrych rękach.

William zajął to samo krzesło, co poprzednio.

- W to nie wątpię. Rana jest na szczęście powierzchowna, a doktor Shaw uważa, że nie pozostawi trwałych skutków, zalecił jednak, by przez kilka dni nie przenosić rannego.

- Dopilnujemy więc, aby niczego mu nie brakowało, a pan, lordzie Lampard, może naturalnie zostać tak długo, jak tylko chce - powiedziała z uprzejmym uśmiechem lady Monkton.

- Lord Lampard ma obowiązki w Londynie, ciociu - powiedziała spłoszona Cassandra.

- Nie myślę się, prawda? - zwróciła się do Williama.

- Czy na pewno? - spytał wyzywająco.

- Tak. Jestem pewna, że któryś z lokajów może odwiedzić lorda Lamparda do Londynu. Prawda, ciociu?

- To zależy od lorda Lamparda, moja droga.

William spojrzał na Cassandrę prosto w oczy. Spodziewała się, że podziękuje za zaproszenie, ale nic takiego nie nastąpiło. Najwyraźniej nie lubił marnować nadarzających się okazji. Z ledwo zauważalnym uśmiechem igrającym na wargach wolno skinął głową.

- Z troski o Boultinga chętnie zatrzymam się tu na kilka dni, lady Monkton. Bardzo dziękuję za miłe zaproszenie.

- Cieszę się. - Dama promieniała.

- Ale... pański strój... ubrania na zmianę... - bąknęła Cassandra.

- Doświadczenia wojskowe nauczyły mnie, że zawsze należy być przygotowanym na niespodziewane okoliczności.

Cassandra bezsilnie wpatrywała się w Williama, a gdy dostrzegła na jego twarzy wyraz samozadowolenia, z najwyższym trudem powstrzymała się, by nie powiedzieć mu, że nie zamierza tolerować jego obecności w Netherton Hall bez końca.

Rozparłszy się na krześle w aroganckiej pozie, przesłał jej triumfalny uśmiech. Odwzajemniła się, patrząc na niego gniewnie. Jak śmie tak na nią spoglądać w obecności ciotki Elizabeth i matki? Cassandra zauważyła, że podczas jej wzrokowego pojedynku z Williamem matka z ciotką wymieniły znaczące spojrzenia.

- Mam więc nadzieję, że pański pobyt w Netherton Hall będzie udany - powiedziała sztywno. Ta przeciągająca się wizyta stanowiła dla niej niemałe wyzwanie. - Ciotka Elizabeth słynie z gościnności, czy jednak nie znudzi pana towarzystwo samych kobiet?

- Niemożliwe. Na pewno znajdę mnóstwo ciekawych zajęć. Zaczniemy może od lekcji jazdy konnej. Jest pani jedyną znaną mi kobietą, która nie opanowała tej umiejętności.

Cassandrę oburzyła jego Obcesowość.

- Nic z tego. W życiu nie siedziałam na koniu i nie zamierzam tego zmieniać.

- Proszę się nie złościć. Niech pani wykaże się żądzą przygód. Boi się pani?

- Tak... Nie... Nie wiem. - Nie mogła pojąć jego motywów. Ten mężczyzna był nie do zniesienia. Wyraźnie upajał się jej zakłopotaniem. - Odczuwam silną niechęć do koni, gdy podchodzą do mnie zbyt blisko - wyjawiała.

- Pomogę pani ją opanować. Ani się pani obejrzy, jak konie będą jej jadły z ręki. Nauka jazdy może być na początku nieco bolesna, ale zapewniam, że wkrótce zacznie z niej pani czerpać przyjemność. - Przeniósł wzrok na lady Monkton, która słuchała tej wymiany zdań z najwyższym zdumieniem, podobnie zresztą jak Harriet. - Czy znajdzie się u pani odpowiednie zwierzę dla kuzynki, lady Monkton?

- Chyba tak. Mam piękną, łagodną i niedużą klaczkę imieniem Jade. Zaczynała na niej naukę Emma. Dla Cassandry powinna być znakomita.

- To wspaniale. Jutro rano możemy odbyć pierwszą lekcję.

- Zbyt wielu obowiązkom chce pan podołać, lordzie Lampart - zauważyła Cassandra - ale pomyślę nad tą propozycją.

- Córka ma o mnie wyrobioną opinię, pani Greenwood - powiedział ze śmiechem William. - Niestety, dość niepochlebną. Jest też wyjątkowo upartą młodą damą.

- Nie mam o panu żadnej opinii, lordzie Lampard - sprostowała Cassandra, starając się nie zwracać uwagi na zaciekawienie matki, która przenosiła wzrok z niej na Williama i z powrotem.

Harriet istotnie bardzo zainteresowała się tym, co dzieje się między Cassandrą a lordem Lampardem. On spoglądał na nią z wyraźnym zachwytem, co naturalnie skłaniało do pytań. Harriet nie znała w zasadzie tego człowieka, widziała go przedtem tylko raz, gdy złożył wizytę w Londynie, wiedziała jednak, że jest pierwszym dżentelmenem, który wykazuje zainteresowanie jej starszą córką. Jak należało to traktować? Zasadniczo lord Lampard wydał jej się bardzo przyjemny, obawiała się jednak jego złej reputacji.

- Cassandra nie docenia potrzeby zachowania odpowiednich form, lordzie Lampard - odezwała się lady Monkton. - Inaczej na pewno nie przyjechałaby do Nether-ton Hall, mając wyłącznie pana za towarzysza.

- Dlaczego nie? - spytała Cassandra. - Nie przypominam sobie, ciociu, żebyś zgłaszała obiekcje, kiedy pojechaliśmy zatrzymać Emmę.

- To była zupełnie inna sytuacja - stwierdziła z wyrzutem lady Monkton.

- Polegam na twoim zdaniu, ciociu Elizabeth - ustąpiła z uśmiechem Cassandra.

- Może dowiemy się więc, co to za ważna sprawa, z którą zawitał do nas lord Lampard?

- Chciałem zastanowić się razem z panią i panią Greenwood nad najlepszym sposobem zmian niefortunnego położenia, w jakim znaleźli się Edward i Emma. Muszę dodać, że leży mi na sercu ich dobro. Proszę nie sądzić, że wtrącam się do cudzych spraw. Edward jest moim kuzynem, a ponieważ nie ma rodziców, którzy mogliby służyć mu radą, siłą rzeczy musi znajdować wsparcie we mnie. Bardzo zależy mi na znalezieniu wyjścia z obecnej sytuacji, która wydaje mi się nieznośna.

Harriet przesłała mu uśmiech pełen wdzięczności.

- Nie będę udawać, że to są dla mnie łatwe dni, lordzie Lampard. Zrehabilitowanie Emmy w oczach towarzystwa jest bardzo ważne, więc chętnie wysłucham każdej propozycji. Elizabeth i ja nie zastanawiamy się ostatnio nad niczym innym.

- Skoro sprawa dotyczy Emmy, to czy nie chciałaby pani, aby i ona była obecna?

- Nie - odrzekła Harriet. - Najpierw posłuchajmy tego, co pan ma nam do powiedzenia. Moja córka jest całkiem niewinna, padła ofiarą własnej nierozwagi i teraz cierpi. Nie chcę niepotrzebnie powiększać jej bólu.

- Rozumiem.

William odchylił się do tyłu, splótł dłonie i przez chwilę przyglądał się audytorium. Dopiero potem przystąpił do wykładania swojego planu. Słuchano go z uwagą, nie przerywając. Dopiero gdy skończył, Harriet i Elizabeth wymieniły spojrzenia, obie bardzo zaskoczone.

- Co o tym sądzisz, Elizabeth?

Lady Monkton wydawała się bardzo zadowolona i ledwo ukrywała podniecenie.

- Sądzę, że to wspaniały pomysł. Jest śmiały i sprytny, czego więcej trzeba?

Harriet westchnęła.

- Wolałabym, żeby Emma miała okazję poznać więcej kandydatów.

- Edward jest jedynym mężczyzną, którego ona chce. Co zdecydujesz?

- Niech tak będzie. - Harriet skinęła głową. - Poślijmy po Emmę, przekonamy się, co ma do powiedzenia. - Znowu westchnęła. - Szkoda tylko, że nie dysponuję odpowiednią kwotą na piękny ślub, jakiego na pewno bardzo by chciała.

- Ubóstwo nie stanowi przeszkody w odniesieniu sukcesu towarzyskiego, jeśli ktoś równoważy je swoimi zaletami, rozumem albo urodą - zauważyła Elizabeth. - Obie twoje córki mają i jedno, i drugie. Zważ, że nawet książę regent zmienia ustalony porządek rzeczy, kiedy mu tak wygodnie.

- To prawda, tyle że ja nie jestem księciem regentem.

- Nie szkodzi. Emma nie została sama. Nie zapominaj, że stoję za nią murem. Nie pozwolę, aby czyniono jej wstręty w mojej obecności. Nad plotkami nie jestem w stanie zapanować, ale Emmie starczy odwagi, by znieść przykre chwile na początku, jeśli będzie

wiedzieć, że skończy się to dla niej szczęśliwie. Towarzystwo bez wątpienia nie będzie jej oszczędzać, póki nie zostaną ogłoszone zaręczyny.

- Moim zdaniem należy je ogłosić niezwłocznie - wtrącił William.

- Zgadzam się w pełni. Przez całe życie skrupulatnie dbałam o przestrzeganie konwenansów, ale są sytuacje, kiedy trzeba postąpić wbrew regułom. To właśnie jedna z nich, jestem więc gotowa rzucić wyzwanie etykietce. Kiedy wrócimy do Londynu, zaczniemy pokazywać się publicznie, zaczynając od teatru, zakupów i wystaw. Aha, i jeszcze jedno. Postanowiłam przepisać na Emmę pewną sumę, która rozwiąże problem posagu - oznajmiła Elizabeth, niezwykle zadowolona z takiego obrotu spraw.

Harriet, wzruszona tą niespotykaną szczodrością, zaczęła ronić łzy.

- Brak mi słów - powiedziała w końcu. - Nie zasługujemy, Elizabeth, na tyle twojej dobroci.

- Nie pleć. Zapomniałaś, że jesteś moją najmilszą kuzynką, a obu dziewczętom przychyliłabym nieba. Poza tym tego właśnie życzyłby sobie mój kochany zmarły mąż. On też bardzo lubił Cassandrę i Emmę. Mam zresztą obowiązek wam pomagać, bo Cassandra jest moją chrześniaczką. Niezasłużone są przykrości, jakie was ostatnio spotkały, ale dzielnie stawiacie im czoło i to też dobrze o was świadczy.

- Naprawdę jesteś zbyt hojna, Elizabeth - szepnęła Harriet, ujmując ją za rękę.

- Nie roztkliwaj się zanadto. Dobrze wiesz, że jest mi przyjemnie, kiedy mogę pomóc Emmie, więc daj spokój.

William popatrzył na obie damy z niemal nabożnym szacunkiem.

- Rodzice zostawili Edwardowi niemały majątek - oznajmił. - Między innymi w skład spadku wchodzi dom w Richmond, od dnia ich śmierci zamknięty. Młodzi będą mogli tam zamieszkać. To piękna rezydencja w parku. Emmie na pewno się spodoba i na niczym nie będzie jej zbywało. A gdyby chciała być blisko Edwarda w czasie, gdy będzie odbywał szkolenie wojskowe w Woolwich, może wynająć tam sobie dom.

Do pokoju weszła Emma, blada i wymizerowana. Niepewnie popatrzyła na siostrę i lorda Lamparda.

- Po co przyjechałaś, Cassy?

- Właśnie z twojego powodu. - Cassandra ujęła ją za rękę i posadziła na sofie obok siebie i matki. - Posłuchaj, proszę, co ma do powiedzenia lord Lampard.

Emma usiadła nieruchomo, zaciskając dłonie na kolanach. Cassandra bardzo jej współczuła, była jednak przekonana, że już za chwilę odzyska swą dawną siostrę. Okazało się jednak, że Emmie trudno jest uwierzyć w to, co słyszy.

- Ma pani szansę spełnić swoje marzenie. Co pani powie na moją propozycję? - spytał łagodnie William.

Emma uśmiechnęła się do niego pięknie i to właściwie wystarczyło za odpowiedź.

- A co na to Edward? - spytała. - Czy pan z nim rozmawiał?

William skinął głową.

- On chce tego małżeństwa. - Wyjął z wewnętrznej kieszeni surduta list i podał go Emmie. - Proszę, wszystko tutaj napisał.

Emma popatrzyła na kartkę tak, jakby właśnie dostała najcenniejszy prezent w życiu. Przeprosiła wszystkich i opuściła pokój, aby w samotności przeczytać list ukochanego.

William rozpoczął konwersację z Harriet Greenwood, a Cassandra bacznie mu się przyglądała. Wyglądał jak zwykle pociągająco, nie mogła jednak przestać zastanawiać się nad tym, co stoi za jego dążeniem do połączenia Edwarda i Emmy. Nie była też zdecydowana, jak właściwie odnosić się do tego człowieka, którego nie potrafi usunąć ze swego życia.

Naturalnie była mu bardzo wdzięczna za to, co robił dla Emmy, ale w głębi duszy wciąż słyszała głos, który podpowiadał jej, że William przede wszystkim chce podtrzymać ich znajomość, bo przecież koniec sezonu nieuchronnie się zbliża, a on jeszcze nie wygrał zakładu. Najgorsze było zaś to, że trzymał wszystkie karty w ręku. Nie mogła odmówić mu współpracy, póki Emma i Edward nie zostaną małżeństwem. Nie była też pewna, czy któregoś dnia nie zażąda od niej spłacenia długu wdzięczności.

Po kolacji damy udały się do salonu omówić szczegóły ślubu Emmy. Cassandra szybko jednak wstała i wyslizgnęła się na kamienny taras. Wieczór czarował wonią róż i kapryfolium. Na zachodzie było widać ginące słońce na tle zawilego wzoru z wszystkich odcieni szkarłatu, żółci i pomarańczy.

Zeszła do ogrodu, wzdychając na myśl, że to idealny czas dla kochanków, wnet jednak jej uwagę zaprzętnęły poważniejsze sprawy. Zastanawiała się nad losem podopiecznych. Bardzo się bała, że nie będą mieli gdzie się schronić, aby nie przebywać na brudnych ulicach i podwórkach w rejonach biedy, takich jak St. Giles.

Wolno szła alejkami, mijając pergole obrosnięte różami, wdychając zmysłowy aromat tych kwiatów i głaszcząc miękkie jak aksamit płatki.

Nagle ujrzała Williama. Po kolacji znikł bez śladu i sądziła, że ukrył się w swoim pokoju, tymczasem on przyszedł właśnie tutaj. Siedział na ozdobnej żeliwnej ławeczce, podziwiając zachód słońca. W gasnącym świetle dnia biel jego fularu wydawała się nieskazitelna.

Mimo że serce zabiło jej mocniej, postanowiła nie przeszkadzać mu w tej chwili samotności. Cofnęła się i już miała zniknąć wśród różanych krzewów, gdy nagle William, który najwidoczniej usłyszał kroki, spojrzał wprost na nią. Zrobiło jej się gorąco, tyle pragnienia zawarł w tym spojrzeniu.

- Niech pani nie odchodzi. Proszę ze mną chwilę posiedzieć - poprosił.

- Nie chcę się narzucać.

- Nie robi pani tego. Zresztą właśnie o pani myślałem. Uroczo pani wygląda. Trochę się bałem, że to nie rzeczywistość, tylko zjawą, wytwór mojej wyobraźni.

- Zapewniam pana, że jestem całkiem prawdziwa.

Cassandra przysiadła na ławeczce, pilnując, by zachować przyzwoitą odległość od Williama. Milczała, mając świadomość niezwykłości tej chwili, malowniczej i nastrojowej.

- W Hiszpanii mogłem oglądać zachody słońca bez końca - odezwał się w William. - To dawało mi uspokojenie.

- Wojna musi się panu wydawać bardzo odległa.

- Tak, ale spędziłem tam kawał życia.

- Jak to wyglądało? - Pomyślała, że w mundurze świetnie się prezentował.

- Przede wszystkim był upał, mnóstwo kurzu, chociaż zima, zwłaszcza w górach, nawet w Hiszpanii bywa mroźna. Często brakowało nam żywności, kiedy zaopatrzenie zawodziło.

- Jak długo pan tam był?

- Dwa lata, z tego większość spędziłem w siodle.

Odwrócił się i spojrzał Cassandrze w oczy ze znajomym uśmiechem.

- Pięknie pani wygląda przy księżycu, tak delikatnie, krucho, a przecież dobrze znam jej siłę, zdecydowanie... i niemały upór.

Powiedział to niemal pieszczotliwie i w każdej innej sytuacji taki ton spotkałby się z ostrą odprawą. Tym razem jednak odparła spokojnie, nawet z nikłym uśmiechem:

- Przesadza pan z pochlebstwami, Williamie. To brzmi tak, jakby stroił pan sobie ze mnie żarty.

Przypuszczała, że ujmie ją za rękę, ale się pomyliła. Trochę jej z tego powodu ulżyło, lecz jednocześnie poczuła rozczarowanie.

- Naprawdę? Zdarzało mi się słyszeć poważniejsze oskarżenia.

Zapadło milczenie. William patrzył przed siebie, uśmiechając się pod nosem. Myślał o Cassandrze, przypominał sobie ich jakże różne wspólne chwile, pocałunki nad jeziorem w Carlow Parku i rozstanie w gniewie. Co robić? - zastanawiał się. Doskonale wiedział, że Cassandra go pragnie. Jak jednak miał jej to uświadomić?

- Czy widział pan dużo walk w Hiszpanii? - przerwała milczenie Cassandra.

- Nawet bardzo.

- Był pan ranny?

- Kilka razy, choć mówiłbym raczej o skaleczeniach. Dopisywało mi szczęście.

Odwrócił głowę. Nie potrafił beznamiętnie opowiadać, kiedy stało mu to wszystko przed oczami tak, jakby wciąż tam był. Jak mógł opisać dobrze wychowanej angielskiej panie okrucieństwo wojny, krwawe jatki, długie marsze po górach w poszukiwaniu nieprzyjaciela, bitwy, ostrzał, muchy uczujące na trupach? Wielu żołnierzy walczyło tak, jak

uczono ich podczas szkolenia, ale niemało było też takich, którzy nie byli w stanie znieść widoku bitwy. Patrzyli na wszystko obłądnym wzrokiem, zbyt długo zmuszani do udawania bohaterów. Jednym po prostu nie starczało odwagi, inni nie mieli już siły, by pochować zabitych.

- Nie musi pan o tym opowiadać, Williamie - powiedziała nagle Cassandra. Zdziwiła go umiejętnością współodczuwania. - Rozmawiałam z wieloma żołnierzami, którzy wrócili z Hiszpanii, więc mogę przynajmniej do pewnego stopnia wyobrazić sobie, jak to wyglądało.

- Kto nie był pod Albuera albo Badajoz, ten nie jest w stanie sobie tego wyobrazić, Cassandro. Zresztą to chyba lepiej. Trzeba dziękować Bogu, że to się skończyło. Miałem też okazję do zobaczenia zwyczajnej Hiszpanii, na przykład wtedy, gdy słońce zachodziło za góry i malowało niebo na czerwono, podobnie jak tutaj. Widząc to, po prostu cieszyłem się, że żyję.

Znów zamilkli. To była właśnie taka chwila, o jakiej Cassandra często marzyła, siedząc wieczorem samotnie w domu, kiedy mama była w ochronce, a Emma spędzała czas w Monkton House. Chciała, żeby był z nią mężczyzna i zajmująco coś opowiadał. Podejrzewała, że William jeszcze nieraz ją zaskoczy. Kto by przypuszczał, że jeden z najślynniejszych londyńskich uwodzicieli przygląda się urzeczony zachodom słońca?

- Cieszy się pan z powrotu do Carlow Parku? - spytała nie śmiało po dłuższym czasie.

- Nawet bardziej, niż się spodziewałem. To miejsce wygląda inaczej niż obraz, który zapisał mi się w pamięci. Zdjęto pokrowce z mebli, w wazonach stoją kwiaty, ale dom mimo wszystko wydaje mi się opuszczony...

- Wszystkie puste domy sprawiają takie wrażenie - zauważyła Cassandra. Rozumiała, jak bardzo William tęskni za rodziną.

- To możliwe. Carlow Park był szczęśliwym miejscem, pełnym śmiechu i radości. Trzeba to przywrócić, więc mam niełatwe zadanie na przyszłość. Po powrocie z wojaczki w Hiszpanii czuję się trochę tak, jakbym stał się kimś innym i wciąż szukał swojego dawnego ja.

Nie ulegało wątpliwości, że szczerze tego pragnie.

- Na to potrzeba czasu - zauważyła Cassandra. - Czy jest pan szczęśliwy?

- Zadowolony na pewno.

- Na czym polega różnica?

- Zadowolenie jest stanem umysłu, kiedy umysł i ciało są z sobą w harmonii. Szczęście przyplływa i odpływa w różnym natężeniu. Można czuć się szczęśliwym, słuchając muzyki albo osiągnąwszy coś trudnego. Można też cieszyć się szczęściem innych, choćby matki, która urodziła dziecko, albo odczuwać radość z ułatwienia życia ludziom, tak jak wtedy, gdy pomaga pani dzieciom w ochronce.

- Nie myślałam o tym w ten sposób - przyznała po namyśle Cassandra. - W każdym razie dla mnie widok dzieci wychodzących z pełnym brzuchem jest raczej powodem do satysfakcji niż szczęścia. - Spojrzała na niego z zainteresowaniem. - Czy to, co pan robi dla Emmy i Edwarda, daje mu szczęście?

- Szczęście, zadowolenie i satysfakcję... ponieważ oznacza to, że będę często widywał panią, Cassandro.

- I to jest właśnie powód, dla którego obmyślił pan swój plan?

- Jeden z powodów - przyznał bezczelnie, a potem wstał z ławki. - Dosyć tego otwierania serc i filozofowania jak na jeden wieczór. Odprowadzę panią do domu. Chętnie zatrzymałbym ją tutaj na dłużej, ale jutro czeka panią wielki dzień. Musi pani dobrze się wyspać, jeśli chce być świeża podczas pierwszej lekcji konnej jazdy.

Zamknawszy się w swoim pokoju, Cassandra jeszcze raz odtworzyła w myślach spotkanie z Williamem. Była pod jego głębokim wrażeniem, choć przecież tylko toczyli rozmowę i oglądali zachód słońca. Na pewien czas zapomniała o dzielącej ich przepaści i całkiem spontanicznie dostosowała się do jego nastroju zadumy. Najbardziej jednak zaskoczyło ją, że bardzo chciała wiernie zapisać te chwile w pamięci. Siedziała obok Williama i wydawało jej się, że właśnie tak powinno być, że ich bliskość jest całkiem naturalna. Jeszcze teraz, gdy przygotowywała się do spoczynku, czuła niezwykle wprost ożywienie.

Następnego ranka Cassandra stanęła przed wysokim lustrem i krytycznym okiem zmierzyła kostium jeździecki. Pożyczyła go od Emmy, ponieważ sama nie miała takiego stroju.

Trochę uciskał ją w górnej części, poza tym jednak był dopasowany całkiem nie najgorzej i wyglądała w nim szykownie. Gdy obróciła się dookoła, była z siebie całkiem zadowolona. Poprawiła jeszcze starannie dobrany kapelusik, wciągnęła rękawiczki z kozłej skóry, po czym wzięła szpicrutę i opuściła pokój. W drodze do stajni nie mogła uwolnić się od złych przeczuc przed pierwszą lekcją. Nie umiała pojąć, dlaczego w ogóle dała się na nią namówić. Jak mogła ulec zwykłej prowokacji, kiedy William Lampard rzucił jej wyzwanie?

Stajnie znajdowały się niedaleko domu, odgradzono je jednak wysokim żywopłotem. Wokół podwórza stało szesnaście boksów, choć nie wszystkie były zajęte. Stajenni i chłopcy uczący się rzemiosła zajmowali się codziennymi obowiązkami. William stał wśród nich i żartował z jednym ze służących.

Cassandra przystanęła w połowie drogi przez podwórze i zmierzyła swego dręczyciela przeciągłym spojrzeniem. Przypomniało jej się jednak ich wieczorne spotkanie i nagle zrobiło się jej ciepło na sercu. W brązowej jeździeckiej kurtce, spodniach z sarniej skóry i lśniących wysokich butach prezentował się niezwykle pociągająco. Puls jej nagle przyspieszył, choć trudno byłoby jej zdecydować, czy z powodu przystojnego instruktora,

czy raczej wobec nieuchronnego spotkania z czworonożną bestią, którą ten już ku niej prowadził.

- Dzień dobry, Cassandro. Ufam, że spała pani dobrze.

- Doskonale, dziękuję.

- Miło mi było obejrzeć zachód słońca w pani towarzystwie - powiedział poufałym tonem. - Musimy to powtórzyć.

- Chętnie - przyznała, zerkając na klacz z wyraźnym niepokojem.

William naturalnie to zauważył. Był jednak zdecydowany pomóc swojej uczennicy zmienić nastawienie do koni.

- Ślicznie pani wygląda. Gotowa do pierwszej lekcji?

- Wolałabym chyba pojedynek na pistolety z dwudziestu kroków - odparła. Znów nieufnie spojrzała na klacz, która rzuciła łbem i zarżała.

- Spokojnie, mała - cicho powiedział do klaczy William i przesłał Cassandrze krzepiący uśmiech. - Proszę się nie denerwować. Koń nie powinien zauważyć, że pani się boi. Jeździec musi nauczyć zwierzę posłuszeństwa. Gdy już to się stanie, dobry koń zawsze rozpozna swego pana, a w tym wypadku panią. Proszę podejść i zapoznać się z Jade. Ona jest potulna jak jagnię. - Wyjął z kieszeni kawałek cukru, położył na otwartej dłoni i podał klaczy. Jade parsknęła, wzięła smakołyk do pyska i zaczęła go chrupać. William wsunął drugi kawałek cukru w odzianą w rękawiczkę dłoń Cassandry. - Teraz pani kolej, proszę spróbować.

Starala się powtarzać wszystkie ruchy Williama, choć w ostatniej chwili kusiło ją, by cofnąć rękę. Na szczęście zdołała się przed tym powstrzymać, więc Jade delikatnie zdjęła jej z dłoni kawałek cukru. Cassandra uśmiechnęła się szeroko.

- Widzi pani, jakie to łatwe? Cierpliwość i życzliwość sprawdzają się w każdej sytuacji. - William poklepał Jade po pysku, a Cassandrze polecił pogłaskać klacz po karku. Zawieranie znajomości trwało kilka minut.

- Spróbuje pani jej dosiąść? - spytał w końcu William. Cassandra głęboko odetchnęła i skinęła głową.

- Teraz albo nigdy - powiedziała niepewnie.

Była pełna najgorszych przeczuc, gdy William pomagał jej wspiąć się na siodło. Od zmiany wysokości zakręciło jej się w głowie, ale na szczęście wkrótce świat przestał wirować, William pozwolił jej spokojnie posiedzieć w siodle i dopiero po dłuższym czasie zaczął wolno prowadzić klacz przez po dworze ku parkowym alejkom. Początkowo Cassandra bardzo się bała upadku, ale William cierpliwie szedł przy samym boku klaczy i trzymał ją za uzdę. Jednocześnie dawał niedoświadczonej amazonce wskazówki. Po pewnym czasie Cassandra zyskała nieco pewności siebie i wtedy doszła do wniosku, że jazda może nawet sprawiać przyjemność.

- Dobrze pani idzie - pochwalił ją William. - Jak się pani czuje?

- Lepiej, niż się spodziewałam - odrzekła. - To pewnie zasługa odpowiednio dobranej klaczy. Ona wie, że musi być dla mnie wyjątkowo delikatna, i bardzo mi pomaga.

- Ma wrodzony dar cierpliwości, o tym mogę panią zapewnić.

Cassandra spojrzała mu w oczy i dostrzegła w nich tyle ciepła, że reszta jej nieufności uleciała.

- Widzę, że umie pan postępować z końmi.

- Lubię konie. W Hiszpanii dobry wierzchowiec był na wagę złota. Mógł decydować o życiu lub śmierci.

- A skoro o tym mowa... Dlaczego dał pan do zrozumienia mamie i ciotce Elizabeth, że wczoraj napadł nas zbójca?

- Przede wszystkim jest to moja sprawa, a ponadto pani rodzina ma dość swoich problemów i moje są jej niepotrzebne.

- Czy nie sądzi pan, że należało powiedzieć im prawdę? Przecież zagrożone było nie tylko pańskie życie.

William spojrzał do góry. Minę miał jak na siebie wyjątkowo skruszoną.

- Musi mi pani wierzyć, że myślę o tym przez cały czas, i jest to dla mnie sprawa pierwszorzędnej wagi. Stanowczo nie chcę pani narażać i właśnie dlatego jutro wracam do Londynu. Podejrzewam, że człowiek, który na nas napadł, był wynajęty.

- Może pański prześladowca wreszcie się podda.

William nie sądził, by można było na to liczyć. Wrodzona ostrożność nakazywała mu postępować z najwyższą przezornością, póki nie nabierze pewności, że wie, kto stoi za tymi zamachami.

- Miejmy nadzieję, że pan Jardine czegoś się dowie.

- Za to mu płacę.

- A skąd pan wie, że ten człowiek nie wynajął kolejnego zbira? Może jesteśmy obserwowani nawet teraz? - Cassandra omiotła wzrokiem park.

- Szczerze wątpię. Proszę nie zapominać, że człowiek, którego zabiłem, nie został zidentyfikowany. Minie trochę czasu, nim władze dowiedzą się, kto to jest, jeśli w ogóle to się uda. Z drugiej strony, jestem pewny, że mój wróg wynajmie następnego zbója, gdy tylko przekona się, że żyję.

Rozdział dziewiąty

Dojechawszy do kępy drzew na szczycie wzgórza, ruszyli, ścieżką, która schodziła po zboczu do strumienia. Słońce paliło niemiłosiernie i tylko od czasu do czasu wąły powiew poruszał koronami drzew.

- Powinniśmy dać odpocząć klacze - powiedział William i pomógł zsiąść Cassandrze.

- Czy na pewno? - Gdy tylko stanęła na ziemi, odsunęła się od niego na przyzwoitą odległość.

William zaczepił wodze o nisko wyrastający konar i stanął oparty o pień drzewa.

- Staram się dobrze wypełniać rolę odpowiedzialnego instruktora jazdy konnej - zażartował.

- Przecież ledwie przejechaliśmy przez park, dodam że w bardzo umiarkowanym tempie.

- To prawda. Robi pani błyskawiczne postępy. Jestem pod wrażeniem i myślę, że jutro zaczniemy uczyć się kłusa.

- Czy to nie nazbyt ambitne zadanie?

- Poradzi sobie pani.

- Ma pan więcej zaufania do moich możliwości niż ja sama.

- Proszę mi powiedzieć, Cassandro - odezwał się po chwili namysłu - dlaczego chciała pani wysłać mnie do Londynu, kiedy lady Monkton zaproponowała mi pobyt w Netherton Hall.

Bezpośredniość tego pytania sprawiła, że Cassandra splonęła rumieńcem.

- Czy to było aż tak widoczne?

- Bardzo wyraźnie. - William odepchnął się od drzewa i zaczął się zbliżać, przez cały czas nie spuszczać z niej oka.

- Niech pan przestanie tak na mnie patrzeć - zaprotestowała zmieszana Cassandra. Spróbowała się cofnąć, on jednak niby drapieźnik podążał za nią, aż pień drzewa uniemożliwił jej dalszą ucieczkę.

- Dlaczego mnie pani unika?

- Bo uważam, że pan prowadzi jakąś grę, i to mi się nie podoba - odparła. Gniew był teraz jedyną jej nadzieją na skuteczną obronę.

- Rozumiem. Jeśli jednak prowadzę grę, to powinna pani wiedzieć, że nie może wygrać, nie znając jej reguł. Chętnie je objaśnię. - William mówił coraz bardziej uwodzicielsko.

- Niech pan przestanie. Nie lubię gier.

- Dlaczego? Czyżby bała się pani porażki?

- Nie, po prostu nie chcę w tym brać udziału. Pan może mnie pragnąć, ale należeć nie będę ani do pana, ani do żadnego innego mężczyzny.

- Nie lubi pani bliskich związków?

- Nie jestem przeciwna bliskim związkom, tylko ich konsekwencjom.

- To znaczy?

- Chodzi dokładnie o to samo, co każe mi unikać doświadczonych uwodzicieli, takich jak pan. Czuję się niezależna i nie chcę tego zmieniać.

- Moja droga Cassandro, jest pani dumna i niemądra - oświadczył kpiącym tonem. - Sam sobie zadaję pytanie, czy młoda dama może być piękna i kusząca, a jednocześnie przyzwoita.

- Naturalnie.

- Czego więc pani chce od życia oprócz niezależności, rzecz jasna?

- Tego samego, co każda kobieta, a już na pewno nie życzę sobie paść ofiarą rozpustnika, rojącego, że jest zrzędzeniem losu dla wybranki, którą łaskawie obdarzy spojrzeniem.

- Może pani mieć swoje zdanie. Niestety, nie jestem w stanie niczego zmienić w życiu, które prowadziłem, zanim panią poznałem. Nie rozumiem, dlaczego uprzedziła się pani wobec mnie, mimo że jej rodzina jest wzorem uprzejmości.

- Przyznaję, że się panu udało. Wkradł się pan w łaski moich bliskich wyjątkowo zrećcznie. Ciekawe, dlaczego tak panu zależy na przyjaznych stosunkach z naszą rodziną? Emma wpatruje się w pana niczym w obraz, ciotka Elizabeth widzi w panu zbawiciela i już przygotowuje listę gości weselnych, mamie ulżyło, bo Emma wychodzi za mąż, a ja... Ja nie wiem, co o tym sądzić. Jestem zdezorientowana.

- To ja zawiniłem?

- Naturalnie. Po co pan to robi? Dlaczego przejmuję się pan zszarganą opinią panny, która nic dla niego nie znaczy? Wrócił pan z wojny i przejął rodzinne dobra. Trzeba doprowadzić je do porządku, co stanowi olbrzymie wyzwanie. W dodatku ktoś czyha na pana życie. A pan tymczasem bawi się w Kupidyna. Przecież w tym nie ma ani krzty sensu. William spowaźniał.

- Nie widzi go pani? Dobrze, powiem wprost. To pani chcę, Cassandro. Jest pani piękna w taki sposób, że może zawrócić w głowie każdemu mężczyźnie. Tyle że zbudowała wokół siebie mur i jest gotowa go rozebrać tylko dla człowieka, którego szczerze pokocha.

- I pan uważa się za tego człowieka?

- Tak.

- Jest pan zarozumiały.

- Na pewno, ale pani pociąga mnie nie tylko dlatego, że chcę ją trzymać w ramionach i obsypywać pieściami. Dostrzegłem w pani coś niezwykłego, choć ukrytego, tajemnicę, którą chcę poznać. Nie spocznę, póki tego nie dopnę.

Cassandra chciała się oddalić, ale William chwycił ją za ramiona i przycisnął do pnia. Pochylił głowę i odnalazł jej wargi. To był błąd. Poczł nagły ból, a gdy cofnął głowę, w ustach miał smak krwi. Spojrzał na Cassandrę spod przymrużonych powiek.

- Kąsasz, zmijko? Zawsze wiedziałem, że nie brak ci temperamentu.

- Dobrze tak temu, kto za dużo sobie pozwala. Jeśli pan chce, może mnie wziąć siłą, ale i tak nie będę do niego należeć oświadczyła. - Prosiłabym jedynie, aby pan darował sobie te kłopotliwe i całkiem jałowe próby uwiedzenia mnie.

- Na pewno nie pozostaną jałowe.

- Owszem, pozostaną.

- Nie tak pani mówiła, kiedy całowałem ją w Carlow Parku - zauważył zniżonym głosem. - Dwa razy, jeśli dobrze pamiętam.

- Nie pomogą panu ani intrygi, ani pochlebstwa. Jestem odporna na jedno i drugie.

William ujął jej twarz w dłonie i spojrzł prosto w oczy.

- Nieprawda. Pamiętam, jak pani topniała w moich ramionach. Zamierzam sprawdzić, czy wciąż może zdarzyć się to samo.

Jego pewny siebie uśmiech uświadomił Cassandrze, że prowokowanie go jest błędem.

- Traci pan tylko czas - odrzekła, upokorzona bezceremonialnym przypomnieniem ich pieściami.

- Udowodnić pani, jak chwiejny jest ten mur?

Cassandra chciała go odepchnąć, ale ciasno objął ją ramionami. Namiętny pocałunek sprawił, że po całym jej ciele rozlało się gorąco. Chciała cofnąć usta, przerwać ten intymny kontakt, zanim jego moc owładnie nią bez reszty. Nie mogła przecież zapomnieć o zakładzie Williama z Charlesem Grishamem. Mimo to wciąż pozwalała się całować, bo odczuwała przyjemność. Tymczasem William zaczął drażnić wargami jej szyję, coraz bardziej rozbudzając zmysły Cassandry. Opór jej zdradzieckiego ciała malał z każdą chwilą.

- Pocałuj mnie - szepnął, jeszcze mocniej przyciągając, ją do siebie.

W końcu uzyskał to, czego chciał.

Cassandra objęła Williama za szyję i zaczęła odwzajemniać pieściami. Z najwyższym trudem powstrzymał się, by natychmiast nie przewrócić jej na trawę. Cofnął usta i zaczerpnął tchu. Och, jak kusily go jej nabrzmiałe od pocałunków wargi i oczy zamglone pragnieniem. Bezsilnie oparła głowę o pień drzewa, powoli pokonując oszołomienie. Uniosła powieki i zobaczyła tuż przed sobą oczy Williama.

Cassandra była na siebie zła. Rzeczywiście, nie tylko włączyła się do pieściami, lecz również autentycznie się nimi cieszyła.

- A jeśli ktoś nas widział?

- Nie ma w okolicy żywej istoty oprócz kłaczy, która skubie trawę i mało zwraca uwagę na to, co robimy.

- Czy naprawdę zamierza pan jutro wyjechać?

- Tak postanowiłem. Zostawię tu jeszcze na kilka dni Boultinga, żeby w pełni odzyskał siły.

Cassandra zeszła nad strumień i wbiła wzrok w jego wartki nurt. Czowała się upokorzona. Uległa sile namiętności, mimo że przysięgła sobie do tego nie dopuścić. A przecież dla Williama Lamparda był to jedynie zakład, nic więcej. Trapiona smutną myślą, zasłuchiwała się w pogwizdywanie kosa.

Wyglądała tak pociągająco, że William podszedł cicho i od tyłu objął ją ramionami w talii.

- Cassandro... - szepnął jej do ucha.

- Proszę mnie nie dotykać! - odpowiedziała ze złością i wyrwała się z uścisku.

William uśmiechnął się i powiedział cicho:

- Na to trochę za późno.

- Musi pan pogodzić się z tym, że w naszej znajomości osiągnął pan nieprzekraczalną granicę. Proszę nie liczyć na to, że podobna sytuacja się powtórzy. Nie chcę pana i nigdy nie zechcę.

- Pani wargi mówiły co innego. Dostałem odpowiedź, jakiej oczekiwałem. Niech pani ze mną nie walczy.

- A właśnie, że będę - odparła z gniewem. Zdawała sobie jednak sprawę, że nie jest całkiem odporna na siłę Williama i dlatego powinna unikać go za wszelką cenę. - Będę walczyć z panem, póki mi starczy sił. Słyszysz pan?

- Każde słowo - potwierdził. Odwiązał kłacz i pomógł Cassandrze wspiąć się na siodło.

- Któregoś dnia pani do mnie przyjdzie. W końcu będzie pani moja.

- Nigdy. Nawet w najmniejszej części.

- Trudno więc - powiedział po chwili namysłu. - Wygląda na to, że musimy poczekać do następnego razu. Gotowa do odjazdu?

Cassandra skinęła głową i wlepiła wzrok w odległy punkt przed sobą.

William wolno prowadził kłacz ku stajniom, pochłonięty swoimi myślami. Nie były wesołe. Gdy występował z wojska i zaczynał od nowa życie w cywilu, zdawało się, że cała jego przyszłość jest dokładnie zaplanowana. Cassandry Greenwood nie było w tych planach. Mógłby naturalnie zapomnieć o niej i udać, że nigdy nie istniała, ale nawet nie brał takiej możliwości pod uwagę.

Przez całą resztę dnia i potem rano przy śniadaniu William zachowywał pogodną twarz i był dla wszystkich bardzo uprzejmy. Jednak i on, i Cassandra wiedzieli, że coś między nimi

się zmieniło. W ich wzajemnych stosunkach zapanował szczególny chłód. Wszystkiemu winna była oczywiście gniewna odprawa, jaką otrzymał.

Mimo to William dotrzymał słowa i wziął Cassandrę na przejażdżkę po parku. Towarzyszyła im Emma na narowistej gniadej klaczce, którą raz po raz podrywała do galopu. Gdy wracali do stajni, Cassandra rzeczywiście próbowała już jechać kłusa, a William chwalił ją za postępy i twierdził, że ma zadatki na znakomitą amazonkę. Nalegał, by po jego wyjeździe kontynuowała lekcje z siostrą.

Potem zjedli lekki lunch, William pożegnał się z lady Elizabeth i Harriet i wyruszył do Londynu.

Zgodnie z przewidywaniami Williama gazetowe ogłoszenia oznajmiające o zaręczynach sir Edwarda Lamparda z panną Emmą Greenwood narobiły wiele hałasu. Tymczasem do Londynu ściągnęła hrabina wdowa Carlow, która zamieszkała w domu wnuka przy Grosvenor Square i natychmiast wyraziła poparcie dla planowanego małżeństwa.

Przed południem w dniu, gdy ukazała się wiadomość, William przyjechał z wizytą do Monkton House. Nie spodziewając się odwiedzin bez uprzedzenia, lady Monkton zabrała Emmę po zakupy na Bond Street. Cassandra, która nie była tym zainteresowana, pozostała w domu, choć gdy kamerdyner zaanonsował lorda Lamparda, pożałowała wcześniej podjętej decyzji.

Kiedy William wszedł do pokoju, wstała z kanapy i odłożyła czytaną książkę na stolik. Gość wystrojony w wysmienicie skrojony oliwkowy surdut podszedł prosto do niej. Promienie słońca, wpadające przez okna, rozświetlały mu włosy.

- Nie spodziewaliśmy się pana, Williamie. Ciotki i Emmy nie ma w domu. Jeśli chciał pan rozmawiać z lady Monkton, proszę wrócić później.

- Bardzo się cieszę, że zastałem tylko panią, Cassandro. Proszę się nie obawiać, nie zrobię niczego naganego. Ma pani moje słowo na to, że póki pozostajemy sam na sam, będę zachowywał się godnie i stosownie.

Zmierzyła go bardzo sceptycznym spojrzeniem.

- Prawdę mówiąc, trudno mi w to uwierzyć. Pański upór nie przestaje mnie zadziwiać. Proszę usiąść. - Zajął miejsce na krześle naprzeciwko, więc nie sposób było uniknąć jego wymownych spojrzeń. - Czy w stosunku do innych kobiet poczyna pan sobie równie śmiało?

- Tylko wobec tych, które budzą moje pragnienie, a powiedziałem przecież, że pani pragnę - odrzekł William, przypatrując jej się z bardzo niepokojącą intensywnością.

- Znowu przypomina mi pan o braku rozwagi.

- Pani czy moim?

- Nas obojga. Bardzo dobrze pamiętam te zawstydzające chwile, gdy się zapomniałam. Można je nazwać jedynie wyjątkową nierozwagą. Zresztą powiedziałam panu wtedy, żeby zostawił mnie w spokoju.

Długo mierzył ją spojrzeniem niebieskich oczu.

- Zastanawiam się - rzekł w końcu - czy pani słowa wytrzymają test dotyku.

- Nie wyobraża pan sobie, żeby kobieta była w stanie się oprzeć rozbudzonemu pożądanemu, prawda? - Cassandra usiadła w królewskiej pozycji, z ramionami ułożonymi wzdłuż poręczy krzesła. - Otóż powiem panu, że nie zamierzam stracić cnoty w łóżu znanego uwodziciela.

- W tym rzecz! - Zaśmiał się krótko. - Niech pani się uspokoi, Cassandro. W mojej obecności pani cnoty nic nie grozi. Nikt tak nie troszczy się o nią jak właśnie ja.

- Nic nie grozi - powtórzyła z ironią. - Jestem innego zdania. Proszę raczej powiedzieć, po co pan przyszedł.

- Skoro zostały ogłoszone zaręczyny, to, jeśli uda się zwolnić Edwarda od obowiązków wojskowych, możemy, jak sądzę, rozpocząć podbój towarzystwa.

- Co pan proponuje, jeśli można wiedzieć?

- Na początek wizytę w Almacku w najbliższą środę. Cassandra nie wierzyła własnym uszom.

- W Almacku?

- Naturalnie - potwierdził z uśmiechem. - To przecież najbardziej ekskluzywny z londyńskich klubów.

- Nie przejdziemy przed wartą patrolującą mu dam. One strzegą drzwi jak smoki.

- Patronki mają prawo bez podania powodu usunąć z klubu każdego, kto ich zdaniem jest niemiło widziany.

- Czy mamy szansę na zdobycie karnetów?

- Tu przydadzą się wpływy mojej babki. Ona dobrze zna jedną z patronek i bez wątplenia powoła się na tę przyjaźń.

- Tylko po co? Almack jest znany jako wielki targ matrymonialny, gdzie matki przedstawiają córki towarzystwu, mając nadzieję znalezienia dla nich bogatych i utytułowanych mężów. Klub funkcjonuje głównie jako miejsce aukcji debutantek, tymczasem ani ja, ani Emma nie mieścimy się w tej kategorii. Emma jest zaręczona, a ja nie zamierzam się zaręczyć.

- O tym nikt nie wie.

Cassandra spojrzała na niego osłupiała. Pojęła, do czego zmierza, pomysł wydał jej się jednak nedorzeczny.

- Niech pan przestanie, Williamie. Nie jestem debutantką i nie chcę nią być.

- Nawet na jeden wieczór, wyłącznie po to, by pomóc siostrze zyskać akceptację towarzystwa? - spytał przymilnym tonem.

- Dlaczego moim kosztem?

- Czyż kochająca siostra nie powinna zrobić wszystkiego, by ocalić bliską jej osobę przed dożywotnim ostracyzmem towarzyskim?

- Myśli pan, że mnie to nie leży na sercu?! Jak jednak mogę zapomnieć o prawdziwej przyczynie tej całej kosztownej szarady? Odkąd tylko Emma uciekła, o niczym innym nie myślę. A teraz prosi mnie pan, żebym ocaliła siostrę przed pogardą towarzystwa, dygając przed wielkimi patronkami, mimo że nie tylko nie mam ochoty dygać w towarzystwie, ale w ogóle nie chcę być jego członkiem.

- Rozumiem to i jest mi przykro. Wiem, jak wiele znaczą dla pani podopieczni, więc kiedy zdołamy zabezpieczyć przyszłość Emmy, będzie pani mogła wrócić do swoich obowiązków.

Znając pokrętne sposoby rozumowania Williama, Cassandra spojrzała na niego bardzo nieufnie. Była przekonana, że Edward i Emma są tylko małą częścią planu Williama, który tak naprawdę jej dotyczy.

- Zadaje pan sobie mnóstwo niepotrzebnego trudu i proszę nie obrażać mojej bystrości, twierdząc, że robi pan to dla Emmy. Nie jest dla pana nikim bliskim i to, co się z nią stanie, powinno być panu obojętne.

- Zależy mi na tym, żeby Emma i Edward mieli to, co najlepsze. Edward jest dla mnie ważny, Emma jest ważna dla Edwarda. Czy muszę tłumaczyć dalej?

- Nie dam się w to wmanewrować, Williamie.

- Nie wmanewrować, Cassandro - szybko zaprzeczył William - raczej przekonać.

Spojrzała na niego rozeźlona. Postawił ją w sytuacji bez wyjścia, a to doprowadzało ją do szału.

- Załóżmy, ale tylko załóżmy, że zgodzę się na tę pańską niemądrą intrygę. Jaką możemy mieć pewność, że ona zadziała?

- Ech, kobieto małej wiary - powiedział z przekornym błyskiem w oku William. - Ten sposób jest niezawodny.

Właśnie wtedy do pokoju weszła lady Monkton, a za nią Emma. Dama, zachwycona widokiem Williama, kazała podać przekąskę i zapytała go o cel wizyty. Na wspomnienie o Almacku natychmiast się rozpromieniła i uznała pomysł za znakomity. Emma wykazała mniej entuzjazmu.

- Przecież moje zaręczyny z Edwardem zostały oficjalnie ogłoszone. Nie mogę pojawić się w Almacku jako debiutantka.

- Słusznie - przyznał William. - Może to jednak zrobić pani siostra.

Cassandra zrobiła wściekłą minę, na którą William odpowiedział kpiącym uśmiechem. Tymczasem Emma odwróciła się do siostry z oczami pełnymi nadziei.

- Naprawdę zrobiłabyś to dla mnie?

- Przecież to znakomite rozwiązanie. - Lady Monkton nie ociągała się z udzieleniem mu poparcia. - Almack będzie dla was znakomitą sceną do pokazania się w towarzystwie. Czar tego klubu opiera się na czystym snobizmie, to nawet lepsze niż przedstawienie na królewskim dworze. Przejście Emmy z Edwardem przez ekskluzywny próg klubu ostatecznie usankcjonuje ich zaręczyny i da im wstęp do wszystkich domów w Londynie. Tobie też, Cassandro. Nie wyobrażasz sobie, w jaką dumę wprawia mnie myśl, że będę mogła oficjalnie zaprezentować cię w towarzystwie. Szkoda, że nie podjęliśmy tej decyzji wcześniej i nie mogłam zgodnie ze zwyczajem zaopatrzyć cię w całą garderobę niezbędną damie z towarzystwa.

- Przecież nie jestem damą z towarzystwa, ciociu Elizabeth, po co więc ta zbędna ekstrawagancja - odparła Cassandra. - Mam tyle sukni na dzień, sukni wieczorowych, sukni na bale i przyjęcia, pelerynek, kapeluszy i wszystkich innych fatalaszków, że starczy mi do późnej starości.

- Mimo wszystko wolałabym odpowiednio cię wyposażyć.

Cassandra uświadomiła sobie, że wpatrują się w nią wyczekująco trzy pary oczu. W tej sytuacji jej sprzeciw i tak nie miałby szans powodzenia. Spiorunowała wzrokiem tego pozbawionego skrupułów intryganta, siedzącego naprzeciwko. Posunięcie było rzeczywiście mistrzowskie, znalazła się w potrzasku, z którego nie było ucieczki.

- Czy pan bywał w Almacku? - spytała Williama lady Monkton, nieświadoma zamętu w duszy Cassandry.

- Moja noga tam nie postąpiła od ponad dziesięciu lat - odpowiedział z wyraźną niechęcią.

- Dlaczego, przecież to niezwykle popularne miejsce?

- Trudno zgadnąć z jakiego powodu, skoro w rozrywkach tam proponowanych nie ma niczego szczególnie zajmującego.

Almack jest miejscem przyzwoitym do obrzydliwości. Może i odbywają się tam najelegantsze bale w Londynie, ale są tak stateczne, że zniechęcają.

- Skoro pańskim zdaniem są nudne, nie musi pan w nich uczestniczyć - chłodno zwróciła mu uwagę Cassandra. - Ciocia Elizabeth z przyjemnością pojedzie tam ze mną i Emmą jako przyzwoitka.

Uśmiech Cassandry wydał się Williamowi w najwyższym stopniu irytujący.

- Miałbym zostać pozbawiony przyjemności towarzyszenia pani na balu? Nawet nie chcę o tym słyszeć. Nalegam, aby zarezerwowała pani dla mnie dwa tańce i obiecała, że tym razem nie będzie wyciągać od ludzi datków na ochronkę. Zakończymy wieczór w mojej rezydencji przy Grosvenor Square. Babcia przyjmuje kilka swoich przyjaciółek i my też jesteśmy zaproszeni. Ona bardzo chciałaby poznać młodą damę, która ma poślubić jej wnuka.

Gdy William odjechał, lady Elizabeth i Emma zaczęły snuć plany związane z wyprawą do Almacka. Dopiero teraz Cassandra w pełni uświadomiła sobie, jakie zadanie zostało przed nią postawione, wyglądało jednak na to, że nie sposób go było uniknąć. Na myśl o tym czuła, że zaczyna się dusić. Tymczasem wyobraźnia usłużnie podsunęła jej obraz debutantki na przyjęciu w Almacku. Harriet podzielała jej wątpliwości, wiedziała bowiem, co Cassandra sądzi o konwenansach i z jaką pogardą odnosi się do usilnych starań ludzi, by robić jedynie to, na co zezwalają zasady przyzwoitości. Nie chciała jednak, by córka całkowicie odgrodziła się od towarzystwa, więc rozumiejąc okoliczności, dała jej swoje błogosławieństwo.

Po długich godzinach strojenia się i oglądania przed lustrem przygotowania do wyjazdu wreszcie dobiegły końca. Kunsztownie uczesana Cassandra, odziana w suknię z jasnego atłasu i koronki, zdobioną złotymi cekinami, dzierżąc wachlarz w dłoni, dołączyła do rozpromienionej Emmy, Edwarda i lady Elizabeth, którzy siedzieli już w powozie, mającym ich zawieźć na King Street. Edward przybył sam i przekazał gorące przeprosiny Williama, którego zatrzymały pilne sprawy. Obiecał mimo wszystko przyjść, ale dopiero po godzinie dziesiątej, mimo to prosił, by Cassandra zachowała dla niego taniec.

Chociaż zdecydowała się zaznaczyć swoją obecność w świecie, z którego zawsze chciała być wyłączona, po przekroczeniu progu Almacka natychmiast odniosła wrażenie, że zwabiono ją w pułapkę. Choć na zewnątrz wydawała się spokojna, w środku kipiała gniewem.

W zdobionej złoconymi filarami i olbrzymimi lustrami sali balowej panowało duże ożywienie. Gwar rozmów mieszał się z muzyką, na parkiecie poruszali się tancerze z partnerkami wystrojonymi w wielobarwne kreacje, lśniące od klejnotów. Nagle rozmowy przycichły i wszystkie oczy skierowały się na nowo przybyłych, a po chwili rozległy się pierwsze szeptane komentarze. Całe miasto mówiło o zaręczynach Edwarda z Emmą, Cassandra była więc świadoma tego, ile spekulacji musi wzbudzić ich pojawienie się w Almacku.

Przyszło tylu gości, że bez wątplenia miał to być jeden z największych balów sezonu. Tego wieczoru oficjalnie przedstawiano w towarzystwie większość debutantek. Blondynki i brunetki czekały z wypiekami na twarzach, a tymczasem u ich matek i przyzwoitek obudził się instynkt łowiecki. Pilnowały podopiecznych, by ich karneciki jak najszybciej się zapełniły, a piękni, przystojni i dobrze sytuowani kawalerowie otaczali je względami.

Cassandra rozejrzała się po otoczeniu z niesmakiem. Zapowiadał się nieznośnie długi wieczór.

Spodziewano się powszechnie, że Cassandrze, znanej pod przydomkiem Lodowej Damy, będzie towarzyszył słynny lord Lampard, toteż młodzi bawidamkowie przezornie trzymali się od niej z daleka, sądząc, że pan hrabia może w każdej chwili wejść na salę. Kiedy jednak oczekiwania się nie potwierdziły, karnet Cassandry szybko się zapełnił.

- Panno Greenwood, jestem zachwycony pani widokiem, choć muszę powiedzieć, że trochę się zdziwiłem.

Cassandra cofnęła się o krok i ujrzała sir Charlesa Grishama, który wyszedł z pokoju do gry w karty, a teraz witał ją ukłonem.

- O, dobry wieczór, sir Charlesie.

- Skoro zaszczyliła pani swoją obecnością tę salę, to jeśli ma pani jeszcze wolne miejsca w karneciku, może i mnie wyświadczy zaszczyt. Chętnie zająłbym jeden taniec albo i dwa - powiedział z błyskiem w oczach.

Popatrzyła na niego. Nagle uznała, że wieczór może okazać się ciekawszy, niż sądziła. Przecież jeśli rozbudzi zainteresowanie sir Charlesa, to tym samym dodatkowo utrudni zadanie Williamowi. Już ona pokaże temu zarozumiałcowi!

Powziąwszy taki zamiar, pięknie uśmiechnęła się do sir Charlesa.

- Będzie mi bardzo miło, choć z pewnością pan wie, że okazywanie komuś nadmiernego zainteresowania, na przykład oddanie dwóch tańców jednemu partnerowi, stanowi poważne uchybienie.

- Jeśli o mnie chodzi, nie przywiązuję do tego wagi.

- Ja muszę dbać o swoją reputację - przekomarzała się. Uśmiechnął się z pewnością niezbyt stosownie, obdarzwszy ją przeciągłym spojrzeniem.

- Nie śniłbym nawet o zrobieniu czegokolwiek, co mogłoby zaszkodzić pani reputacji. A więc wpisze mnie pani?

- Jest pan wytrwałym kawalerem, sir Charlesie.

- A pani jest jeszcze ładniejsza niż obraz, jaki zapamiętałem, panno Greenwood.

- Pochlebca. W takim razie zarezerwuję dla pana dwa tańce - oznajmiła Cassandra.

W ciągu najbliższej półgodziny Cassandra wypełniła karnecik do końca, został jej tylko jeden taniec; przeznaczyła go dla Williama. Ścisłe reguły klubu przewidywały, że o jedenastej drzwi zamykano i po tej godzinie nikogo nie wpuszczano. Pod czujnym i dumnym okiem lady Elizabeth obie jej protegowane wyszły na parkiet do żwawego kontredansa.

Kiedy Cassandra wytańczyła się za wszystkie czasy z licznymi dżentelmenami i znalazła się właśnie drugi raz na parkiecie z sir Charlesem Grishamem, dochodziła jedenasta. Właśnie wtedy pojawił się lord Lampard, nieświadom faktu, że zarezerwowany dlań taniec został już oddany komu innemu. Cassandra ucieszyła się na widok Williama. Wreszcie mogła w pełni zrealizować swój plan.

Ludzie stojący pod ścianami zaczęli szeptać. Niemal wszyscy kierowali oczy ku nowemu przybyszowi. Lord Lampard, hrabia Carlow, nie odwiedzał Almacka od bardzo wielu lat. Podobnie jak inni mężczyźni, miał na sobie czarny frak z białą kamizelką i fularem, a do tego spodnie do kolan. Niejedna panna wydała na jego widok głośne westchnienie. Tymczasem William omiółł wzrokiem salę, skinieniem głowy pozdrowił wypatrzonych na

parkiecie kuzyna z jego uszczęśliwioną narzeczoną, a gdy wreszcie zatrzymał spojrzenie na pięknej pannie tańczącej z sir Charlesem, nikt z obecnych nie mógł żywić wątpliwości, za czyją sprawą William pojawił się tego wieczoru w klubie. Czyżby jednak było ziarno prawdy w tym, co mówiono o tych dwojgu? Czy rzeczywiście wiązał ich romans? W każdym razie jeśli sądzić po spojrzeniu, jakim lord Lampard wodził za panną Greenwood, nie należało się spodziewać, by tego wieczoru poprosił do tańca inną damę.

Całkowicie obojętny na wywołane przez siebie poruszenie, William wszedł do sali tanecznej, uwolniwszy się od lady Cowper, jednej z despotycznych patronek Almacka. Przykro mu było, że nie mógł osobiście przywieźć tu Cassandry, ale dostał akurat liścik od pana Jardine'a, który zapowiedział wizytę w pilnej sprawie o ósmej wieczorem. William scedował więc opiekę nad pannami na Edwarda.

Wrażenie, jakie wywarł na nim widok Cassandry tańczącej z sir Charlesem, zaskoczyło go niezmiernie. Odczuł nagły wybuch żądy posiadania, tym bardziej że właśnie Cassandra uśmiechnęła się do partnera. Nie ulegało wątpliwości, że miał to być rodzaj zachęty, bowiem Charles natychmiast przyciągnął partnerkę do siebie.

William poczuł się zdecydowanie niepewnie. Nie stałoby się to, gdyby z Cassandre tańczył kto inny, o Charlesie wiedział jednak dobrze, że ma słabość do miłych panien, i znał jego podstępne sposoby. Obawiał się też, że przyjaciel może z jakiegoś powodu wspomnieć o zakładzie. Jego dobry nastrój diabli wzięli.

Oparłszy się o filar, z chmurną miną obserwował tańczącą parę. Cassandra była prawdziwą perłą wśród debiutantek a uśmiechała się do swojego partnera tak, że William miał ochotę skrócić mu kark. Prawdę mówiąc, spodziewał się raczej zastać pannę Greenwood bliską znużenia, tymczasem nie ulegało wątpliwości, że jest wręcz przeciwnie: sprawiała takie wrażenie, jakby bawiła się znakomicie.

Cassandra doskonale wiedziała, że William jej się przygląda, i specjalnie bezwstydnie flirtowała z Charlesem. Kiedy taniec się skończył i partner odprowadził ją do lady Elizabeth. Cassandra dyskretnie zerknęła ku Williamowi i zauważyła, że jest bliski furii.

Tymczasem lord Lampard porzucił swoje stanowisko przy filarze i wkrótce znalazł się obok niej.

- Cieszę się, że pani tak dobrze się bawi - powiedział z naciskiem.

- To prawda, wspaniały bal - odparła z niewinną minką. Od lat nie miałam tak udanego wieczoru. Szkoda, że nie mógł pan przyjść wcześniej. Wiele pan stracił.

- To nie koniec balu. Proszę nie zapominać, że mam u pan zamówiony taniec.

Udało jej się przywołać na twarz wyraz żalu.

- Jaka szkoda, sądziłam, że pan zapomniał. Owszem, miałam zarezerwowany taniec, ale pan długo nie przychodził, więc oddałam go komu innemu. Żałuję, tym bardziej że teraz karnecik mam pełny i nic na to nie mogę poradzić.

Było widać, że William z najwyższym trudem panuje nad sobą, Cassandra nie zdażyła mu jednak powiedzieć nic więcej, bo właśnie w tej chwili podszedł do niej uśmiechnięty, niewysoki młodzieniec z rumianą twarzą i poprosił ją do tańca. Odwzajemniła jego uśmiech i nie oglądając się za siebie, wyszła na parkiet.

William patrzył za nią spode łba. Cassandra podskakiwała w rytm dziarskiego szkockiego tańca ludowego. Widział, z jakim zachwytem patrzą na nią ludzie. W pewnej chwili ich spojrzenia się spotkały i Cassandra przesłała mu triumfalny uśmiech. Zaklął pod nosem, myśląc jak najgorzej o młodocianym partnerze Cassandry. Wreszcie muzyka ucichła, więc ruszył w jej stronę, nie zdażył jednak, bo już następny młodzian zgłosił się po swój taniec.

- Nie masz dzisiaj szczęścia, Williamie - rozległ się głos sir Charlesa. - Nie zgadłbym, że cię tutaj zobaczę.

William odwrócił się gwałtownie, ale gdy spojrział na przyjaciela, niegrzeczna riposta zamarała mu na ustach. Musiał Charlesowi przyznać rację. Całkiem stracił głowę dla tej panny. Pierwszy raz w życiu zdarzyło mu się, że uczucia wzięły u niego górę nad rozumem.

- Dziś wieczorem panna Greenwood zdobędzie cały zastęp oczarowanych zwolenników - odezwał się ponownie Charles.

- Zdaje się, że masz dużą konkurencję, czemu zresztą trudno się dziwić. Panna Greenwood olśniewa wszystkich. Jest miła, dowcipna i świetnie tańczy. Wydaje mi się też, że cię unika. - Zażył szczyptę tabaki i zadał decydujący cios: - Nie rozumiem, dlaczego tak się dzieje. Czyżbyś zmienił zdanie i chciał ją uwieść?

- Pilnuj własnego nosa - burknął William.

Charles uśmiechnął się swobodnie, bynajmniej nie obrażony zachowaniem przyjaciela.

- Gdybym nie wiedział, że się nią interesujesz, sam spróbowałbym szczęścia.

- Jeśli chcesz pozostać ze mną w przyjaźni, to zapomnij, że pozwoliłeś sobie na tę uwagę.

- Zaczynasz się zachowywać jak zazdrosny osioł, Williamie - stwierdził rozbawiony Charles. - Tylko mi nie mów, że twoje zamiary wobec panny Greenwood są uczciwe. A jeśli nawet, to porzuć tę myśl jak najszybciej. Usiłuję sobie wyobrazić, co by było, gdyby gruchnęła wiadomość, że hrabia Carlow, znany libertyn, postanowił poślubić córkę medyka, pannę bez pensa przy duszy. - Przybrał swoją znużoną minę i rozejrzał się po sali. - Wieczory w Almacku wydają mi się niewiarygodnie banalne. Nie wiem, po co właściwie tu jestem. Idę pograć w karty, może do mnie dołączysz?

- Gdybym chciał grać w karty, poszedłbym do White'a, ale napiłbym się czegoś - odparł William.

- Zapomnij o tym, chyba że wybierzesz między lemoniadą a wodą pomarańczową. Niczego innego nie ma.

William pozwolił Cassandrze jeszcze na pół godziny brylowania na parkiecie, po czym podszedł do lady Monkton i powiedział, że czas jechać na Grosvenor Square. Gdy wychodzili, miał życzliwe słowo dla każdego, kto chciał z nim porozmawiać. Cassandra zaś dziwiła się bardzo, że William zdaje się wcale nie żałować straconego tańca i tego, że został przez nią całkowicie zlekceważony.

Rozdział dziesiąty

Światło płonęło we wszystkich oknach rezydencji usytuowanej przy Grosvenor Square. W wielkim, kosztownie umeblowanym salonie, utrzymanym w tonacji biało-złotej, krzesła, stoliki i kanapy ustawiono w taki sposób, żeby trzydziścioro gości mogło się podzielić na mniejsze grupki i zająć rozmową lub grą w karty. Kilku panów udało się do przyległego pokoju, aby pograć w bilard i wypalić cygaro. Wejście panien Greenwood spowodowało nagłe poruszenie, jednak gdy ujrzano razem z nimi pana domu, konwersacja i gra w karty ruszyły dalej swoim trybem.

Lady Monkton przystanęła, by powitać znajomą, pozostawiając w rękach Williama przedstawienie Emmy i Cassandry hrabinie wdowie, która siedziała w pozie królowej przy stoliku do brydża. Miała władczy wyraz twarzy i arystokratyczny nos. Gdy zauważyła zbliżających się wnuków, jej ostre rysy złagodniały.

- Cieszę się, że możesz przyłączyć się do naszej uroczystości. Lepiej późno niż wcale. William pochylił się i cmoknął ją w policzek.

- Bardzo przepraszam, babciu, jeśli kazałem ci na siebie czekać. Damy znakomicie się bawiły i trudno było je wyprowadzić z Almacka.

- To wspaniale, że miały powodzenie. Nie mogę się doczekać, kiedy poznam te dwie panny, które tak oczarowały moich wnuków.

Całkowicie nieświadoma, że tą uwagą spowodowała niemalże zakłopotanie starszej z siostr, hrabina wdowa odebrała należny jej dyg. Cassandra nie omieszkała jednak dyskretnie przesłać oburzonego spojrzenia Williamowi. Edward z dumą ujął Emmę za rękę i sam przedstawił ją babce.

Hrabina wdowa przysunęła do oczu lorgnon i zlustrowała kandydatkę od stóp do głów.

- Dobrze wybrałaś, Edwardzie - powiedziała w końcu. - Muszę pochwalić twój gust.

- Milady jest bardzo uprzejma. - Emma promieniała szczęściem.

Hrabina wdowa nie dała jednak tak łatwo się przebłagać. Spojrzała na Emmę surowo.

- Edwardowi powiedziałam już do słuchu, a teraz powtórzę tę lekcję tobie, młoda panno. Nie uznaję ucieczek, zawsze wywołują mnóstwo niesnasek i nieprzyjemności. Oboje źle postąpiliście i omal nie wywołaliście gorszącego skandalu. Cieszę się jednak, że William stanął na wysokości zadania. Jeśli nie można ukrećić łba plotkom, należy nimi odpowiednio pokierować. Jak było w Almacku? - zwróciła się do Williama.

- Zgodnie z planem - potwierdził. W duchu jednak wciąż kipiał gniewem i nie mógł się doczekać, kiedy będzie mógł się rozmówić z Cassandrą. - Młodzi narzeczeni zaskarbili sobie powszechną przychylność. Nie wątpię, że od jutra Monkton House będzie zasypywany zaproszeniami dla nich na wszystkie możliwe wydarzenia towarzyskie w Londynie.

- To wspaniale. - Hrabina odwróciła się ku kamerdynerowi, który wniósł tacę z kieliszkami. - Podaj teraz szampana, Siddons. Wzniesiemy toast za szczęście młodych. - Przeniosła wzrok na drugą pannę i również dokonała drobiazgowych oględzin. - A więc to ty jesteś Cassandrą. Wyglądasz bardzo młodo i nie brak ci urody.

Cassandra uśmiechnęła się do eleganckiej damy, choć pomyślała, że to wzbudzająca strach kobieta.

- Dziękuję za te łaskawe słowa.

Hrabina spojrzała na Williama z wyrazem pełnego ukontentowania. Ten odpowiedział ironicznym grymasem, co wprawiło Cassandrę w panikę. Odkąd opuścili Almacka, William był uosobieniem życzliwości, wiedziała jednak, że to tylko pozory.

- Przedstaw panny moim gościom, Williamie - zarządziła hrabina wdowa i podniosła karty ze stolika. - Inaczej gotowi umrzeć z ciekawości.

Lord Lampard zrećcznie prowadził je od grupki do grupki, w każdej inicjując krótką wymianę zdań. Cassandra była przekonana, że uwaga powinna się koncentrować na Emmie i Edwardzie, tymczasem odnosiła nieodparte wrażenie, że to ona budzi największe zaciekawienie.

Wreszcie powitalne ceremonie dobiegły końca i służba przyniosła szampana. Wśród śmiechów i radosnych okrzyków wzniesiono toast za młodych narzeczonych. Brzęknęły kryształowe kieliszki, którymi stukano się na szczęście.

Cassandra chciała poszukać chwili wytchnienia w garderobie dla pań, kiedy niespodziewanie stanęła twarzą w twarz z lady Lidią Lampard, żoną Marka.

- O, panna Greenwood. - Lidia uśmiechnęła się pogardliwie. - Miło panią widzieć. Miałyśmy okazję poznać się w Carlow.

Cassandra poczuła, że znów jest poddawana oględzinom. Z obojętnej twarzy Lidii trudno było cokolwiek wyczytać. Ubrana była w szaroniebieską jedwabną suknię ozdobioną brylantowym naszyjnikiem. Można było odnieść wrażenie, że ma w sobie coś z podstępного węża.

- Oczywiście, że pamiętam. Przepraszam, że musiałam wtedy tak gwałtownie zakończyć rozmowę, ale siostra źle się czuła i bardzo chciałam jak najszybciej dotrzeć do Londynu.

- Rozumiem. Przyjechaliśmy z Markiem na ślub. Mieszkamy w Greenwich, u mojej siostry i jej męża. Bez wątpienia jest pani zachwycona tym, jak potoczyły się sprawy.

- Przepraszam, ale nie rozumiem, co pani ma na myśli.

- Musiało pani ulżyć, że wszystko skończyło się tak pomyślnie.

- Jeśli chciała pani powiedzieć, że ślub ma uciszyć plotki, to ulżyło mi rzeczywiście, ale przede wszystkim cieszę się ze szczęścia Emmy i Edwarda, którzy bardzo się kochają. Moim zdaniem to bardzo dobrana para.

- Naturalnie - przyznała Lidia, choć nie wydawała się przekonana ani tym bardziej zachwycona. - Przepraszam bardzo, ale mąż mnie woła.

Cassandra skorzystała z okazji i umknęła. W garderobie spędziła mnóstwo czasu, w końcu jednak musiała wrócić do salonu i wtedy pojawił się przy niej William. Wystarczyło spojrzeć na jego minę, by opadły ją złe przeczucia.

- Jeśli można, Cassandro, chciałbym zamienić dwa słowa.

- Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, Williamie, wolałabym porozmawiać ze wszystkimi - odparła chłodno.

- Nalegam. - Chwycił ją za łokieć.

- Proszę mnie puścić!

- Ciszej - syknął, ale zamiast uwolnić jej łokieć, wprowadził ją do przyległego pokoju i zamknął za sobą drzwi. - Czy dziś wieczorem celowo próbowała mnie pani upokorzyć? - spytał. - Proszę tylko nie twierdzić, że brak pani słów. Flirtując z młodzieniaszkami, miała pani wiele do powiedzenia. Niewątpliwie znajduje pani upodobanie, w różnych przyjemnościach, a jedną z nich jest upokarzanie mnie. Nawiasem mówiąc, to się nie udało. Jestem zbyt doświadczony i zahartowany, żeby dać się sprowokować niedoświadczonej panie. Chcę jednak zapytać, czy musiała pani wybrać taki małostkowy sposób, żeby pokazać mi, że moje zaloty nic dla niej nie znaczą?

Reprimenda była naturalnie zasłużona, Cassandra jednak nie zachowała się tak bez powodu, więc nie odczuwała wyrzutów sumienia.

- Niech pan nie waży się wspominać o upokarzeniu - odparła gniewnie. - Pan zdaje się sądzić, że jest najważniejszy. Czego pan się spodziewał? I tak został pan potraktowany bardzo łaskawie.

- Czyżby? Jestem innego zdania.

William postąpił w stronę Cassandry, ale ona się cofnęła.

- Niech pan nie próbuje mnie dotykać. Nienawidzę pana!

William wyciągnął ramiona i zanim zdążyła się zorientować w sytuacji, już była w jego objęciach. Próbowała się wyrwać, ale nieskutecznie. Całował ją brutalnie, jakby chciał ją ukarać, odniósł jednak wręcz odwrotny skutek. Gdy zamknął dłoń na jej piersi i zaczął ją drażnić, ciało Cassandry odpowiedziało niemal natychmiast. Czując to, William uniósł głowę i spojrzał jej w oczy z sarkastycznym uśmiechem.

- Niech pani mi powie, że nienawidzi mojego dotyku, a wtedy może zastanowi się pani, kiedy następnym razem zechce mnie publicznie upokorzyć.

Zawstydzona samowolą swojego ciała Cassandra wyrwała się z objęć, cała czerwona na twarzy.

- Pan upokorzony? Jak ma pan czelność coś takiego mówić? Ty żaloszny hipokryto! - Z satysfakcją odnotowała, że udało jej się przebić przez maskę obojętności Williama; na jego twarzy malowało się zdumienie. - Od samego początku usiłuje mnie pan poniżyć w wyjątkowo perfidny sposób, a jednak to mnie oskarża o upokarzanie. Proszę mi wierzyć, Williamie, że to, co spotkało pana dziś wieczorem w Almacku, jest niczym w porównaniu z tym, co pan zaplanował wobec mnie. Poza tym jak pan śmie, będąc największym łajdakiem w Londynie, prawić mi kazania o przyzwoitym zachowaniu? Pan przecież nie zasługuje nawet na miano dżentelmena!

William przyglądał się temu z lekko kpiącą miną, mocno zaskoczony tak gwałtownym wybuchem Cassandry. Wreszcie jeszcze raz spróbował ją objąć, tym razem jednak napotkał wściekły opór.

- Niech pan trzyma ręce przy sobie! Jeszcze nie skończyłam. Nie jestem aż taka dumna, by nie przyznać, że początkowo uległam pańskiemu urokowi. To było piękne, zdawało mi się, że nigdy nie przeżyłam niczego wspanialszego, a teraz umieram ze wstydu... Bez wątpienia przyzwyczał się pan do tego, że gdziekolwiek się pokaże, łatwo mu wzbudzić zachwyty płci przeciwnej - stwierdziła oskarżycielsko. - Uległam tak samo jak wiele innych niczego niepodważających kobiet, którymi dla kaprysu pan się zainteresował. Pozwoliłam się zauroczyć, puściłam wodze wyobraźni, a pan nie czuł do mnie nic. To wiem.

- Skąd?!

Zaskoczenie Williama uświadomiło Cassandrze, że popełniła błąd. Jednak była tak wściekła, że nie potrafiła już się powstrzymać.

- Sama słyszałam! W Carlow Parku nazajutrz po naszym wieczornym spotkaniu. Popełniłam niewybaczalną naiwność, nie mogłam się doczekać, kiedy znowu pana zobaczę. A pan siedział w bibliotece z sir Charlesem Grishamem. Nie chciałam przeszkadzać, zatrzymałam się przed progiem. I słyszałam każde słowo, które tam padło. Pamięta pan tę rozmowę, milordzie?

- Pamiętam - przyznał cicho. Zaczynał rozumieć, co się stało. - Jak wiele pani słyszała?

- Dostatecznie dużo. Wiem o waszym haniebnym zakładzie... Jeśli nie zdoła mnie pan uwieść do końca sezonu, sir Charles wzbogaci się o konia. O konia! Tylko tyle jestem warta?

- Cassandro! Ubolewam, że słyszała pani tę rozmowę i proszę mi wierzyć, że szczerze żałuję. Daję pani słowo, że nigdy nie chciałem jej skrzywdzić.

- Kłamca! - krzyknęła z pogardą. - Pańskie słowo nic dla mnie nie znaczy!

Poblady William, targany wyrzutami sumienia, próbował załagodzić sytuację.

- To było z mojej strony bezmyślne i okrutne. Rozumiem, jak głęboko panią zraniłem.

- Owszem, zranił pan - przyznała. - Nie ma dla pana usprawiedliwienia. Na szczęście wiedziałam, co pan zamierza, i dzięki temu potrafiłam się bronić. Bóg raczy wiedzieć, jak bardzo skompromitowałabym się, gdybym nie poznała prawdy o tym ohydny zakładzie. Zrujnowałby mnie pan, odebrałby mi godność bez najmniejszych względów dla moich uczuć, a potem rzucił jak zwykłą dziewczkę. Podły rozpustnik! Nie powinnam się zresztą dziwić. Zachował się pan na miarę swojej reputacji. - Odwróciła się do niego plecami i ruszyła do drzwi, jakby nie mogła znieść jego widoku.

- Cassandro... - zaczął William.

Zatrzymała się i nagle znów stanęła z nim twarzą w twarz.

- Czym niby byłam, Williamie? - spytała z gryzącą ironią, dźgając go palcem w pierś. - Smacznym kąskiem, na który miał pan apetyt? Naiwną gąską zaspokajającą potrzeby przez jedną albo dwie noce? Musiał pan świetnie się bawić, prowadząc ze mną tę obrzydliwą grę. A teraz przyszło rozczarowanie, bo przegrał pan zakład.

Ani jeden mięsień nie drgnął w twarzy Williama, tylko oczy mu pociemniały.

- Czy wysłucha pani, co mam do powiedzenia?

- Nie, nie jestem tym zainteresowana. Nigdy nie będę w stanie panu wybaczyć. Niech pan mnie posłucha, Williamie - powiedziała, pochylając się jeszcze bardziej ku jego twarzy. - Krzywda, jaką mi pan wyrządził, będzie nas dzielić już zawsze. Żądam, aby od tej pory zachowywał pan należny dystans. Ewentualne kontakty w przyszłości będą krótkie, publiczne i pozbawione akcentów osobistych. Ślub Emmy i Edwarda oznacza, że nie możemy całkiem uniknąć spotkań, więc w takich sytuacjach będziemy się zachowywać uprzejmie, zgodnie z zasadami etykiety. Ale to wszystko. A teraz wrócę do reszty towarzystwa, zanim ktoś zacznie mnie szukać. Stanowczo nie życzę sobie, aby odkryto nasze sam na sam, co bez wątpienia wywołałoby kolejny skandal.

Z dumnie uniesioną głową doszła do drzwi. Na progu przystanęła i jeszcze na niego zerknęła.

- Nie lubię być wystawiana na pośmiewisko, ale pan wyraźnie czerpie przyjemność z wprawiania ludzi w zakłopotanie. Mam szczerą nadzieję, że natknie się pan jeszcze na kogoś, kto da panu lekcję. - Z trzaskiem zamknęła za sobą drzwi.

Zgnębiony William oparł się o gzyms kominka i zapatrzył w ogień. A więc o to chodziło przez cały czas. Teraz wszystko rozumiał.

Znienawidziła go i miała ku temu powód. William cierpiał bardziej, niż gdyby zraniono go na wojnie. Uświadomił sobie jednak, że Cassandra nie mogła podsłuchać całej rozmowy w Carlow Parku, bo wtedy wiedziałyby, że zakład z Charlesem został zakończony. Tyle że nie mógł jej tego powiedzieć, bo i tak nie uwierzyłyby w ani jedno słowo. Musiał znaleźć inny sposób odkupienia win i nie ulegało wątpliwości, że będzie to niesłychanie trudne.

Tymczasem Cassandra wróciła do salonu z uśmiechem na twarzy. William pojawił się kwadrans później. Omiótł wzrokiem zebranych, na chwilę zatrzymał go na Cassandrze i znikł w pokoju bilardowym.

Cassandra zauważyła, że w drugim końcu pokoju Lidia rozmawia z lady Elizabeth, co nie przeszkodziło jej wodzić nienawistnym spojrzeniem za Williamem.

Przez resztę wieczoru Cassandra nieznośnie się męczyła, ale dopiero gdy przyjechała do Monkton House i położyła się do łóżka, wróciła myślami do konfrontacji z Williamem. Była święcie przekonana, że z jego strony nie należy się spodziewać szczerzej skruchy. W końcu wtuliła twarz w poduszkę i się rozplakała.

Starła się unikać roztrząsania uczuć, jakie żywi do Williama, teraz jednak nie mogła przed tym uciec. Nie było sensu zaprzeczać, że ma do niego wielką słabość. Dni spędzone w Carlow Parku przed podsłuchaniem tej nieszczęsnej rozmowy wspominała z wielką tęsknotą. Wydawało jej się, że znalazła coś bardzo cennego. A ile wyrozumiałości wykazał William, gdy słuchał, jak opowiadała mu o swoich podopiecznych... Nie powinna zapominać, że uwodziciel pozostaje na zawsze uwodzicielem.

Edward z Emmą zyskali niezwykłą popularność w towarzystwie, mogli wręcz aspirować do miana najlepiej znanych narzeczonych Londynu. Kolumny towarzyskie w gazetach były pełne wiadomości o nadchodzącym ślubie, a z gorszydzieli, jakimi byli po ucieczce, stali się nagle świetnie dobraną parą zakochanych.

Lady Monkton z entuzjazmem zajęła się przygotowaniami do ślubu, które wymagały zmobilizowania armii służących i modniarek. Harriet, która większość czasu poświęcała próbom ratowania ochronki, z ochotą oddała inicjatywę w ręce kuzynki. Emma wprowadziła się do Monkton House, gdzie zawsze mogła liczyć na cenne rady ciotki Elizabeth w sprawach zawiloci życia towarzyskiego. Dom tłumnie odwiedzali goście, a zaproszenia nadchodziły nieustannie.

Korzystając z tego, że Emma skupiła na sobie całe zainteresowanie, Cassandra odsunęła się w cień i starała się wypełniać swoje dni tyłoma zajęciami, by nie mieć za dużo czasu na myślenie. William dał lady Elizabeth wolną rękę w sprawie przygotowań, więc wcale nie bywał w Monkton House, a Cassandra miała nadzieję, że tak pozostanie. A jednak czuła się nieszczęśliwa.

Podobnie jak Harriet, dużo czasu spędzała z podopiecznymi. Nie brała udziału w przyjęciach, mimo że dostawała wiele zaproszeń, nie przyjmowała też wizyt adoratorów, którzy próbowali się z nią zobaczyć po wieczorze w Almacku. Bywała za to z ciotką Elizabeth i Emmą w teatrze i na wieczorkach muzycznych. Jeździła powozem do Hyde Parku, zdarzało jej się też wybrać razem z Emmą, pod opieką jednego z lokajów, na przejażdżkę wierzchem. Czuła się dość pewnie w siodle i nabrała zaufania do koni.

Cieszyły ją też spacerunki po mieniących się niezliczonymi barwami kwiatów londyńskich ogrodach, a zwłaszcza po Vauxhall. Nie brakowało wypraw po zakupy na Bond Street, Strand lub do Covent Garden, a nawet do St. James's. Przy głównej ulicy tego rejonu mieściły się znane kluby dżentelmenów, White's, Brooks's i Boodle's, naturalnie niedostępne dla dobrze urodzonych panien.

Lady Monkton lubiła wolno jeździć tamtędy odkrytym powozem, żeby dandysowaci młodzieńcy w kosztownych strojach, siedzący w sennych pozach w oknach wykuszy, mogli z dala podziwiać jej podopieczne.

Było pogodnie, lecz parne popołudnie, gdy damy wybrały się na rundkę dookoła Hyde Parku, ulubionego miejsca spotkań socjety. Kawalkada eleganckich powozów i mężczyzn dosiadających rasowych, wspaniałych koni poruszała się w bardzo umiarkowanym tempie. Był to jeden ze sposobów na to, by pokazać się i jednocześnie zostać zauważonym, zaprezentować nową kreację i spotkać innych członków towarzystwa.

Cassandra z Emmą siedziały naprzeciwko ciotki. Gdy stangret zatrzymał powóz, aby lady Monkton mogła zamienić kilka zdań ze znajomą, Cassandra powiedziała:

- Elegancko tutaj, nie sądzisz Emmo?

- Całkiem, całkiem - przyznała Emma, mimo że śliczna, kolorowa parasolka właściwie zasłaniała jej widok.

Cassandra zatrzymała wzrok na powozie z trzema żywiołowymi pannami, temperowanymi przez czujną przyzwoitkę, po czym przeniosła go na wysokiego mężczyznę na koniu. Nagle serce zabiło jej mocniej. Mężczyzna pochłonięty rozmową z towarzyszącym mu znajomym zdawał się zupełnie nie zwracać uwagi na otoczenie. Ona jednak wpatrywała się w niego jak urzeczona. Inni ludzie nagle stracili twarze, widziała już tylko jego - Williama.

Widząc niewyraźną minę siostry, Emma przyjrzała jej się z uwagą.

- Dobrze się czujesz? - spytała z troską.

Cassandra odwróciła wzrok. Nie mogła przecież pozwolić, żeby siostra domyśliła się, jak piorunujące wrażenie robi na niej ten irytujący człowiek.

- Całkiem dobrze. Wolałabym jednak, żebyśmy już ruszyli.

Nieprzekonana tym wyjaśnieniem Emma zerknęła w tę samą stronę, w którą przed chwilą spoglądała Cassandra. Ujrawszy lorda Lamparda, doszła do wniosku, że już rozumie, co się stało.

- Dlaczego z takim uporem unikasz lorda Lamparda? - spytała.

- Wcale tego nie robię - odparła sztywno Cassandra. - Po prostu nie sprawia mi przyjemności jego towarzystwo.

- Czyżbyś jeszcze nie zmieniła zdania na jego temat?

- Nie. Miałam absolutną rację we wszystkich oskarżeniach pod jego adresem. Jest uwodzicielem i łobuzem, nie chcę mieć z nim nic wspólnego.

- Uwodzicielem pewnie jest, ale to właśnie jemu ja i Edward zawdzięczamy możliwość wzięcia ślubu. Nigdy mu tego nie zapomnę. Edward twierdzi, że tak naprawdę to bardzo honorowy człowiek. Zważywszy na nasz zbliżający się ślub, prędzej czy później i tak będziesz musiała z nim porozmawiać.

- Niech więc to nastąpi później.

Emma odniosła się do tej wypowiedzi nader sceptycznie.

- Kiedy byliśmy w Surrey, spędzaliście razem dużo czasu. Zdawało mi się, że zaczynacie znajdować porozumienie. Czy zaszło coś, co spowodowało tę zmianę?

- Nie. - Cassandra uciekła spojrzeniem w bok, zadowolona, że pochłonięta rozmową ciotka nie zwraca na nią uwagi.

- Cassy - szepnęła Emma, ściskając ją za ramię. - Czym zawinił lord Lampard? Przecież widzę, że musiało coś między wami zajść. Chyba możesz mi powiedzieć.

- Nic nie zaszło, Emmo.

- Nieprawda, masz to wypisane na twarzy - nie ustępowała siostra.

- No więc dobrze - odparła czerwona na twarzy Cassandra. - jeśli musisz wiedzieć, to lord Lampard mnie pocałował - wyjawiała, zniższy głos. Wolała nie myśleć, co stałoby się, gdyby jej młodsza siostra poznała wszystkie fakty, z upokarzającym zakładem włącznie.

Emma tymczasem zrobiła wielkie oczy.

- Pocałował cię? I nie podobało ci się?

- Nie... tak... Och, nie wiem, Emmo. Nie chcę zaangażować się w tę znajomość. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby unikać tego człowieka.

- Dziś na pewno ci się to nie uda, bo już nas zauważył i właśnie podjeżdża. Czy wiesz, kto mu towarzyszy? Wydaje mi się znajomy, ale nie mogę skojarzyć, gdzie już widziałam tego człowieka.

- To kuzyn Williama, Mark Lampard. Spotkałaś go przelotnie, kiedy wyjeżdżałyśmy z Carlow Parku, a potem na Grosvenor Square dwa tygodnie temu.

- Ach, już pamiętam. Jest sztywny, jakby kij połknął, i ma żonę, która zadziera nosa. Mimo wszystko muszę chyba spróbować ją polubić, skoro mamy znaleźć się w jednej rodzinie.

William z kuzynem włączyli się do wolno posuwającej się karawany i w końcu zatrzymali się przy powozie panien Greenwood. Sierść ich paradnych wierzchowców lśniła w słońcu. Widok Cassandry po dwóch tygodniach rozłąki wywarł na Williamie potężne wrażenie. Wyglądała cudownie, zresztą jak zawsze, a jego uczucie nie osłabło ani trochę.

Nie dał jednak poznać po sobie, jak trudne były dla niego ostatnie dni, nie okazał też zaskoczenia spotkaniem. Cassandra z wielką starannością wybrała kreację na przejażdżkę.

Miała na sobie suknię w intensywnym odcieniu różu. Włożywszy ją, przeżyła zresztą chwilę wahania, czy to odpowiedni wybór, niesłusznie jednak, róż sprawił bowiem, że jej twarz wydawała się mieć lekkie rumieńce. Spod kapelusika wystawały jej złocisto-miodowe pukle.

- Witam panią, Cassandro. Mam nadzieję, że dobrze się pani miewa.

- Dziękuję, jak najlepiej - odrzekła beznamiętnie.

Zapadło niezręcznie milczenie, gdy zastanawiała się, co jeszcze mogłaby dodać, ale lord Lampard odwrócił się i rozpoczął konwersację z lady Elizabeth. Znajoma już odjechała, więc lady Monkton mogła skupić na nim całą uwagę.

- Co za przyjemna niespodzianka, lordzie Lampard.

- Może pamięta pani mojego kuzyna, barona Marka Lamparda. Przyjechał z żoną do Londynu na ślub Edwarda.

- Miło mi znowu pana spotkać - powiedziała uprzejmie lady Monkton.

Mark skłonił głowę.

- Z wzajemnością. Ufam, że przygotowania do ślubu postępują zgodnie z planem.

- Istotnie. Wszyscy niecierpliwie wyczekujemy tego szczęśliwego dnia. Pan naturalnie zna moje kuzynki, Cassandrę i Emmę, która wkrótce będzie oblubienicą.

Mark zmierzył chłodnym spojrzeniem starszą siostrę i zatrzymał je po chwili na młodszej.

- Miałem już tę przyjemność.

- Jak czuje się pańska babka? - spytała uprzejmie lady Monkton.

- Dziękuję, dobrze - odrzekł William. - Koniecznie musi pani nas odwiedzić i wtajemniczyć ją w plany związane ze ślubem. Na pewno sprawiłoby jej to przyjemność. Naturalnie zaproszenie dotyczy wszystkich pań - dodał, zerkając na Cassandrę.

- Będzie nam niezwykle miło.

Podczas gdy William konwersował z lady Elizabeth, Cassandra obserwowała, co się dzieje dookoła. Mijający ich ludzie jawnie przyglądali się lordowi Lampardowi, on jednak zdawał się odnosić do tego całkiem obojętnie. Elegancki granat jego surduta kontrastował z szarym atłasem kamizelki i śnieżną bielą fularu. Gdy spoczął na niej jego wzrok, z najwyższym trudem zdołała usiedzieć na miejscu. Najchętniej uciekłaby z powozu.

Wolno ruszyli. Ponieważ William nadal rozmawiał z lady Monkton i Emmą, dostosował się do tempa powozu i jechał przy jego burcie.

- Chyba nie miałem jeszcze okazji przeprosić pani, Cassandro, z powodu niedotrzymanej obietnicy. Przykro mi, że do Almacka przyszedłem tak późno.

- Nawet nie pamiętam, czy pan przepraszał, czy nie - odparła, unikając jego wzroku. - Cokolwiek pana zatrzymało musiało być ważne i bardziej interesujące niż towarzyszenie niemądrym debiutantkom.

- Bardziej interesujące nie, ale sprawa istotnie była ważna.

- To mnie nie dotyczy - odparła. - Niech pan jedzie swoją drogą i nie męczy mnie swoimi sprawami.

- Proszę przestać, Cassandro - skarcił ją cicho. - Chciał bym porozmawiać z panią, nie odbierając przez cały czas oznak jej niezadowolenia. To zajmie tylko chwilę, jeśli może mi ją pani poświęcić. Sprawa mimo wszystko pani dotyczy ponieważ jest pani jedyną osobą, która wie o zamachach na moje życie.

- Czy coś się stało? Była kolejna próba?

- Uspokój się, moja miła - szepnął cicho, poruszony jej troską. - Mam spokój, odkąd zastrzeliłam tego łotra na drodze do Guildford. W wieczór balu pan Jardine, prywatny detektyw, chciał się ze mną pilnie spotkać. Może zainteresuje panią wiadomość, że ten zabity nazywał się Daniel Sharp.

- Skąd on to wie?

- Władze znalazły konia w pobliżu ciała, a w jukach był list z jego nazwiskiem. Jest więc punkt zaczepienia.

- Czy to nazwisko coś panu mówi?

- Absolutnie nic. Cassandra chciała przestrzec Williama, żeby na siebie uważał, ale właśnie zwróciła się do niej Emma, więc zdążyła tylko powiedzieć:

- Dziękuję, że dał mi pan znać.

Jeszcze tego samego dnia wróciła do Kensington, planując, że zajrzy do ochronki. W domu czekała na nią matka, która właśnie stamtąd wróciła i chciała się podzielić dobrą nowiną. Pojawiła się szansa na uratowanie przedsięwzięcia. Doktor Brookes odbył spotkanie z adwokatem darczyńcy, który tymczasem chciał pozostać anonimowy. Człowiek ten musiał być pod dużym wrażeniem ich działalności, zaofiarował bowiem hojny datek i obiecał przekazywać kolejne co pół roku. Wysokość sumy była tak znacząca, że pozwalała myśleć o lepszej siedzibie i w przyszłości o otwarciu sierocińca.

Cassandrze kamień spadł z serca. Cieszyła się też, że znów widzi matkę uśmiechniętą i ożywioną. Można było mieć nadzieję, że taki hojny darczyńca da przykład następnym. Dopiero jadąc do ochronki, Cassandra zaczęła się zastanawiać, kto mógłby się okazać tajemniczym dobroczyńcą. W pewnej chwili poraziła ją wstrząsająca myśl. Już wiedziała, choć naturalnie nie znała żadnego faktu, który by tę wiedzę potwierdzał. Co za zdradziecka sztuczka! Przejęta zgrozą poleciła Cieniowi zmienić kierunek jazdy i natychmiast udać się na Grosvenor Square.

Została wpuszczona, a Siddons, który pamiętał, że poprzednio właśnie ta młoda dama wdarła się do domu bez pozwolenia, przyglądał jej się z wielką nieufnością. Zaprowadził ją do salonu i polecił poczekać, aż zawiadomi jego lordowską mość. Gdy William zszedł i zastał ją przemierzającą pokój tam i z powrotem, a do tego zobaczył jej minę, pojął, że sprowokował wybuch wulkanu.

- Cassandro, co za miła niespodzianka. Czemu zawdzięczam tę wizytę?

Zatrzymała się tuż przed nim.

- Proszę nie sądzić, że to jest wizyta towarzyska - oznajmiła. - Chcę tylko zapytać, czy to możliwe, że nie rozumiał pan ani słowa z tego, co powiedziałam dwa tygodnie temu? Czyżby był pan i głuchy, i głupi? Jaki człowiek posunie się do tego, by łożyć pieniądze na sieroty w przeświadczeniu, że wciągnie w ten sposób do łóżka kobietę?

Jeśli nawet się zdziwił, to tego nie okazał. Przysiadłszy na krawędzi stołu, przyglądał jej się obojętnie, z rękami skrzyżowanymi na piersi.

- Spodziewałem się, że wkrótce odkryje pani tożsamość darczyńcy.

- Nie było to trudne. A więc pan nie zaprzecza? Wzruszył ramionami.

- Jak mógłbym, skoro pani wykazuje tak niezbitą pewność. Nie ma jednak powodu, żeby od razu czuć z tego powodu urazę, Cassandro. Myślałem, że będzie pani zadowolona. Nie może pani zaprzeczyć, że pomagam.

- Wyłącznie z niskich pobudek. Chce mnie pan uwieść.

- To w pani ustach te pobudki stają się niskie - odparł z irytującym spokojem William.

- Bez wątplenia dlatego, że po prostu takie są. Odkąd się znamy, ani przez chwilę nie był pan ze mną uczciwy. Z bezwzględnym wyrachowaniem stara się pan wciągnąć mnie do łóżka. Nie będę pańską zabawką. Dzięki Bogu, że w porę się zorientowałam.

William wiedział, że wkroczył na bardzo grząski grunt.

- Ze wszystkich sił dążę do poprawy.

Najchętniej spoliczkowałyby go soczyście za ten głupkowaty uśmiech.

- To w pana przypadku nierealne. Nie obchodzą mnie pańskie dobre uczynki.

Nie wydawał się obrażony tym stwierdzeniem. Jego twarz nie zmieniła się ani na jotę.

- Nie tak dawno opowiadała mi pani, że jej marzeniem jest otworzyć sierociniec.

Dobrze pamiętam. Pani marzenie może się teraz spełnić, więc proszę już nie zabijać mnie wzrokiem, Cassandro. Czyżby była pani zbyt dumna i uparta, aby przyjąć taki gest?

Myślałem, że chodzi o coś więcej niż o dumę i pieniądze.

- Ma pan rację - burknęła. - Chodzi o dzieci.

- Życzy sobie pani, żebym wycofał moją propozycję? Po to pani przyszła?

Przyglądał jej się niczym nauczyciel, cierpliwie znoszący nielogiczne rozumowanie ucznia. Im dłużej to trwało, tym bardziej miała ochotę kopnąć go w goleń.

- Niech pan idzie do diabła, Williamie Lampard. Doskonale pan wie, że decyzja nie należy do mnie. To mama i doktor Brookes zajmują się finansami, a oni są wniebowzięci pańską szlachetnością. Poza tym, jak mogłabym odebrać szansę dzieciom? Nie podoba mi się jednak sposób, w jaki wkrada się pan w łaski mojej rodziny.

Na stojące przed nim uosobienie gniewu William spoglądał z niemalym podziwem. Z drugiej strony, nie spodziewał się aż tak gwałtownej reakcji.

- Sądziłem, że ze względu na dzieci będzie pani zadowolona - powiedział spokojnie.

- Zadowolona? Doprawdy niespotykany łajdak z pana! Jestem zadowolona, że dzieciom nie będzie na niczym zbywało, to jasne, wolałabym jednak, by pieniądze pochodziły z innego źródła. Poniżej mnie myśl o tym, iż mogłabym być pańską dłużniczką.

- Żebracy nie mają wyboru - stwierdził.

- To niestety prawda.

- Dlaczego myśl o tym, że chcę finansować pomoc dla dzieci wzbudza u pani taki gniew?

- Ponieważ znam pański motyw. Niech pan nie próbuje mnie obrażać, twierdząc, że robi to dla dzieci, bo mu nie uwierzę.

William popadł w zadumę.

- Bardzo mi przykro to słyszeć - powiedział w końcu. - Prawda jest właśnie taka.

Przyszedł czas, żebym zrobił coś pożytecznego, a ten cel niewątpliwie jest szlachetny. Poza tym mam bardzo dużo pieniędzy, stać mnie na taki gest.

- A jaką cenę ja za to zapłacę? Cokolwiek pan twierdzi, wiem swoje. Pan nigdy nie robi niczego bez powodu. Ile czasu minie, nim zażąda pan zapłaty?

- Do diaska, Cassandro! - krzyknął, nie mogąc już zapanować nad zniecierpliwieniem.

- Nie chcę, żeby czuła się pani wobec mnie zobowiązana!

- I wcale tak się nie czuję. Nie jestem panu nic winna i nic od niego nie wezmę.

William ciężko westchnął i odgarnął włosy z czoła.

- Ależ pani jest uparta, Cassandro.

- Pan nawet nie ma pojęcia, jak bardzo potrafię być uparta. Na razie niewiele pan się o tym dowiedział.

- Czy zawsze kpi pani ze zdrowego rozsądku?

- Oho! Tak pan nazywa to, że nie chcę ulec naciskom i pochlebstwom i znaleźć się w pańskim łóżu? To pan kpi ze zdrowego rozsądku.

- Nie taki jest mój cel.

- Nie? Wobec tego zakład, który pan zawarł, był pozbawiony sensu.

- Niech więc pani mnie poślubi.

William śledził jej reakcję spod przymrużonych powiek. Cassandra przez chwilę pozostawała w osłupieniu.

- Poślubić pana? Nigdy - powiedziała w końcu.

- Szkoda. Oznacza to, że nie ma końca moich mąk. Czy ma pani pojęcie, że sam jej widok sprawia mi w tej chwili ból?

Zniżył głos i Cassandra musiała uzbroić się w niemały zasób złości, żeby zachować obojętność wobec jego zmysłowego brzmienia.

- A to co znowu? Czyżby wciąż było panu żal przegranego zakładu, milordzie? A może po naszej rozmowie podnieśliście stawki z sir Charlesem? Ostrożnie, Williamie, bo straci pan drugiego konia - zakpiła. - Jeszcze trochę i stajnie pana Grishama będą pełne koni z Carlow Parku.

- Ale ja chcę panią poślubić.

Potraktowała to jako żart. Niewątpliwie uznał, że inaczej nie zbije jej z tropu.

- Tylko że ja tego nie chcę!

- Czy nie przemawia do pani możliwość zostania hrabiną?

Cassandra dumnie uniosła głowę.

- Nie poślubiłabym pana, nawet gdyby obiecał mi, że zostanę królową Anglii. Nie mówmy już o tym. Wystarczająco skomplikował pan sytuację naszej placówki - oświadczyła i ruszyła do drzwi.

William ściągnął brwi. Zauważył bowiem, że wściekła Cassandra jest mimo wszystko bliska łez.

- Jeszcze jedno.

Przystanąła, choć coś w tonie jego głosu zabrzmiało bardzo niepokojąco. Odwróciła się z nieufną miną.

- Spędziłem ostatnio trochę czasu w Westminsterze, a ściślej mówiąc, w parlamencie. Na pewno ucieszy panią wiadomość, że udało mi się uzyskać pewne poparcie rządowe dla pani projektu.

Pierwszy raz od chwili przestąpienia progu tego domu Cassandra straciła mowę. Wpatrywała się w Williama i zupełnie nie wiedziała, co powiedzieć.

- Aha, i jeszcze jedno - dodał, przypierając władczą pozę. - To wszystko zrobiłem dla pani. Nie powstrzymam się przed niczym, byle panią zdobyć. Proszę mi wierzyć.

Cassandra była wstrząśnięta. Ze łzami w oczach opuściła dom przy Grosvenor Square.

Wracając do Kensington, Cassandra próbowała dojść do ładu ze swymi uczuciami. Wciąż była wściekła, czuła się też oszukana, doszła więc do wniosku, że zrezygnuje z odwiedzin u podopiecznych. Prawdę mówiąc, nie miała do tego głowy. Niestety, cała jej determinacja nie na wiele się zdała. Im bardziej starała się odsunąć od siebie myśli o Williamie, tym silniej dręczyły ją wspomnienia jego pocałunków. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że jej postanowienie jest martwe.

Przez następne dni Cassandra była głęboko nieszczęśliwa. Wręcz obsesyjnie rozmyślała o Williamie. Pierwszy raz zdarzyło się, że gdy czytała książkę, w ogóle nie wiedziała, jakie znaczenie mają słowa, po których wodziła wzrokiem. Gdy była w towarzystwie, zamiast konwersacji słyszała zupełnie inny głos. Ten stan wydawał jej się żalony, ale nie widziała dla siebie ratunku.

Rozdział jedenasty

Sezon dobiegał końca i wkrótce niemal wszyscy mieli wyjechać z Londynu do wiejskich posiadłości. Wreszcie przyszedł długo wyczekiwany dzień i spowita w chmurę koronek Emma przeszła główną nawą kościoła do ołtarza, gdzie czekał na nią jej ukochany Edward. Oboje z przejęciem złożyli przysięgę małżeńską, a pierwszą druhną była naturalnie Cassandra.

Przed wejściem do kościoła, gdy zdenerwowana Cassandra poprawiała siostrze tren, ta szepnęła:

- Ty będziesz następna. Wiem to na pewno.

Cassandra zerknęła na nią powątpiewająco. Williama nie widziała od dwóch tygodni, czyli od dnia, gdy w gniewie opuściła dom przy Grosvenor Square. Teraz stał przy panu młodym, ubrany w wytworny ciemnoniebieski frak. Przez całą ceremonię miała świadomość, że śledzi ją wzrokiem. Nie mogła jednak zdobyć się na to, by odwzajemnić spojrzenie Williama. Bała się, że w jednej chwili zorientuje się, jak bardzo za nim tęskni.

Gdy ceremonia dobiegła końca, Harriet i Cassandra ocierając chusteczkami łzy, patrzyły, jak oblubieńcy ruszają ku drzwiom kościoła między zatłoczonymi rzędami ławek. Wkrótce ich śladem przeszli zebrani w kościele goście. William znikł i Cassandra zobaczyła go ponownie dopiero na uczcie weselnej w Monkton House.

Przyjęcie było niezwykle wystawne. William wywiązywał się z obowiązków pierwszego drużby z typową dla siebie niewymuszoną elegancją. Toczył błyskotliwe konwersacje i zdawał się zachwycony względami dam, które bezwstydnie z nim flirtowały. Przyglądająca się temu z daleka Cassandra nie mogła opanować oburzenia.

Stopniowo jej cierpliwość zaczęła się wyczerpywać. William ani razu do niej nie podszedł, zupełnie jakby nie istniała. Może skoro przegrał zakład, stracił dla niej całe zainteresowanie, pomyślała. Mimo że jej nastrój daleki był od dobrego, starała się z wdziękiem wypełniać zadania drużby.

William wciąż miał żywo w pamięci ostatnie spotkanie z Cassandrą, postanowił więc do niej nie podchodzić, póki nie będą mieli okazji porozmawiać na osobności. Zauważył zresztą, że unika jego spojrzeń, co oznaczało, że albo się boi, albo wciąż jest zła. W różowej atlasowej sukni, z bukiecikiem i dopasowanymi do niego białymi różami wplecionymi we włosy emanowała jeszcze większym urokiem niż zwykle.

W końcu goście zaczęli wstawać od stołu i przechodzić do sali balowej. Edward wyprowadził oblubienicę na środek parkietu. Potem do tańca przyłączyli się inni. Również Cassandra na brak partnerów nie mogła narzekać. W przerwie, gdy poszła czegoś się napić, w swoim pobliżu wyczuła obecność Williama - poznała zapach jego wody kolońskiej.

- Niech pani ze mną zatańczy.

Odwróciła się i ujrzała znajomy leniwy uśmiech.

- Nie sądzę, aby było to rozsądne.

- Nic z tego, co robimy, nie jest rozsądne. Chodźmy na parkiet, wywiązałem się już ze wszystkich obowiązków tanecznych z wyjątkiem jednego.

- To znaczy?

- Nie tańczyłem z pierwszą druhną. Czy zamierza mi pani odmówić? - spytał wyzywająco. - A może nie widzieliśmy się tak dawno, że mnie pani nie poznaje?

Duma podszeptowała Cassandrze, żeby okazać mu pogardę, ale serce doradzało co innego.

- Może nie mam wśród pani adoratorów najwyższych notowań, ale na pewno jestem najbardziej wytrwały, więc niech pani nawet nie myśli o odmowie. Chodźmy, Cassandro. Raz już otarliśmy się o skandal, proszę więc nie dawać ludziom powodu do następnego, zostawiając mnie z niczym. Wszyscy na nas patrzą.

Ujął ją za rękę i objął w talii do walca. W Almacku wciąż walców nie tańczono, uważano bowiem kontakt między partnerami w tym tańcu za nazbyt śmiały. Na przyjęciu weselnym obowiązywały inne zasady. William prowadził Cassandrę z pewnością wprawnego tancerza, a ona podążała za jego ruchami z naturalnym wdziękiem.

- Mówiłem poważnie, Cassandro.

- Proszę przypomnieć, w czym rzecz.

- Nie pozwolę pani odrzucić moich oświadczeń.

Odchyliła się tak, by lepiej widzieć jego twarz.

- Chce mi pan wmówić, że to nie był żart?

- Nigdy nie powziąłem bardziej poważnych zamiarów. Żywię nadzieję wkrótce przekonać panią, że warto zapomnieć o tym nieszczęsnym zakładzie i mimo wszystko mnie poślubić. - Poparł te słowa spojrzeniem pełnym żaru. - Powiem pani, że zaskarbiła sobie uznanie mojej babki. Hrabina wdowa popiera nasz związek.

- Co takiego?! Miał pan czelność rozmawiać na mój temat z babką?

- Naturalnie.

- To dlatego ludzie tak się na nas gapili, kiedy wychodziliśmy na parkiet. Pan jest zarozumiały ponad wszelką miarę.

- Odmawia mi pani? - spytał z udaną rozpaczą.

- Na nic innego pan nie zasługuje. Dlaczego nie chce pan słuchać tego, co mam do powiedzenia?

- Ponieważ nie potrafię przestać o pani myśleć. - Zniżył głos i dodał poważniejszym tonem: - Wciąż wspominam chwile, kiedy normalnie rozmawialiśmy. Pamiętam, jak przyjemnie było pani dotykać, czuć ciepło ciała i smak ust. Pamiętam dzień nad jeziorem, gdy

słońce rozświetlało pani twarz. Gdybyśmy byli tu sami, pokazałbym pani, jak bardzo jej pragnę.

- Williamie, proszę, niech pan przestanie. - Cassandra czuła, że się rumieni, zaniepokoiło ją też, że w ich stronę kierowano coraz więcej spojrzeń. - Ludzie patrzają.

- A niech patrzają - odparł, pozerając ją wzrokiem.

- Przynajmniej niech pan postara się przyzwoicie zachowywać.

- Jestem mężczyzną, a pani piękną i bardzo ponętą młodą kobietą. Jak inaczej mam się zachowywać?

- Jak dżentelmen. To byłby dobry początek.

- Och, moja miła Cassandro. Czy naprawdę mam uwierzyć, że zupełnie nic dla pani nie znaczę? Jak mógłbym, skoro pamiętam, ile przyjemności sprawiały pani moje pocałunki.

Niech pani nie przeczy.

- Proszę nie mówić tak głośno. Czy naprawdę nie ma pan krzty honoru?

- Nie wtedy, gdy chodzi o panią - odrzekł z uśmiechem. - W tej chwili na przykład czuję się wyjątkowo niehonorowo. Niech pani nie udaje - powiedział, wykonując z nią efektowny obrót. - Oboje pragniemy się z tą samą siłą. Kiedy pani wreszcie to przyzna?

Pragnęła go, ale przyznać tego nie zamierzała.

- Pan jest okrutny, mówiąc takie rzeczy ze świadomością, że nie mogę się odgryźć. To jest wesele Emmy. Nie zamierzam go zepsuć sceną, zostawiając pana na środku parkietu.

Po skończonym tańcu William odprowadził Cassandrę do lady Monkton, a w ostatniej chwili prowokacyjnie szepnął jej do ucha:

- Nie mogła pani zapomnieć, jak czuła się w moich ramionach. A jeśli pani zapomniała, to jej przypomnę, obiecuję...

Kilka dam bacznie ich obserwowało. Być może zwrócił ich uwagę jako mężczyzna, nie należało jednak wykluczać, że chciały dostrzec coś interesującego, a może nawet skandalicznego, zachodzącego między lordem Lampardem a panną Greenwood.

Słońce miało się ku zachodowi, gdy Cassandra uświadomiła sobie, że przez całe popołudnie nie widziała matki. Wyruszyła więc na jej poszukiwanie. Dostrzegła ją w końcu na tarasie, wspartą na ramieniu doktora Brookesa. Spacerowali. Harriet przechyliła głowę, uśmiechała się, lekko rozchylając wargi, krótko mówiąc przybrała pozę zalotnicy. Cassandra nie miała nic przeciwko temu związkowi, wiedziała bowiem, jak dobrze do siebie pasują ci dwoje. Dyskretnie wycofała się w głąb sali balowej.

Nazajutrz Cassandra jechała na swojej klaczce po parku z towarzyszącym jej lokajem, gdy dostrzegła sir Charlesa Grishama, galopującego na wspaniałym gniadym ogierze.

Większe wrażenie wywarł na niej koń niż jeździec, ale ściągnęła wodze i zaczęła się przyglądać. Charles zauważył ją, zwolnił i wkrótce zbliżał się do niej statecznym stępem.

Cassandra nie była pewna, czy warto ujawnić przed nim całą swoją wiedzę. Wspomniałszy jednak wszystkie upokorzenia, których doświadczyła z powodu zakładu, postanowiła chwycić byka za rogi. Tymczasem sir Charles zatrzymał się tuż przed nią.

- Panna Greenwood! Co za przyjemna niespodzianka. Nie ma pani pojęcia, jak mocno zabiło mi serce na pani widok.

- Mam wrażenie, że zanadto słodzi pan herbatę, sir Charles.

- Od czasu naszego spotkania w Almacku nie mogłem się doczekać następnej okazji. Niestety, bardzo niełaskawie potraktowała pani wszystkie moje bileciki.

- Nie tylko pańskie. Uznałam, że nie podoba mi się rola debutantki.

- Bardzo tym jestem zawiedziony.

- Wkrótce poczuje się pan lepiej, proszę się nie martwić.

Po prostu doszłam do wniosku, że nie przepadam za życiem towarzyskim. - Spojrzała na niego beznamiętnie. - Pięknego konia pan dosiada. Czy to ostatni nabytek?

- Niezupełnie - odparł i z dumą poklepał lśniący kark wierzchowca. - Mam go już kilka tygodni. Nazywa się Monarch i pochodzi ze stajni w Carlow Parku. Takiego szybkiego diabła jeszcze nie miałem.

- O, to ciekawe - stwierdziła Cassandra, udając zaskoczenie.

- Dlaczego?

- Ucieszy pana z pewnością wiadomość, że wkrótce stanie się właścicielem innego konia ze stajni lorda Lamparda.

Zmarszczył czoło zdezorientowany.

- Nie rozumiem. To dla mnie całkowita nowość.

- Nie pojmuję dlaczego, skoro nawet ja o tym wiem. Lord Lampard przegrał zakład. Z pewnością nie umknęło to pańskiej uwagi.

- A niech mnie diabli! - sapnął zmieszany sir Charles. Cassandra nie miała ochoty dłużej udawać dobrego nastroju.

- Przydałoby się - powiedziała. - Należy się panu za wystawienie mnie na pośmiewisko.

- Jak się pani o tym dowiedziała?

- Podśledzałam pańską rozmowę z lordem Lampardem w Carlow Parku.

- Pani tam była?

- Słyszałam każde słowo - potwierdziła. Charles uniósł brwi.

- Wygląda na to, że nie każde. Inaczej wiedziałaby pani, że William poddał zakład.

Jakoś nie mógł nabrać do niego przekonania.

Cassandra zrobiła wielkie oczy. Teraz to ona poczuła się niepewnie.

- Jak to?

- William się wycofał. Powiedział mi, że nabrał dla pani szacunku i nie chce pani zhańbić. Muszę mu jednak oddać sprawiedliwość, że jeszcze tego samego dnia koń był mój. Nazywa się Monarch i jest tego żywym dowodem.

- Rozumiem - powiedziała pobladła Cassandra. - W takim wypadku proszę przyjąć ode mnie spóźnione gratulacje. Przepraszam, ale pora na mnie. - Zawróciła klacz.

- Panno Greenwood. Zerknęła na niego przez ramię.

- Przepraszam za ten zakład, choć naturalnie wiem, ile warte są takie przeprosiny.

- Niewątpliwie ma pan powód do przeprosin. Następnym razem proszę znaleźć sobie inną ofiarę dziecinnych zabaw.

Do Monkton House wracała z zamętem w głowie.

Skąd mogła wiedzieć, że William wycofał się z zakładu? Dlaczego jej o tym nie powiedział? Nagle zobaczyła wszystko z przerażającą jasnością. Przypomniała sobie sytuacje, w których William przychodził jej z pomocą, często niemałym kosztem. Żaden mężczyzna nie zrobiłby tego dla kobiety, której nie darzy uczuciem. Swym zachowaniem musiała go głęboko zranić, tyle że William był zbyt dumny, by to po sobie pokazać.

Jadąc do domu, machinalnie odpowiadała na pozdrowienia ludzi, których nawet nie poznawała. Wreszcie dotarła do niej zupełnie oczywista prawda, że kocha Williama. Przyjęła ją jak cenny dar, bez nabożnego szacunku, całkiem zwyczajnie. Tak po prostu. Jak naprawić skutki własnego zaślepienia?

Siddons wprowadził Cassandrę do salonu, gdzie ku swemu zdziwieniu zastała Marka z Lidia. Siedzieli na miękkich fotelach jedno naprzeciwko drugiego, a Lidia nalewała herbatę do filiżanek.

- Przepraszam za kłopot - powiedziała Cassandra zmieszana niespodziewaną sytuacją. - Nie chcę państwu przeszkadzać. Miałam nadzieję, że William jest w domu.

- Obawiam się, że spóźniła się pani o włos - poinformował ją Mark, wstając i wskazując jej miejsce do siedzenia. - Może napije się pani z nami herbaty?

Cassandra przysiadła na krawędzi fotela, ale za herbatę podziękowała.

- William towarzyszy babce w drodze powrotnej do Carlow - ciągnął Mark. - Hrabina wdowa uznała, że ma dość wielkiego miasta i chce jak najszybciej wyjechać.

- Rozumiem. - Cassandra miała nadzieję, że nie znać po niej rozczarowania. - Czy lord Lampard zamierza wkrótce wrócić do Londynu?

- Nie sędzę. Czeka na niego wiele spraw do załatwienia w Carlow Parku. Lidia i ja zostaliśmy jeszcze, bo chcemy pożegnać siostrę Lidii w Greenwich, ale i my zaraz ruszamy w drogę. Przepraszam bardzo, lecz przed wyjazdem muszę ustalić coś z Siddonsem.

- Jestem zdumiona, panno Greenwood - odezwała się Lidia. - Czy ma pani zwyczaj bez przyzwoitki odwiedzać dżentelmenów w ich domach?

Cassandra zdrętwiała. Ton Lidii, pogardliwy i pełen podejrzliwości zarazem, zjeżył jej włosy na karku. Uśmiechnęła się i nie mniej pogardliwie odparła:

- Och, jeśli o mnie chodzi, robię niejedno z tego, co nie przystoi młodym damom.

- Czy pani niegodne damy zachowanie nie przysparza trosk lady Monkton?

- Gdyby ktokolwiek był zatroskany, to raczej moja matka, ale ona, podobnie jak ja, wykazuje w tej kwestii bardzo dużo tolerancji.

- To dziwne - zawyrokowała Lidia, sięgając po herbatę. - Wydaje się, że pani znajomość z Williamem ma szczególny charakter. Wygląda tak, jakbyście byli... kochankami. Krążą zresztą plotki, że już od pewnego czasu jesteście ze sobą bardzo blisko. Może pani zapewnić, że są one bezpodstawne?

- Jakkolwiek wygląda prawda, nie zamierzam odpowiadać na podobne insynuacje - powiedziała Cassandra. - To moja sprawa.

- Naturalnie, nie wykluczam jednak, że zapatrzyła się pani na siostrę, której udało się zawrzeć prestiżowe małżeństwo. Czy liczy pani na oświadczyzny Williama?

Cassandrze policzki płonęły. Jak ta kobieta śmie? Jak może sobie wyobrażać, że Emma podstępem poślubiła majątnego mężczyznę, aby zdobyć pozycję w towarzyskiej hierarchii? To była czysta impertynencja.

- Jeśli usłyszę od Williama propozycję małżeńską, z pewnością ją przyjmę pod warunkiem, że będzie mnie zadowalała.

Naturalnie pani wolno sądzić, że związanie się ze mną sprowadziłoby na niego hańbę.

- Wiem, że wszystkie koligacje zawdzięcza pani lady Monkton. Pani matka naturalnie musi odczuwać wielką ulgę, że jedną z córek udało się tak korzystnie wydać za mąż. Zyska na tym pani rodzina. Proszę jednak pomyśleć. Gdyby nie wyszedł na jaw skandal z ucieczką, a William nie zdecydował się na bardzo nierozsądną interwencję, nie byłoby tego ślubu.

Właśnie w tej chwili Cassandra uświadomiła sobie, kto ujawnił ucieczkę Emmy i Edwarda. Ogarnęła ją wściekłość.

- Czy to możliwe, żeby pani miała coś wspólnego z tą sprawą? Może to właśnie pani rozpuściła plotki i doprowadziła do skandalu w nadziei, że moja siostra i cała rodzina w niesławie znikną ze sceny towarzyskiej?

Lidia uśmiechnęła się z wyższością.

- Musi pani wiedzieć, że nie plotkuję. Jeśli coś robię, to zawsze mam powód. Lampardowie, podobnie jak moja rodzina, szczytą się wielowiekową tradycją i wybitną pozycją w społeczeństwie. Nie wolno im wchodzić w bliski związek z rodziną, której pozycja i koligacje są o wiele gorsze. To nie do przyjęcia. Woda i olej nie mieszają się, panno Greenwood.

Burzliwą wymianę zdań przerwał powrót Marka, którego uwagi nie uszła napięta atmosfera w salonie. W odpowiedzi na jego pytanie Cassandra wytłumaczyła mu z

uśmiechem, że miały z lady Lampard wyjątkowo interesującą rozmowę, ale ujawnienie jej szczegółów mogłoby tylko spowodować niepotrzebne przykrości.

- Panno Greenwood - zwrócił się do niej Mark - chciałbym przeprosić, jeśli podczas pani wizyty w Carlow Parku powiedziałem na temat jej siostry coś niestosownego. Proszę mi wierzyć, że nie miałem złych intencji. Lubię Edwarda i ta eskapada wprowadziła mnie w niemałą złość. Rozumiem jednak, że dając temu upust, mogłem jednocześnie urazić pani uczucia.

- Rozumiem. Ja również byłam wówczas rozdrażniona i pełna niepokoju - przyznała Cassandra, której przemknęło przez myśl, że może niesprawiedliwie oceniła Marka. - Moja siostra potrafi być nieprzewidywalna i czasem wystawia nas na ciężkie próby. Czy pani ma rodzeństwo? - spytała z naciskiem Lidia, demonstrując, że nie zamierza skapitulować przed tą arogancką kobietą.

- Dwoje - odrzekła, mieszając herbatę w filiżance. - Młodszą siostrę i przyrodniego brata Daniela. Widujemy się jednak rzadko.

Cassandra posiedziała jeszcze chwilę, ale szybko uciekła, jako że rozmowa się nie kleiła. Wciąż była wzburzona wymianą zdań z Lidią. Przypomniała sobie, że ta kobieta obdarzyła Williama nienawistnym spojrzeniem w wieczór balu w Almacku. Zastanowiło ją też imię jej przyrodniego brata. Ciekawe, kiedy Lidia poślubiła Marka? Przed śmiercią Roberta czy już po niej? Bo na to, że William nie wróci z Hiszpanii żywy, mogła liczyć z dużym prawdopodobieństwem.

Cassandra pokręciła głową. Takie spekulacje prowadzą donikąd. Wyobrażenia podsuwa czasem zupełnie absurdalne pomysły. Lepiej było zawczasu postawić im tamę.

Okazało się jednak, że jest na to za późno. Zanim dotarła do Monkton House, jej podejrzenia ugruntowały się na dobre.

Ciotkę znalazła w jej prywatnym saloniku, zajętą odpisywaniem na listy. Porozmawiały chwilę, pozachwyciły się ślubem i próbowały zgadnąć, jak młodym podoba się w ich nowym domu. W pewnej chwili Cassandra mimochodem zapytała o Lidię Lampard.

- Prawdę mówiąc, niewiele o niej wiem. Pochodzi z ziemiańskiej rodziny z Kentu. Miała poślubić brata Williama, ale po jego tragicznej śmierci została żoną Marka.

- Spotkałaś kiedyś jej rodziców, ciociu?

- Tak, kilkakrotnie, chociaż nigdy nie byliśmy przyjaciółmi. Jej matka była dwukrotnie zamężna. Pierwszy mąż był żołnierzem i zginął za granicą.

- Pamiętasz jego nazwisko? - spytała Cassandra, starając się ukryć zainteresowanie. Elizabeth zmarszczyła czoło.

- Czekał, niech pomyślę... Chociaż, prawdę mówiąc, nie wiem, po co ci to wiedzieć.

- Właściwie bez powodu. Zwykła ciekawość.

- George... Tak, na imię miał George.

- A nazwisko?

- Sharp. Przypominam sobie. Pochodził z Blackheath i zdaje się, że charakter też miał dość czarny. Urodziło im się dziecko, ale o nie nie pytaj, bo niczego nie wiem.

Cassandra nie posiadała się ze zdumienia. Brat przyrodni Lidii próbował zabić Williama! Jeśli Lidia o tym wiedziała, to i ona bez wątpienia maczała w tym palce, czyli Williamowi wciąż groziło niebezpieczeństwo. Należało go jak najszybciej ostrzec.

Następnego ranka odbyła długą rozmowę z matką. Opisała jej wszystkie zamachy na życie lorda Lamparda i wytłumaczyła, dlaczego musi niezwłocznie pojechać do Carlow Parku. Harriet, wstrząśnięta nowinami, zezwoliła na tę eskapadę, acz niechętnie.

- Jeszcze coś muszę ci wyjawić, mamó - powiedziała w końcu z pewnym zakłopotaniem Cassandra. - Powinnaś o tym wiedzieć. Zamierzam poślubić lorda Lamparda.

Harriet szeroko otworzyła oczy.

- Ty? Lorda Lamparda? - powtórzyła.

Cassandra skinęła głową.

- Kocham go i wierzę, że on mnie również. Zaproponował, abym została jego żoną.

- Rozumiem. I co mu odpowiedziałaś?

- Jeszcze nic, ale odpowiem „tak”.

- Cóż mogę powiedzieć? Zorientowałam się, że jest między wami... pewne zainteresowanie, ślepa nie jestem. Widziałam też, że lord Lampard wywiera na tobie duże wrażenie...

- Rzeczywiście. Wrażenie to on potrafi robić.

- Nie miałam pojęcia, że sprawy zaszły aż tak daleko. Naturalnie lord Lampard powinien ze mną porozmawiać. Czy jednak w pełni zdajesz sobie sprawę ze znaczenia decyzji, jaką zamierzasz podjąć? Oczywiście jestem wdzięczna lordowi Lampardowi za wszystko, co zrobił dla Emmy, nie mogę jednak nie wspomnieć ci o tym, że on jest uważany... Sama wiesz.

- Za rozpustnika, mamó - dokończyła Cassandra słowem, które Harriet nie chciało przejść przez usta.

- Tak. Wprawdzie go polubiłam, ale do kobiet odnosi się podobno bardzo niefrasobliwie. Skąd możesz wiedzieć, że ciebie traktuje poważnie?

- Martwisz się niepotrzebnie. Naprawdę - zapewniła ją z uśmiechem.

- Taki już los matki - martwić się o córkę. Chcę, żebyś była tak samo szczęśliwa i zadowolona jak Emma. Boję się, że on ci złamie serce.

- Nie zrobi tego, wiem to na pewno. Bardzo go kocham i chciałabym, żebyś poparła ten związek.

Oczy Harriet wypełniły się łzami. Mocno uściskała Cassandrę.

- Naturalnie, moja droga. - Opanowawszy nieco wzruszenie, dodała: - Wspomniałaś o kilku zamachach na życie lorda Lamparda. Czy i tobie grozi niebezpieczeństwo?

Pół godziny później Ciem wioził Cassandrę do Hertfordshire.

Przez dwie godziny Cassandra wyobrażała sobie, jak przebiegnie jej spotkanie z Williamem. Nie wiedziała, czego może się spodziewać. Czy powita ją z radością, czy będzie zły i odeśle ją z powrotem do Londynu? Ulżyło jej, gdy przekroczyli bramę Carlow Parku. Wkrótce Ciem rozkładał dla niej schodki.

Pearson, kamerdyner, poznał ją natychmiast.

- Chcę się widzieć z lordem Lampardem - powiedziała Cassandra, gdy została wprowadzona do sieni. - Niestety, nie oczekuje mojego przybycia. Czy zastałam go w domu?

- Przykro mi, panno Greenwood, ale lord Lampard wyjechał. Niedługo ma jednak wrócić. Może na czas oczekiwania podać pani coś do jedzenia i picia?

- Bardzo chętnie, dziękuję. Proszę dopilnować, aby zajęto się również Clemem i moimi końmi.

William nie wracał. Cassandra przypomniała sobie, jak wspaniałe są ogrody w Carlow Parku. Wyszła więc przez taras pospacerować. Dzień był piękny, choć parny, w oddali zachęcająco lśniła srebrna tafla. Na niebie zbierały się ciemne chmury, nie wydawało się jednak, by burza mogła nadejść w ciągu najbliższych godzin, Cassandra postanowiła więc dojść aż nad staw i wkrótce wędrowała już wzdłuż jego brzegu. Przystanęła dopiero wtedy, gdy zrobiło się duszno. Najwyraźniej omyliła się w rachubach. Niebo poszarzało, a chmury zbierały się coraz obficiej. Nagle zerwał się wiatr, który zmałcił powierzchnię stawu. W powietrzu zaczęły fruwać liście i drobne gałęzie. Temperatura gwałtownie spadła.

Cassandra popatrzyła w górę w chwili, gdy niebo przeciął zygzak błyskawicy. Dopiero wtedy energicznie ruszyła z powrotem. Grube krople zaczęły bić ją po twarzy. Wiatr nie ustał, więc wkrótce była doszczętnie przemoczona. Uprzytomniwszy sobie, że do domu jest jeszcze daleko, schroniła się pod wielkim wiązem, przeklinając swój brak rozsądku.

William nie wierzył własnym uszom, kiedy Pearson powiadomił go, że czeka na niego panna Greenwood. To była miła niespodzianka. Niestety, wkrótce przeżył zawód, okazało się bowiem, że salon jest pusty. Oszklone drzwi zostały otwarte, wyrzwał więc na taras, ale i tam Cassandry nie było. Właśnie w tej chwili ciszę rozdarł pierwszy grzmot. William szybko cofnął się pod dach.

Do diabła! Intuicja podpowiedziała mu, że ta nierozważna istota wybrała się nad staw. Jeśli tak, to musiała tam poszukać jakiegoś schronienia. Mimo to dręczył go niepokój. Pospieszył więc na górę do garderoby i po chwili wrócił ubrany w płaszcz nieprzemakalny. Dziarskim krokiem ruszył w stronę stawu.

Wołał ją po imieniu, choć nie miało to zbyt wiele sensu, bo wicher skutecznie go zagłuszał. Raz po raz niebo rozdzierały zygzaki błyskawic, a po każdej takiej zapowiedzi rozlegał się niesiony echem huk. Wreszcie zauważył Cassandrę przytuloną do pnia drzewa.

- Chodźmy - zawołał, chwytając ją za ramię. - Musimy się schować.

Znowu grzmot zatrzęsł ziemią. Cassandra była przemoczona do suchej nitki. Mokry strój krępował jej ruchy i z trudem nadażała za Williamem. W pewnej chwili zaczepiła spódnicą o krzak. Przystanąła, żeby sprawdzić, co się stało. William wykazał jednak więcej zdecydowania, chwycił za fałdy jej spódnicy i mocno szarpnął, pozostawiając na kolcu kawałek materiału. Przed nimi rysował się już jakiś kształt. Cassandra poznała letni domek, zła, że sama o tym nie pomyślała.

William otworzył drzwi i wepchnął ją do mrocznego, ciasnego wnętrza. Tu dopiero dał upust rozpierającym go uczuciom.

- Ty ptasi mózdzku! - krzyknął. - Chyba jesteś szalona, jeśli odchodzisz tak daleko od domu, widząc, że zbiera się na burzę. W dodatku chowasz się pod drzewem. Nie wiedziałaś, że jest to najbardziej niebezpieczne miejsce podczas burzy? Popatrz na siebie. Wyglądasz jak zmokła kura.

Trzęsąc się z zimna, przemoczona Cassandra spojrzała na niego żałośnie.

- Sam pan wygląda niewiele lepiej - szepnęła i łzy popłynęły jej po policzkach.

William natychmiast spotulniał.

- Co się stało? Lodowa Dama topnieje?

- Czy tak właśnie wyglądam w pana oczach? - spytała Cassandra. - Jak zimna, bezwzględna kobieta? Tak pan o mnie myśli? Może pana zdziwi, ale jestem zdolna do ludzkich uczuć, tak jak każdy.

- Przecież wiem.

Przedstawiała w tej chwili obraz nędzy i rozpacz. Włosy kleiły jej się do twarzy, cytrynowa suknia przyłgnęła do ciała.

- Zmarzła pani, muszę ją rozgrzać - powiedział William, okrywając ją płaszczem. - Tu jesteśmy bezpieczni i możemy doczekać końca burzy. - Wyczuwszy jej drżenie, posadził ją na drewnianej ławce, objął i przyciągnął do siebie. Ku jego zaskoczeniu wcale się nie opierała. - Jeśli burza potrwa dłużej, to rozpalę ogień i z przyjemnością zdejmę z pani to mokre ubranie.

- Po co? - spytała, przekrzywiając głowę.

- Żeby je wysuszyć, rzecz jasna. A co pani sobie pomyślała?

Cassandra przytuliła się do Williama. Zrobiło jej się znacznie przyjemniej. Tym razem nie zamierzała uciekać od miłych doznań, jakie wzbudzał w niej William.

- No właśnie, co takiego? - spytała przyciszonym głosem.

- Proszę mi powiedzieć, Cassandro, po co pani przyjechała. Czego pani chce?

- Tego samego co pan.

- Mówię pani już od dość dawna, że jej pragnę. Proszę mnie dłużej nie torturować.

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Zdaję się na pańską łaskę - szepnęła przekonana, że dreszcze przebiegające jej ciało nie mają nic wspólnego z zimnem. Objęła Williama za szyję i przyciągnęła go do siebie.

Samotnie spędzone dni wyostrzyły głód Williama. Ostrożnie odgarnął włosy z twarzy Cassandry, a potem złączył się z nią w namiętnym pocałunku. Coraz bardziej tracił panowanie nad tym, co robi, ale przecież musiał się zatrzymać, póki jeszcze był na to czas. Cofnął usta.

- Czy coś się stało?

- Musimy przestać. Inaczej zostanie pani uwiedziona przez łajdaka, do czego od tygodni usiłuje pani nie dopuścić.

- Już nie. Uznałam, że jednak chcę zostać uwiedziona przez łajdaka - szepnęła, muskając jego wargi swoimi ustami. - Proszę więc mi nie odmawiać.

- Nie tutaj, Cassandro. To nie jest odpowiednie miejsce.

- Myli się pan. Właśnie to jest dobre miejsce.

- Bezwstydy kurzy mózdzek! - szepnął z nadzieją, że zaraz skończą na podłodze, i znów zaczął ją całować.

Cassandra poddała się ogarniającemu ją szaleństwu i rozpiąłszy koszulę Williama, cieszyła się dotykiem jego muskularnego torsu i ramion. Nie na długo jednak jej to starczyło, zsunęła więc z ramion jego płaszcz i rozłożyła go na deskach. Chwilę potem leżeli już obok siebie i wzajemnie rozpinali sobie odzienie, by jak najszybciej poczuć bliskość swoich ciał.

William chciał całkiem obnażyć Cassandrę, ale pojął, że nie może tego zrobić. Mimo że wyglądała urzekająco, a jej zapach doprowadzał go do obłędu, ani na chwilę nie zapomniał, że musiałaby potem włożyć mokry strój na rozgrzane ciało. To nie byłoby przyjemne. Całując jej szyję, metodycznie uwalniał więc piersi ze stanika, aż wreszcie został nagrodzony i mógł bez przeszkód przesuwając usta po jędrnych pełnych piersiach.

Cassandra zamknęła oczy i chłonęła doznania, jakie wyzwalał w niej kontakt z ciałem Williama. On tymczasem zsunął jej pończochy i zachwycał się lśniąca, gładką skórą na kolanach, a potem na udach. Cassandra oplótła go ciasno, niczym bluszcz pień drzewa, i z cichym westchnieniem poddała mu się całkowicie. Wrażenia porywające swoją siłą z każdą chwilą zbliżały ich do prawdziwego cudu. Poruszali się w rytmie muzyki miłości, upojeni rozkoszą zjednoczenia, podczas którego zapomnieli o wszystkim oprócz tego, że są dla siebie stworzeni.

Rozdział dwunasty

Wtulając się w Williama, Cassandra słyszała głośne bicie swojego serca i jego urywany oddech. Senna i zaspokojona powoli wracała do rzeczywistości. Uniosła głowę i przez chwilę cieszyła się jeszcze czułymi pocałunkami, po czym ułożyła się obok kochanka.

- O czym myślisz? - spytał William z ciepłym uśmiechem. Dotknęła jego policzka

- Marzyłam o tym od dawna.

Uniósł się na łokciu i popatrzył na swoją boginię, która zaskoczyła go siłą namiętności. Pragnęła go i tak wiele z siebie dawała.

- Jesteś skompromitowana. Teraz musisz mnie poślubić.

- Obawiam się, że masz rację. Wykorzystałeś mnie, więc będę miała zszarganą reputację.

- Nie żałujesz, moja miła? - Musnął jej wargi. - Nie masz wyrzutów sumienia?

Pokręciła głową

- Wiedziałam, co robię, i nie poczuwam się do winy. Przeciwnie, moje miejsce jest w twoich ramionach. Miłosne pieszczoty wyzwalają takie niezwykle uczucia. - Spojrzała na niego lekko zarumieniona. - Czy u ciebie również?

- Tak - odparł i pocałował ją w czoło.

- A jak długo musimy czekać, żeby to powtórzyć? Roześmiał się gardłowo.

- Jesteś bez wątpienia najbardziej bezwstydną i pełną temperamentu istotą na świecie, ale następnym razem chcę cię pieścić w łóżu, całkiem naga. Nawet nie wiesz, jak ciężkiej próbie mnie poddałaś.

- Koniec z tym, Williamie, dłużej nie będę cię odpychać - powiedziała nieco zawstydzona.

- Nigdy w życiu nie musiałem tak się starać, żeby osiąść kobietę. Próbuje zaskarbić sobie twoje względy, odkąd tylko się poznaliśmy.

- I wreszcie to się panu udało, milordzie.

- To prawda, ale zupełnie nie rozumiem, skąd u ciebie ta nagła zmiana poglądów, moja miła. Może zechciałabyś mi to wytłumaczyć.

- Doszłam do wniosku, że powinnam być uczciwa wobec samej siebie i że mimo wszystko pragnę cię. Chcę być z tobą.

William przesunął dłonią po jej smukłej szyi i zaczął głaskać złociste pukle.

- Jesteś kompletnie pozbawioną zasad kobietą, Cassandro. Nigdy nie przestaniesz mnie zadziwiać. Jesteś też uroczą kusicielką, choć tymczasem nie w pełni zdajesz sobie sprawę ze swojej władzy. Nigdy nie spotkałem kobiety o takiej sile ducha i takim sercu jak ty.

- Opowiedz mi o zakładzie z sir Charlesem.

- Ach, o to ci chodzi.

- Tak. Muszę znać całą prawdę.

- Może cię zaskoczę, ale przyjąłem ten zakład w chwili wyjątkowej nierozwagi. Od początku byłem przekonany, że go poddam. Kiedy Charles przyjechał do Carlow Parku, powiedziałem mu o tym. Niestety, usłyszałaś tylko część naszej rozmowy.

- Tak, wiem.

- Skąd?

- Od Charlesa.

- Jak to?

- Spotkaliśmy się wczoraj w parku podczas przejażdżki. Dlaczego sam nie powiedziałeś mi o tym wcześniej?

- Byłaś bardzo zła. W ogóle nie chciałaś słuchać moich zapewnień o tym, że jestem niewinny. Postanowiłem więc poczekać, aż ochłoniesz. Czy właśnie z tego powodu przyjechałaś do Carlow Parku?

Cassandra usiadła i zaczęła porządkować ubranie.

- Tak, ale nie tylko. Wczoraj, kiedy Charles opowiedział mi o zakładzie, pojechałam prosto do ciebie. Spotkałam tam Marka i Lidie. - Skończyła sznurować stanik i spojrzała mu prosto w oczy. - Williamie, Lidia to diabeł wcielony. Pewnie nie wiesz o tym, ale ma, a właściwie miała przyrodniego brata, niejakiego Daniela Sharpa.

Williamowi stężała twarz.

- O tym wiem. Jeszcze teraz trudno mi uwierzyć, że kobieta, która miała poślubić mojego brata, z wyrachowaniem planowała, jak mnie zabić. Pan Jardine, który zatrzymał się w zajeździe w Carlow, powiedział mi dziś rano to samo. Podobnie jak ty podejrzewał, że trzeba szukać osoby, która najbardziej skorzysta na mojej śmierci. Kiedy zainteresował się przeszłością Lidii, bez większego trudu dowiedział się o przyrodnim bracie.

- Widziałeś się z Markiem?

Pokręcił głową.

- Prawdę mówiąc, nie spieszy mi się do tej rozmowy. Wciąż jestem przekonany, że nie wie o knowaniach żony. A jak ty na to wpadłaś?

- Ona sama wspomniała mi, że ma przyrodniego brata Daniela. Wystarczyło zapytać ciotkę Elizabeth o jego nazwisko. A Lidia przyznała mi się też, że to ona rozpuściła plotki o ucieczce Emmy i Edwarda. Wiedziałaś o tym?

- Nie, ale prawdę mówiąc, od dawna to podejrzewałem. Siostra Lidii ma jeden z najbardziej jadowitych języków w Londynie. Wystarczy, że dowie się czegokolwiek i w okamgnieniu historia zaczyna krążyć po całym mieście, w dodatku wyolbrzymiona. - William wstał i pomógł podnieść się z podłogi Cassandrze. - Posłuchaj, deszcz przestał padać. Lepiej wracajmy, bo jeszcze Pearson gotów zorganizować poszukiwania.

- Masz rację. Marzę o wannie pełnej gorącej wody. Zmierzył ją badawczym spojrzeniem.

- Moim zdaniem wyglądasz prześlicznie.

Wyszli na dwór, gdzie deszcz wciąż jeszcze mżył, i... ujrzeli skierowany wprost na nich pistolet.

- Lidia! - syknęła Cassandra.

- A cóż my tu mamy? Miłosne gniazdko, bez wątpienia. O, jak miło.

William przeklinał swój brak przezorności. Był bezbronny. Cassandra wpatrywała się z przerażeniem w napastniczkę.

- Widzę, Lidio, że po tylu nieudanych próbach postanowiłaś wziąć sprawy w swoje ręce - odezwał się William. - Kto by pomyślał, że na moje życie czyha żona kuzyna.

- Nie znasz mnie dobrze. Nawet nie wiedziałeś, że mam przyrodniego brata.

- Już wiem.

- Nic dziwnego, skoro go zabiłeś.

- W obronie własnej. Zaplanowałaś to razem z nim. Lidia wyprostowała się dumnie.

- Nie przeczę. Chcieliśmy się ciebie pozbyć. To ja powinnam być hrabiną Carlow i byłabym nią, gdyby Robertowi nie zdarzył się ten przeklęty wypadek. Poślubiłam więc Marka, licząc na to, że zginiesz w Hiszpanii. Niestety, wróciłeś i zabrałeś mi wszystko.

- A ty przez cały ten czas żyjesz żądzą zemsty. Jesteś obłąkana, Lidio.

- Masz rację. - Zbliżyła się o krok do Williama. - Nawet nie mam wyrzutów sumienia z powodu tego, co zaraz zrobię. Kiedy znajdą wasze ciała, nikt nie będzie mnie podejrzewał.

William instynktownie zasłonił Cassandrę.

- Chcesz zabić nas oboje?

- Dlaczego nie? Ona za dużo wie.

William chciał jej powiedzieć, że o wszystkim wie również pan Jardine, ale nie zdążył. Lidia odwiodła kurek.

- Nie! - wykrzyknęła Cassandra i odepchnęła Williama.

Huknął strzał.

Cassandra zatoczyła się, uderzyła plecami w drzwi domku i osunęła się na ziemię. William upadł na kolana obok niej. Lidia nie traciła czasu. Właśnie kończyła ponownie ładować broń, gdy z zarośli za jej plecami wyłonił się mężczyzna.

- Lidio, oddaj pistolet - spokojnie zażądał Mark.

Odwróciła się raptownie.

- To ty! - krzyknęła histerycznie. - Musisz wszędzie za mną łązić?!

- Nie wróciłaś z przejażdżki przed burzą, więc zacząłem cię szukać. Usłyszałem strzał.

- Wyciągnął rękę. - Oddaj pistolet, Lidio.

- Idź do diabła!

Odwróciła się i chciała strzelić do Williama, ale Mark chwycił ją od tyłu, próbując wykręcić jej rękę. Ich zmagania przerwał huk. Lidia z wyrazem osłupienia na twarzy wypuściła broń i przycisnęła ręce do piersi. Po palcach płynęła jej krew. Chyba chciała jeszcze coś powiedzieć, ale tylko zacharczała i upadła. Mark cofnął się o krok i patrzył na tę scenę z nieopisanym zdumieniem. Przerażony i zdezorientowany podszedł do kuzyna i przyklęknął tuż obok.

- Co z nią?

- Puls jest, ale słaby. - Prawa część sukni Cassandry była cała czerwona. - Boże miłosierny, ratuj ją - zaczął się modlić William, zaprawiony w bojach żołnierz, który na polu bitwy widział setki podobnych sytuacji. - Nie daj jej umrzeć!

- Przykro mi, naprawdę nie miałem o niczym pojęcia. Teraz musimy jak najszybciej zanieść ją do domu - powiedział Mark.

Doktora Tomlinsona udało się przywieźć błyskawicznie. Przez dwie godziny z zapamiętaniem walczył o życie Cassandry. Wyjął kulę, która na szczęście minęła i serce, i płuco. Przy tak olbrzymim upływie krwi rokowania nie były jednak zadowalające.

Clema wysłano do Londynu, aby przywiózł panią Greenwood. William tymczasem był bliski szaleństwa. Diagnoza doktora Tomlinsona nie dawała mu wiele nadziei. Przede wszystkim jednak miał pretensje do siebie, że zawiódł w decydującej chwili. On, stary wiarus, nie potrafił obronić kobiety, którą kocha. Przez cały czas siedział przy łóżku i nie odstępował jej ani na krok. Trzymał bezwładną rękę i patrzył na jej piękną twarz.

- Cassandro - szeptał zdesperowany. - Nie waż się mnie opuścić. Nie teraz, kiedy wreszcie się znaleźliśmy. Jeśli umrzesz, to przysięgam, że pójdę za tobą i nigdy nie dam ci spokoju. Czy tego chcesz, moja miła?

Jego głos wciskał się w czerń otaczającą Cassandrę. Jej jednak dobrze było w tej nicości. Ból ucichł, ogarnęły ją ciepło i beztroska...

- Cassandro, nie! - nie ustawał w swych zaklęciach William. - Nie pozwolę ci odejść. Należysz do mnie, potrzebuję cię. Nie mogę żyć bez ciebie. Kocham cię. Przypomnij sobie nasze pieszczoty, przypomnij sobie, jak było cudownie... Może tak być jeszcze wiele razy...

Słyszała ten głos. Nie rozumiała słów, ale wiedziała, że zakłóca jej spokój. Dlaczego nie zamilknie? Podobało jej się tutaj, nie chciała opuścić tej krainy ciszy.

- A co z ochronką? Co z dziećmi? One cię potrzebują, Cassandro, dobrze o tym wiesz. Jak mogłabyś je zostawić?

Natarczywość głosu była nie do zniesienia. Nie pozwalał jej nawet na chwilę wytchnienia.

- Nie wolno ci opuścić ich właśnie teraz, kiedy możesz założyć sierociniec, którego zawsze pragnęłaś. Chyba że wcale nie jest dla ciebie ważny?

Głos był już nie tylko natarczywy, lecz i szyderczy. Nagle Cassandra uświadomiła sobie, że czerń się rozstępuje. Z wysiłkiem poruszyła powiekami. Przez chwilę widziała parę niewiarygodnie błękitnych oczu.

- Witaj, moja miła.

Cassandra otworzyła oczy. Początkowo nie wiedziała, gdzie jest. Spróbowała się unieść, ale dojmujący ból powalił ją na poduszki. Nie mogła sobie przypomnieć, co się stało. Miała wrażenie, że ściany pokoju zbliżają się do siebie i zaraz na nią runą. Świat wirował. Opuściła powieki i wtedy coś jej się zaczęło przypominać.

- Williamie! - szepnęła przerażona. Ktoś musiał się nad nią pochylić, bo poczuła dłoń na czole.

- Pst, kochanie, nic się nie bój. - Kojący głos należał do jej mamy. - Jesteś ranna.

- William nie żyje. Lidia go zabiła.

- Nie, kochanie. William jest tutaj, z tobą - rozległ się znowu głos Harriet. - Siedział przy tobie przez cały czas.

- Jak długo?

- Trzy dni. Zostałaś postrzelona.

- Pamiętam... Lidia...

- Straciłaś mnóstwo krwi, gorączkowałaś, ale już jest lepiej. Wyjdiesz z tego.

- Williamie?

Rzeczywiście był przy niej. Widziała przez chwilę jego twarz. Czowała, że trzyma ją za rękę i całuje palce. Przypomniła jej się głos, który wydobył ją z ciemnej otchłani. Uśmiechnęła się z wysiłkiem.

- Mówiłeś do mnie - szepnęła.

- Prawie przez cały czas, moja miła.

- Myślałam, że to sen.

- Nie, Cassandro.

- Co z Lidią?

- Nie żyje. Mark próbował jej odebrać pistolet i broń wystrzeliła. Już po wszystkim.

Teraz nic nas nie rozdzieli.

- A Mark?

- O niczym nie wiedział. Bardzo się przejął swoją łatwowiernością. Jest zdruzgotany, że jego żona okazała się morderczynią. Miał z nią zresztą ciężkie życie. Nie układało im się, ciągle się kłócili. Nic dziwnego, skoro ona traktowała go wyłącznie jako narzędzie.

Koniecznym chciała zostać hrabiną Carlow i dlatego postanowiła usunąć mnie z tego świata.

Jeszcze o tym porozmawiamy, kiedy będziesz silniejsza.

- Z każdą chwilą czuję w sobie więcej życia.

- Czy pamiętasz ze swojego snu, że wyznałem ci miłość? Wyjawiłem, że cię kocham.

Na jej twarzy pojawił się cień figlarnego uśmiechu.

- Nie. Powiedz mi to jeszcze raz.

William pochylił się nad nią, ujął jej twarz w dłonie i szepnął:

- Kocham cię, Cassandro Greenwood. Kiedy bałem się, że możesz ode mnie odejść, chciałem umrzeć razem z tobą. Kocham cię nad życie.

- A ja tak ci dokuczałam.

- Nie mogę przyznać, że wiem o miłości wszystko, ale kocham cię na pewno.

- I ja ciebie, Williamie. Kocham cię od dawna. Chciałam ci to wyznać, ale tyle nas dzieliło. A jak wojna, to wojna.

- Ech, ty moja wojownicza czarownico. Koniec z tym. - Spojrzał na nią czule i delikatnie pocałował ją w usta. - Czas na miłość. - Nagle spoważniał. - Poślubisz mnie, Cassandro?

- A czy jesteś pewien, że chcesz takiej żony?

- Komu innemu mógłbym się oświadczyć, jak nie kobiecie, która budzi we mnie uczucia, jakich nigdy przedtem nie znałem? Los nas połączył na dobre i na złe, Cassandro - powiedział stanowczo.

- Wobec tego poślubię cię, Williamie. Jestem dumna z takiego męża.

Jeszcze tego samego lata Cassandra poślubiła Williama, choć uroczystość nie miała nic ze splendoru ślubu Edwarda z Emmą. Do kaplicy w Carlow Parku przyszła tylko rodzina i najbliżsi przyjaciele. Radości jednak nie brakowało.

Cassandra była szczęśliwa. Kroczyła wsparta na ramieniu doktora Brookesa i spoglądała na człowieka, który czekał na nią przy ołtarzu. Znów miał na sobie granatowy frak zestawiony z szarą kamizelką i szarymi spodniami oraz białym fularem. Wyglądał niezwykle elegancko.

Jej szczęście było tym większe, że ostatnio doktor Brookes oświadczył się jej matce. Była zdania, że pasują do siebie znakomicie. Co więcej, adaptowano już piękny stary dom, w którym mogło zamieszkać w przyszłości pięćdziesięcioro sierot.

Tymczasem William odwrócił się ku zbliżającej się oblubienicy. Gdy szła z bukietem białych lilii, jej pogodna twarz przypominała mu Madonnę ze świętego obrazu. Nie ulegało dla niego wątpliwości, że pojmuje za żonę najpiękniejszą kobietę świata. Szła z gracją, tajemniczą, eteryczną, w sukni, która zdawała się utkana ze światła.

Nagle jednak obudził się w jego sercu lęk. Boże wielki, westchnął, spraw, abym kochał ją i chronił aż po kres moich dni, abym dał jej szczęście i radość, na jakie zasługuje. Wiedział, że nie będzie to łatwe, ale gotów był dołożyć wszelkich starań, aby nie zawieść jej miłości.

Cassandra wciąż spoglądała na niego z zachwytem, trochę zdziwiona, że gdy wkrótce opuści kaplicę, będzie należeć do tego przystojnego mężczyzny, w którego spojrzeniu

czułość mieszała się z pragnieniem. Szła do ołtarza ze spokojem, wolna od wątpliwości, które wcześniej tak ją dręczyły. Czowała, że to najważniejsza chwila jej życia.

W końcu doszła do oblubieńca, który ujął ją za rękę i zamknął w pewnym uścisku swojej dłoni. Wymienili czule uśmiechy z poczuciem, że w tym momencie osiągnęli pełnię harmonii. Razem odwrócili się do duchownego, aby złożyć małżeńską przysięgę.

Emma i Edward wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Zapewne wspominali swoją niedawną uroczystość. Gdy William wsunął na palec Cassandry obrączkę i powtórzyli święte słowa przysięgi, nawet ciotka Elizabeth uroniła kilka łez. Harriet była znacznie mniej powściągliwa, i nic dziwnego. Spełniło się jej wielkie marzenie, obie córki znalazły mężów, i to nie byle jakich.

Potem odbyło się przyjęcie weselne, pełne gratulacji i toastów za młodych. W końcu jednak oboje doczekali się chwili, gdy zostali sami. Cassandra przytuliła się do męża i zaczęli dzielić namiętne pieścizny. Całowali się, obejmowali i obdarzali się rozkoszą. Noc należała do nich. A gdy sen trwał już zbyt długo, budzili się i znów dawali upust swoim pragnieniom.

W bladym świetle brzasku Cassandra zerknęła na męża i zaczęła okrywać pocałunkami jego muskularny tors. Po chwili osiągnęła cel, bo uniósł powieki.

- Ej, kochanie, jeszcze nie masz dość? - Ujął ją pod brodę, by spojrzeć prosto w oczy. - Czy mówiłem ci już, że jesteś cudowna?

- Cieszę się, że tak łatwo zauważasz moje zalety - odparła ze śmiechem. - Wiesz, nie mogę zasnąć. Cały czas myślę o tym wszystkim, co się stało. Tak wiele mi dajesz, Williamie. Nie przypuszczałam, że mogę być aż tak szczęśliwa. Musimy jednak o czymś porozmawiać.

- Co? Teraz? - mruknął, wyraźnie czując, że wolałby odłożyć rozmowę.

- Czemu nie? Przecież nie śpimy.

- No dobrze, Cassandro. Co jest ważniejsze od naszych pieścizn?

- Sierociniec.

- Aha!

- Przecież wiesz, jaką rolę w moim życiu odgrywają te dzieci. Kiedy otworzymy dla nich ten dom, mama zajmie się zarządzaniem, ale nie zabronisz mi chyba tam pracować, prawda?

- A czy miałyby to jakiegokolwiek znaczenie, gdybym zabronił?

- Naturalnie. Chcę, żebyś zgadzał się na wszystko, co robię. Bardzo liczę się z twoim zdaniem.

- Nawet nie mógłbym się sprzeciwić. Sam włożyłem w ten projekt dużo pieniędzy, a mam nadzieję, że wkrótce włączą się inni, więc jestem zaangażowany nie mniej niż ty, kochanie. Wiem, że dla ciebie to absolutnie najważniejsza sprawa na świecie.

Cassandra nie odpowiedziała od razu. Przyglądała się mężowi, a w jej oczach odbijały się uczucia, których nie chciała i nawet nie umiałaby ukryć.

- Mylisz się, Williamie - stwierdziła w końcu. - Sierociniec nie jest dla mnie najważniejszą sprawą na świecie.

- Cóż więc jest?

Przytuliła się do niego.

- Czy naprawdę muszę ci to pokazać?

Uśmiechnął się. Nie sposób było się oprzeć tak uwodzicielskiemu głosowi.

- To bardzo ciekawa propozycja - przyznał i dalej zgłębiali ją już bez słów.



RS